

**STEFAN
ŻEROMSKI**

POPIOŁY

Stefan Żeromski

Popioły

http://www.litres.ru/pages/biblio_book/?art=55844022

Popioły:

Аннотация

Popioły (wyd. 1904), owoc studiów nad tekstami źródłowymi przeprowadzonymi przez Żeromskiego podczas jego pracy w bibliotece rapperswilskiej, przedstawia panoramę historyczną od schyłku XVIII wieku do początków wieku XIX, ukazując złożoność tła, na którym kształtowała się nowoczesna świadomość narodowa i nowe społeczeństwo na ziemiach polskich w epoce napoleońskiej. Narracja powieści pozwala przyjrzeć się różnaitości zjawisk kulturowych i obyczajowych, towarzysząc bohaterom reprezentującym różne klasy społeczne: Rafałowi Olbromskiemu z drobnej szlachty sandomierskiej, zamożniejszemu znacznie Krzysztofowi Cedrze („galicyjskiemu hrabiemu”) oraz księciu Gintułtowi, przedstawicielowi magnaterii. Epizodyczna kompozycja utworu przynosi kalejdoskopową różnorodność obrazów. Polowanie, kulig, naznaczone różgą życie szkolne, okrucieństwo patriarchalnych stosunków rodzinnych, brutalna rzeczywistość wsi pańszczyźnianej, ideały i rytuały łoży masonskiej, hulanki i łobuzerstwo towarzystwa z „Pałacu pod Błachą”, bal w eleganckich salonach, wreszcie codzienność żołnierska w działaniach armii Księstwa Warszawskiego i podczas kampanii hiszpańskiej 1808 roku. Rozbudowana refleksja

filozoficzno-moralna oraz pogłębiona psychologia postaci, nietypowa dla polskiej powieści historycznej, uwydatnia niejednoznaczność motywacji i decyzji oraz niejednokrotnie sprzeczność między moralnością a czynem (np. gdy heroizm i patriotyczna żarliwość żołnierzy polskich zderzone zostają z ich rolą najeźdźców na San Domingo i w Hiszpanii). Popioły miały być pierwszą częścią trylogii, która jednak nie została ukończona. Fragment drugiej z zamierzonych części stanowi Wszystko i nic, zaś ostatnim ogniwem miała być Wierna rzeka, w której występuje syn Rafała Olbromskiego, Hubert, powstaniec 1863 roku. Schyłek życia Olbromskiego i Cedry został przedstawiony przez Żeromskiego w dramacie Turoń.

Содержание

Tom I	6
W górach	6
Kulig	53
Poetica	83
Na pokucie	110
Noc zimowa	119
Mary	148
Wiosna	155
Samotny	187
Drzewa w Grudnie	215
Dworzanin	221
Egzekucja	240
Chiesa aurea	253
Конец ознакомительного фрагмента.	268

Stefan Żeromski

Popioły

Powieść z końca XVIII i początku XIX wieku

Tom I

Żonie swej ofiaruje ten utwór
Autor

W górach

Ogary poszły w las.

Echo ich grania słabło coraz bardziej, aż wreszcie utonęło w milczeniu leśnym. Zdawało się chwilami, że nikły dwugłos jeszcze brzmi w boru, nie wiedzieć gdzie: to jakby od strony Samsonowskich lasów, od Klonowej, od Bukowej, od Strawczanej, to znowu jakby od Jeleniowskiej Góry... Gdy powiew wiatru nacichał, wynurzała się cisza bezdena i nieobjęta na podobieństwo błękitu nieba spomiędzy obłoków i wówczas nie słychać było nic a nic.

Naokół stały jodły ze spłaszczonymi szczytami jakoby wieże strzeliste, nie wyprowadzone do samego krzyża. Ich pnie sinawe jaśniały w mroku. Mchy stare zwisały z olbrzymich gałęzi. Wrósłszy między głązy, w niezmierną ławicę skalisk aż do gruntowej posady serdecznym korzeniem, wszczepiając pazury pobocznych skrętów w każdy zuchelek ziemi i wysysając każdą kroplę wilgoci, wielkie jedle chwiały królewskie swe szczyty w przeciągu niejednego już wieku pomiędzy mgłami

Łysicy. Tu i owdzie stała samotnica, której gałęzie uschły i sterczały jak szczeble obcięte toporem. Sam tylko jej wierzchołek jasnozielony, z szyszkami w górę wzniesionymi, niby gniazdo bocianie bujał nad przestworem. Gałęzie świerków, na których leżała ciężka pościel śniegowa, zwieszane ku ziemi powyginały się w pałąk. Te wyciągnięte zewsząd, z bliska i z daleka, kosmate łapy w białych oponach, wyłożone jak gdyby perłową macicą, zdawały się czaić i czyhać. Radosna zieloność najmłodszych, końcowych igieł jaśniała niby wysunięte pazury. Co chwila, ulegając własnemu ciężarowi, czułe na każde westchnienie wiatru, sypały się puchy śniegowych owałów i ginęły w podścielisku na ziemi tak bez śladu jak krople deszczu w toni jeziora. Ze szczytów zlatywał pyłek ledwie dostrzegalny, tak lekki, że stał długo w powietrzu migocąc swymi kryształami, nim spłynął ku ziemi.

Okolo południa łagodna odwilż poczęła rozgrzewać śniegi. Wskroś bladoniebieskiego przestworu płynęły białe obłoki, przeniknięte od blasku słońca. Na najwyższych, krzyżowych spławach świerków stopniały lód zamieniał się na olbrzymie krople, które w ciemnej zieleni igieł świeciły jak wielkie diamenty. Tam i sam długi soplek, zwisając ze zdrewniałego mchu, z kory popękanej i chropawej, miotał snopy zimnych iskier. Niżej, pod śniadym cieniem gałęzi, był dawniejszy, ranny chłód. Niektóre młode *rsioki*, w sobie czerwono-brunatne a żółtawe u szczytu, zgięte pod nadmiernym ciężarem śniegu, trzymały wysokie głowy u samej ziemi nie mogąc oderwać od

niej przymarzłych gałęzi. Gdzie indziej sterczały wykroty pniów wysiepanych z ziemi przez srogie świętokrzyskie wichry, tworząc pod zaspami strachem zionące pieczary.

Rafał, plecami oparty o pień grubego buka, stał bez ruchu i nasłuchiwał.

Nad sobą i przed oczyma miał tęgie, powykęcane, obmarzłe gałęzie o barwie łuski okonia. Cienkie, stalowe różgi były nieruchome, a wielki śniat, ze skrętami i kłębami jak wyprężone mięśnie człowieka, zdał się być duchem mrozu. Olbrzymi buk stał samotny, twardy i zimny, jakby nie należał do drzew. Król na Łysicy! Nie drżą przed wiatrem jego gałęzie, pień się nie schyla. Rozłożysty, nad lasy wyniesiony wierzchołek patrzy się z władczego cypliska w szerokie niziny na północ i na południe, ogląda się po górach jednoramiennych. Pustki wszędy, niwki, wsie... Daleko, za ostatnim wzgórzem łańcucha, za Stróżną, ciągną się w poprzek role, aż do Krajna, aż na szczyt góry Kamienia. Odwieczny buk pamięta za wiosen swej młodości bór nierozdarty w nizinie Wilkowa, Ciekot, Brzezinek, po górach aż ku Kielcom. Zginęły za jego żywota pod siekierą dąbrowy, oschły między działkami chłopskiej nowiny mokre, zakisłe, nieprzebyte gozdy, z których się wieczne wody sączyły. Tam gdzie kosmaty rsiok wiekami rósł i gnił – wiatr po badylach świszcze. Połanki ról wżarły się w samą knieję, liszajem pełzną w strzępy jej płaszcz, z roku na rok wdzierają się wyżej aż popod szczyty zawalone głazami Psar, Radostowej... Wysycha u stóp górskich nieciecz, drzew żywicielka, zostaje grunt czerwony

i szczyrzy się kamieniami pod słońcem. Tylko jałowiec ośłania jego nagość i rany. Już coraz rzadziej niedźwiedź ociera się kudłatym ciałem o pień starego buka; coraz rzadziej przychodzi śnić w cieniu jego gałęzi wielkorogi jelen – i wilk-kobylarz nie tak często czatuje tutaj na dropiate jagniątko łani. Już nie świszczą ponad konarami skrzydła orłowe i sęp tylko kiedy niekiedy przylata popatrzeć z wierzchołka w zgrozie i gniewie na zniweczoną dziedzinę.

Wbrew srogim myśliwskim zasadom Rafał zeszedł był ze stanowiska i chyłkiem dotarł do szczytu góry. Przez chwilę stał tam u wejścia na gołoborze i, przejęty głuchą trwogą, patrzył w to miejsce, gdzie wiedzmy, strzygi, błędnice zlatują się o północy i gdzie się ukazuje sam Zły. Gładkie boki olbrzymich złomów kwarcytu iskrzyły się w słońcu ziarnistym szklivem, jakby sam mróz. Obmarzłe kije, sterczące spod śniegu, były podobne do broni wykutej z kryształu. Stare jodły rzucały cień na połowę urwiska.

Wróciwszy na swe miejsce młody myśliwiec wyteżył słuch... Gdy go do ostatniej granicy na zwiady posłał, łudziło mu się, że i las z nim razem słuca. Cisza była wciąż ta sama, głęboka, głęboka, zaiste niezgruntowana...

Ale oto z krańców leśnych wyplynał gnuśny powiew, ze snu twardego obudzony szept, tchnienie rzewne, przeciągłe długo wstrzymywanego oddechu puszc łysogórskich. Szczyty drzew pochylały się przed nim jakby we czci, gdy pływał w bory ów śpiew niewysłowiony. Brzmienie jego, ledwo

wydobyte z nicości, jak płaczem cichym zdradzone wyznanie
wzruszeń przedwiecznych, jako jęk bez nadziei, szło z samotni
leśnych po wtóre, po trzecie i, sącząc się cichymi odcieniami
dźwięków, nicestwiało w otchłani. Zdało się, że ten śpiew
zaklęty, mieszkający w drzewach, coś wypomina, że woła...
W jasnym powietrzu, między zielonymi kępami igieł płynął
pod niebem. Knieja obejmowała go tajemniczym ramieniem
swoim, puszcza go znowu brała, matka rodzona, puszcza –
dusza prajcowska, puszcza – siostra-miłośnica. Zamierał jak
westchnienie ów żaloszny świst-poświst... Gdzie zamierał?

Może na zburzyszczu wysokich skał, które się po odejściu
fal i pian morza rozpadły w rumowie głązów mchami
rudymi porośłe... Może w kolisku dębowych pniów, do
gruntu zmurszałych, które zwartą strażą otaczają prochy
z przyciesi świętej kontyny, gdzie przed wiekami Pogoda
łaskawie przyjmowała obiady... Może na czole kamiennym, na
twardych piersiach bożyszczka Lelum-Polelum, które śpi w dole
nieznanym, mchem tysiąca zim i tysiąca wiosen okryte, i spać
będzie nikomu nie znane na wieki wieków... Może w tropach
wiecznego jelenia, który między rogami nosi po lasach drzewo
krzyża świętego, a ukazuje się ludziom raz na sto lat...

Kiedy nadciągała z daleka owa pieśń lasów, zdało się
Rafałowi, że płynąć będzie przez jego ciało tak samo jak przez
drzewa. Zapominał wówczas, gdzie jest i co się z nim dzieje.
Snuły się w nim wspomnienia nieujęte, niedotykane, zamglone,
przedziwnie zebrzące o pamięć.

Był daleko od tego miejsca, nie pod szczytem Łysicy, na stanowisku. Był w ogrodzie swego dzieciństwa. Tajała kraja i okieć wszystkiego, co rzeczywiste... Ogród zapomniany, na tyłach starego dworu. Rozłożyste jabłonie z pniami w pewnych miejscach zwięzonymi od dawnych szczepień, jak butle. Pęki, bukiety różowych kwiatów... Bujny agrest, gęste porzeczeki obrosły każdą drożynę. Nad wysokimi trawami, które jeszcze powleka kroplista rosa, wznoszą się śnieżnobiałe, dziewicze drzewka wiśniowe. Zda się, że to chmurki wiosenne, obłoczki ranne z krańców nieba aż tu przyżegłowały i między wysokimi topolami, między starymi parkany bezradnie osiadły. Brzęczą pszczoły, osy, muchy, napełniają cały sad gwarem, a serce dla niewiadomej przyczyny czcią i grozą. Och, jakże miło, jak radośnie w tym cienistym sadzie rodzinnego domu! Za drzewami owocowymi ciągną się niedostępne zarośla, gaje wikłówe i rokiciny. Na kępach, wśród zapleśniałej wody, straszą oczy kudłate wierzby o pniach spróchniałych i lesie bujnych prętów, olchy smutne, czarne z krwawymi odziemkami. Żaby kumkają w wodzie lśniącej grzybieniem i skrzekiem, a niezliczone ptaki pogwizdują. Szmer liści, pogwar owadów i ledwie dające się ująć przyciszone szepty, szmery, syki, ledwie dające się ciałem wyczuć westchnienia czy ciche jęki, jakoby mrowienie i łechtanie przechodzi w poprzek i wzdłuż...

Mały chłopczyk, gadułka zdrowy, szczęśliwy, wesół i rozśpiewany, biegnie ścieżkami tego ogrodu. Skacze u nóg ojca niosącego nabitą strzelbę i dba o to tylko, żeby w rosach nóg

nie zamoczyć. Tu rzuca mu się w oczy biedronka pełzająca po mokrym liściu, tam ślimak zaczerniał w białej rosie; promień słońca padł na pąsowy kielich tulipana, świeżo rozkwitły tego poranka... Cicho, cicho... W gąszczach rozlega się słodki i wesoły jak sama wiosna, jak dusza dziecięca, głos wiwilgi. Wtem z łoskotem piorunu wybucha strzał i huczy w drzewach. Serce drętwieje i staje w biegu. Radosne ciało całe drży... Z wyżyny wiązu rosnącego w kącie ogrodu spada trzepocąc skrzydłami złotolita wiwilga i broczy krwią mokre trawy. Ach, jeszcze widać jej otwarty dziób i straszne, przeraźliwe oczy! Słysząc jej sepleniący syk, zdławiony, gdy po nią rękę wyciągnął. I nagły ów strach! Nagły, przesywający strach, radość, zemstę, rozkosz i niewysłowny dziecięcy ból. Trzepie się ptak i miota z boku na bok. Wstaje na nogi... Oczy jego zmętniały, kilkakrotnie wyteżyły się jeszcze. Patrzą. Coś je zamazało, zawlekło...

Kiedy to było i gdzie? Czy były naprawdę, czy mu się śniły tylko te okrutne ptasie oczy, wbite w pamięć jak gwoździe wbite w rany, które na samym początku życia istnieją?

Ale oto cisza nastaje, a po społu z nią, niby chmurki w wyżynie, inne przepływają widzenia.

Las ciemny, srogi, oświetlony blaskiem księżycy. Ogromne śniegi na nim leżą, na czarnym lesie. Dzwonią janczary i echo ich odbija się w kniei jak zuchwałe wzywianie do boju. Księżyc w zimnym przestworze króluje. Źrenice nie mogą oderwać się od jego tarczy i przedziwne szepty, półsłowa, wreszcie jakieś wyrazy płyną do niego z piersi. To bezlitosne światło

woła ku sobie, wciąga na wysokość ku słodkiej harmonii, ku rozkoszonym, jako ta leśna, melodiom... Ojciec lubił tamtędy jeździć, drogą „na las”, mało znaną. W tych ostępach włóczyły się stada wilków. Toteż gdy wjeżdżano w posępne gąszcze drzew zwartych, podsypywano prochu na panewki dwu flint i dobywało się zza pasa podwójne pistolety. Słysząc jeszcze szept modlitw matki... Dreszcz zimny do szpiku przejmuje i niby czyjeś skostniałe palce podnosi włosy na głowie. Janczary rzegocą coraz głośniejsze, coraz głośniejsze, im dalej w knieję; wreszcie zda się, że biją jak dzwony. Cztery konie mkną drogą, której nie przetarła sanica. Od uderzeń kopyt rozpryskują się zadmy śniegu, jak góry pyłowej mąki. Kiedy niekiedy coś pod saniami trzaska. W lesie słysząc niepojęte głosy... Cały bór wre i huczy od echa janczarów. Aż oto w pewnym miejscu zasłona świerków na krótko się rozchyła; z wąskiej leśnej polanki widać górę, a na niej poszczerbione ruiny. Księżyc oświetla śnieg i lód, który na gżemsach zburzonych ścian, na krawędziach wybitych okien leży.

To ruiny ariańskiego kościoła.

Jaki dziwny, niespodziewany żal!...

Gdzież jest ten dzień, gdzież się na wieki został?...

A ta wiosenka... Po świętach Wielkiejnocy powrót z rodzicami od krewnych do domu. Jadą tą samą drogą. Wolno wlecze się bryka po korzeniach i ciemnych bagnach szlaku. Naokół las gęsty, mokry, dymiący się od pary. Wszędzie w mroku poddrzewnym lśni stojąca woda. Oślizgłe, czarne

kije ze zgniłymi gałęziami leżą w ciemnych bajorach drogi. I oto znowu ruiny ukazują się na górze. Konie wstrzymano i rodzice pozwalają dzieciom wejść na szczyt wzgórza. Brat starszy i siostry biegną na wyścigi...

Niegdyś wdzierała się na tę górę szeroka jezdną droga dla landar, bryk, kutych wozów, ale już i na niej sosny wyrosły. W kolejach stoją grube świerki, na zakrętach stanęły jodły stuletnie, z przykopy biegnącej środkiem strzeliły białopienne brzozy. Las zamknął dostęp do ruin, wziął w posiadanie, co weń weszło, i na powrót stał się sobą. Już ani okien, ani drzwi. Nikt nie strzeże wyklętej świątyni, oprócz wysokich kęp ostu. Dzika róża po nagich skarpach pełza z wysoka i wyciąga kolczaste, żebracze badyle. W tym miejscu, gdzie może był ołtarz, gdzie oczy wyznawców szukały widomego znaku – czarny szkielet jeżyny. Niestrudzona woda gryzie cegłę i kamień, a mech rozsypane ich prochy grzebie pod sobą. Na zewnątrz murów, w głębi świątyni i w lesie jakie mnóstwo podlaszczek! Ubogie kwiatuszki, siwe biedotki leśne, są jakby kroplami bladego nieba północnej wiosny, które spadły z wysoka na ziemię i rozprysły się w kształt kwiatka. Jaka rozkosz, jaka tajemnicza, niedostępna rozkosz – niby ów las... A jakie coś drapieżne, bolesne, oślizgłe od deszczów i straszliwe od echa każdego kroku w tej ruinie kościoła! Co w niej jest, co płacze i woła z ziemi za odchodzącym dzieckiem? Oczy nie mogą się z nią rozstać i nogi nie mogą odejść. Zerwane kwiecie z rąk wylatuje, i w uszach odzywa się jak gdyby syk sepleniący wiwilgi zabitej w ogrodzie...

Nagły, daleki, jadowity głos drgnął w lasach. Za pierwszym ozwał się drugi, rzewny i czysty niby mięszszy tenor. Rafał ocknął się jak ze snu i machinalnie dźwignął strzelbę do twarzy. Po chwili oprzytomniał i napastnicze oczy w las wlepił. Pierzchył marzenia. Słońce przypiekało, wzmożyły się powiewy ciepłego wiatru i ze wszystkich drzew leciały raz wraz na ziemię ogromne płaty lepkiego śniegu.

– Psy gonia... – szepnęła do siebie.

W istocie słyhać już było dźwięk dwu głosów, Niemna i Wisły, ale tak daleko, gdzieś w ciepłej kniei, na południowym stoku łańcucha gór, że tylko młode ucho mogło rozróżnić to granie. Echo płynęło z wolna, jakby w znużeniu, ale zbliżało się ciągle. Nim jedno krańców leśnych dosięgło, już płynął w pościgu rzeźwy huk niby muzyka złowroga, pełna dzikiego czaru, gwałtu i siły. Młody mężczyzna obejrzał starannie panewkę swej broni, troskliwie przyjrzał się suchym i lśniącym ziarenkom prochu. Zaczaił się i cały przeistoczył w narzędzie śmierci. Tęsknota, jaka mogłaby zdusić życie, osiadła w jego oczach i zmieniła je we dwa pociski. Serce głośno biło w piersiach i każdym uderzeniem zdało się również czatować.

Psy nadciągały bliżej, bliżej... Już można było rozróżnić same głosy.

W pewnej chwili od szczytu góry dał się słyszeć tępy, jednostajny, rytmiczny odgłos biegu – duch-duch, duch-duch... Serce w słuchającym zamarło i ustało. Trzasła w pobliżu gałązka. Przez chwilę gęściej, obficie śnieg się posypał... Oto spomiędzy

zarośli młodej świerczyny wysunęło się stado sarn, a na ich czele szedł z wysuniętą głową ciemnoorzechowy rogacz. Rafał wziął go na oko, przycisnął kolbę do szczęki i położył palec na cynglu. W tej samej chwili sarn stanął. Przednią lewą nogę podniósł, odwrócił śliczną głowę z różkami i uważnie nasłuchiwał. Z całego stadka para szła gęsta.

– Na komorę... – marzył Rafał kierując lufę pod przednią łopatkę kozła.

Nagle olbrzymia czapa mokrego śniegu runęła na jego rękę, twarz, kolbę i panewkę. Pociągnął za cyngiel. Krzemień sucho trzasnął, ale iskra nie zapaliła zmoczonego prochu. Gdy młodzieniec przetarł oczy, ujrzał już tylko samie nogi, wyteżone jak stalowe sprężyny, i białe ich „talerze”. Przesadziły najwyższe stojące szczyty chojaków i znikły. Tylko te szczyty zielone i giętkie jeszcze długo drżały i kiwały się, a śnieg leciał niespokojnie z potraconych gałęzi.

Ujrawszy, że znowu jest sam na tym miejscu, gdzie przed sekundą odbyło się coś jak misterium tajemne, Rafał ze wściekłością cisnął strzelbę w zarośla, a sam runął na ziemię dusząc się od łkania.

Ocucił go strzał, po nim drugi. Jak gromy rozległy się i długo buczały w lesie. Po ostatnim dało się słyszeć z dołu, w połowie wysokości górskiej, nawoływanie:

– Na-hohoho! Na-hoho! Na-hoho!

Psy ucięły. Zaraz potem drugi głos, bliższy Rafała, odpowiedział jednokrotnie tym samym sposobem.

Młody myśliwiec jeszcze przez czas pewien leżał na ziemi, pękając ze złości. Po chwili jednak zerwał się na równe nogi, strzepnął śnieg z siebie, odszukał w krzakach pojedynkę. Wytarł oczy i, na podobieństwo sarn skacząc przez choiny, pomknął na dół.

W odległości kilkuset kroków stał nad zabitym rogaczem ogromny chłop w krótkiej brunatnej sukmanie i oglądał uważnie swoją małą fuzyjkę.

– Zabiliście, Kasper! – szepnął Rafał zdyszany od biegu.

– Ij!... tak mi się ta nawinał... Sam nawet nie wiem, jako to być mogło. Myślałem se, że tego koziełka to przecie jaśnie panicz położy.

– A kiedy nie wyszły na mnie... – rzekł Rafał, czerwony jak burak.

– O, hery! Widzicież wy, moi ludzie... A na to miejsce przecie wagę miały. Nie wyszły i pokój! A już ta pod tym bukiem niejeden wygarnął. Czasem to tam nawet dłużej przystaną i wezmą szukać wrzосу abo chwycą wargami, ile zdołą, młodych koniuszków jedli. Poszły, sobacze, bokiem... – mówił stary wyga wlepiając z jawnym śmiechem w młodzieńca swe wypełzłe oczy.

W tej samej chwili jeszcze raz odezwał się w dole niecierpliwym głosem:

– Na-hoho!

– O, nasz pan woła! – z trwogą mruknął Kacper. – Chodźwa.

– A cóż zrobicie z rogaczem?

– Trza go brać na ramię, tyłego konia!...

Zabity sarn, trafiony w samo serce, leżał martwy. Dokoła niego zamróz odtajał i krople wody sączyły się ze świerkowych gałęzi. Pyszna jego głowa, rzucona bezwładnie, patrzyła w Rafała umarłymi oczyma. Młodzieniec uczuł nagle poryw wściekłości, chwycił za kordelas, który miał przy sobie, i byłby zadał zdechłemu zwierzęciu cios jeszcze jeden, ale już strzelec podsadzał się pod nie. Dowlókł rogacza do sąsiednich wykrotów, dźwignął go w górę i, ująwszy rękoma po dwie jego nogi, zarzucił sobie na plecy to brzemię ze zdumiewającą siłą. Poszli na dół. Co chwila nogi ich zapadały w szczeliny między złomami brył kamiennych, w rumowiska stoku góry pod mchem ukryte. Rozwalali zgniłe pnie, miękkie jak ciasto, o próchnie rudozielonym od pleśni. Skomlenie psów w zagajnikach na dole wskazywało im drogę. Rafał, wielkimi krokami postępujący przodem, ujrzał wreszcie wuja. Chudy szlachcic, niewielkiego wzrostu, siedział w kucki nad sarną i patroszył ją. Skrwawionymi rękoma wyrywał dymiące jeszcze wnętrzności i ciskał psom... Gdy nadeszli, pan Nardzewski obejrzał się złowrogo na strzelca, zmierzył okiem rogacza i z lekka sepleniącym głosem zauważył:

– Toś, kundlu, kozła musiał dla siebie zostawić...

– Ale bo...

– Nie wiedziałeś, prawda? że ja tu czekam na stanowisku. Gdzieżbyś ty o takich rzeczach mógł pamiętać! Żebyś ja kozy po tobie strzelał, chamska szyjo!

– Ale bo szły jakosi krzywo...

– Krzywo szły od buka!... Łżesz!...

– Jeszcze, rzekę, psiedusze wiatr owieje. Wiatr szedł od Klonowa, akuratnie. Takem se ozmyślał...

– Jak ja ci dam ozmyślanie, to się nogami nakryjesz! Kładź kozła! A cóż ty, Rafciu, jakoś nic nie niesiesz z Łysicy! – łaskawie zwrócił się do siostrzeńca.

– Nie wyszły na mnie. Słyszałem tylko, że wałą za drzewami, aż ziemia stękała.

– Ts... Nie przeszły koło wielkiego buka... Słyszane rzeczy! ... Patrosz... – mruknął do strzelca.

Gdy ten otwierał mały składany koziczek wiszący u jego pasa na rzemyku, Nardzewski spytał go opryskliwie:

– Skądżeś strzelał?

– A spod znaczonej jedli, kajem stał. Wylazł mi sarn pod łufę, jakby go tam pastuch przygnał. Jeszcze ta była ścięta jedla, okrzesana, to se stanął, ma-li skoczyć.

– Skądże się tam wzięła jedla okrzesana?

– Skąd jedla? A to ją, wielmożny panie, ściął ten chłop z Porąbek, co to z Niemcem miał sprawę.

– Nic nie wiem o żadnym Niemcu ani o sprawie.

– O, dyć to we wszystkich, we wsiach gadają.

– No, to i ty gadaj, kiedy wszyscy.

– Dobrze. To tak było, żeby to z końca... Przyjechał chłop z Porąbek, Jamrozek ma na przezwisko, parą koni doskonałych i gołym wozem, że to tylko koła były i ozwora, w sam szczyt Łysicy po suchą jedlę, żeby ta już była dobra jedla, smolna, we

wiatrach wysuszona. Robi króbkki na sól – to mu potrza suchego drzewa. No, dobrze. Ściął on se jedlicę tyłą co wieża na Świętym Krzyżu, odziabał wszystkie gałęzie precz, jak się patrzy. Ma se kloc tyłośny, że byłby z niego wał do młyna. Wzieni mój Jamrozek, rozsunęli wóz jak najdłużej, że się poślednie koła ino ino trzymały za ozworę, sworzeń se wyrychtowali, żeby zatkać, patrzą, a tu z krzaków wyłazi dozorca leśny. Odzienie na nim zielone, na głowie ma skopeczek z jakimś guzikiem, w rękę strzelba. Spojrzał ino raz na Jamrozka, tram opatrzył, wymierzył go jakimś żółtym łokciem i zaczął pisać na papierze. Jak skończył, dopiero zaczął gadać do chłopu niby po naszymu, ale jakosi frymuśnie. Chłop zdjął czapkę, drapie się... Myśli se: – „Żle!” Wziął do niego Miemieć szwargotać z polska, a wreszcie zawrzasał:

– Marsz do Słupia!

– No, dobrze. Chłop wdział czapkę, okiełznał konie i pojechał z góry tą dróżką, co ta idzie nad strugą ku Porąbkom. Miemieć szedł przy wozie, sapał i fajkę kurzył. Jak wyszli z lasu, są ta połanki wykarczowane, a idą z pieca na łeb po górze jeden za drugim. Jamrozek zdjęli czapkę, pokłonili się i pedają:

– Niechże ta wielemożny pan fešter darują...

Miemiec swoje:

– Marsz do Słupia!

A no pojechali znowu noga za nogą miedzami abo i prosto bez pola. Ujechali kawałek drogi, chłop zdjął czapkę i gada:

– Niechże to choć wielemożny pan fešter wleżą na wóz, bo

tak to na jutro na rano do Słupi nie zajadzie.

Miemiec se pomyślał, wytrząsnął faję i siadł na wóz. Poślednie koła były kawał od przodka. Wziął się pluder za kłonicę, trzyma się krzepko, za obie. Jamrozek to samo wleźli na przodek, kulasy postawili na orczyki i zacięli szkapska, ale tak, żeby przecie poczuły. Ale cóż ta mieli jechać „do Słupia” drogą? – poszli na przełaj, a potem na ukos bez rolę, po zagonach, po skibach. Wzięły poślednie koła tyńcować na prawo, na lewo, prac z zagona w zagon, z przykopy w przykopę. Miemiec się trzyma garściami, wrzeszczy. Chłop nic, jedzie, kaj mu kazali... Co się ma oglądać? Ino sprzężaj zacina... Aż jak ta konie poszły co ducha, jak tylne koła wytną w skibę czy ta w kamień... Jakosi się Miemiec uciszył.

– Jak to uciszył się? – pytał Rafał.

– A ja sam tego nie wiem, bo się ta i oni, choć i Jamrozek, nie oglądali. Myśleli se: Co mi do tego? Kazał pan fešter jechać, to jadę. I pokój. Dopiero, jak już w Porąbki wjechali, we wieś, obejrzeni się: nie masz Miemca. Zamartwili się. Ale, pedają, noc szła, cóżem ta miał robić?...

– Któż Niemca znalazł? – spytał Nardzewski łagodniejszym głosem, puszczając kłęby dymu z krótkiej fajeczki.

– A musi go ktoś znalazł, bo ciągiem po lasach łązi. Kwardy.

– Dobrze wam tak, podłe chamy! – mruknął szlachcic – cały byście las wycięli!

– Ij, wielmożny panie, któż ta tyli las wytnie? Nie było nas, był las, nie będzie nas, to samo las na Łysicy będzie. Jak świat

światem, ludzie ze solą jedzą. Trza ją w króbkach trzymać. Zawdy ludzie króбки robili, jedle na nie ścinali, a las stoi. A cóż ta dopiero za prawo ma do niego taki pluder! Las je królewski. Starostwo je i pokój. Tu my takie stada dzików gonili, jelenie my płoszyli z Cisowskich lasów aż po Siekierno... Ile razy ja tu na Łysicy niedźwiedzia widział, jakem jeszcze był małym berbeciem! Aby to jest dzwierz piękny – niedźwiedź. Abo jeleni... Mocny Boże! Jak rogi położy po sobie, jak lasem pójdzie – okropnie pięknie patrzeć! Aby tylko na świętego nie trafić... Panie, zachowajże też...

– Jak to na świętego? – dopytywał się Rafał.

– A to widać paniczek nie wie o naszym jeleniu – mruknął strzelec niechętnie.

– Nie wie, skoro się pyta – rzekł Nardzewski.

– Ludzie gadają tacy, co widzieli...

– Który widział?

– A Łakomic widzieli. Powiadają to samo o starym Szafrancu, co miał ze sto lat abo więcej, że go to samo ślepiami widzieli.

– Jakże to było?

Chłop spoglądał posępnie i zwlekał.

– Łakomic nama gadali i zaprzysięgli się. Wyšli, pedają, ze swoją fuzyjczyną i stanęli na stanowisku, jak ogary pana krajczego Olchowskiego.

– Aha... – wtrącił Nardzewski.

– No, przecie nie ja stał, ino oni, choć ta już na Boskim sądzie,

Panie świeć... Stoją se oto pode drzewem z cicha i czekają. Aże słyszą: duch-duch! Idzie. A dzień był wietrzny, ciemny. Idzie na dół po kamieniach, a przed nim jakiesi światło, tak jakby dodnia pod zimę, kiej słonie z lasu wychodzi. Zda im się pojrzyć ku niemu: widzą, idzie wolnego jeleni stary, wielki jak koń cugowy i okropnie piękny. Rogi położył... Wzieni go na oko, a prosto w łeb. Dopiero co się nie dzieje!... Trzymają kolbę przy pysku i nie widzą jelenia, tylko światło, tak jakby czerwone słonie wyszło z lasa i prosto im we ślepie lunęło. Strzelba im z rąk wypadła, a i samych łomot o ziemię. A jeleni poszedł kole nich, bokiem. Dopieroż zobaczyli, że miał między rogami krzyż złoty i że z onego takie światło w las waliło.

– Duży był krzyż? – poważnie pytał Nardzewski.

– Biedyc-ta duży! Pasyjka niewysoka, ino gruba na dwa palce. Dopiero mój Łakomicz za lufę i w nogi co ducha! To ich jeszcze na trzeci dzień tarmosił strach, jak se wspomnieli, że oni do takiego gada chcieli wygarnąć... A jakby go też człowiek zabił... Rany!

– Ty, żebyś go i z krzyżem spotkał, tobyś nie ścierpiał.

Chłop udał, że nie słyszy, i ciągnął dalej:

– Tera taki psia para jedli ściąć nie da! Sadził ją tu, czy co?

Nic, ino kamera. Wszystko, pada, do kamery należy.

– A tak, teraz wszystko do kamery... – westchnął Nardzewski.

– No, skończyłeś?

Strzelec wyprostował się i wytarł ręce w śniegu.

– Wielmożny panie, ony nama tu i zapolować z pieskami nie

dadzą!...

– To nie twoja rzecz.

– A przecie gadają, że Górnio, Krajno, Porąbki, Brzezinki, Masłów, wszystko precz niemiecki król puścił w dzierzawę młodemu panu z Olchowa.

– No, więc cóż z tego?

– A to i do lasów ma wręb, choć i rządowe dozorce będą drzewa pilnowały. A on już koźlątko nie popuści – choć i jaśnie pan Olchowski.

– Zobaczmy, a teraz weź no, rozpal trochę ognia. Ręce mi zgrabiwały.

Strzelec w mgnieniu oka wyczyścił miejsce, śnieg zgarnął, niośił suchych żółtych gałązek jałowcu i sośniny. Skrzeszał ognia i umiejętnie, szybko, z dziwną wprawą rozdmuchał płomień. Igły poczęły trzaskać i niewidoczny błękitnawy płomyczek biegał to tu, to tam po zgiętych pałkach. Rafał pomagał Kacprowi, znosił suche gałęzie i rzucał w ogień. Stary pan siedział na wystającym głazie nieruchomy i chmurnie patrzył w ognisko. Już wtedy nadchodził szybki wieczór styczniowy. Wiatr się odwrócił i dał z północy. Z drzew nie leciały już kępy śniegu, a spadające strugi wody nagły mróz zamieniał w sople.

Strzelec upatrzył młodego świerka i począł go ścinać u samej ziemi małą siekierką, którą nosił za pasem. Okrzeszał prędko gałęzie, ściał wierzchołek i przygotował drag kilkułokciowy. Wówczas związał do kupy rzemiennymi pasami przednie i poślednie nogi dwu zwierząt i drag ów między nie wsunął.

Gdy to wszystko załatwił, zbliżył się do ognia i rozgrzewał nad nim ręce. Właśnie wtedy pan Nardzewski wyciągnął z kieszeni kapciuch i nabijał „galicyjskim” tytuniem swą glinianą fajeczkę. W trakcie tej czynności, nie patrząc, podał strzelcowi dużą szczyptę tytoniu. Chłop zdjął czapkę i pięknie podziękował. Zaraz też roztarł tytuń na lewej dłoni, zwilżył go śliną obficie, ugniótł palcami i dopiero tak przygotowaną masą naładował fajkę. Potem całą fajkę wsunął w gorący popiół, pełen czerwonych węgielków. Gdy zwilżony tytuń dobrze zaprzał, wyjął fajkę z popiołu i jeden z węgielków umieścił na wierzchu.

Rafał, zaciekawiony, spytał go, czemu to wszystko robi.

– Czemu? Abo tak dopiero będzie prawdziwie tęgie paliwo. To je dopiero tutiun! Żeby też tak jaśnie paniczek zapróbował... Już się ta z tym nie zrównają ani debrejskie liście, ani knaster niekrajany, ani ta i nasz powszedni w obertuchach.

– No, pokażcie.

– Rafciu, ostrożnie! – zawołał Nardzewski.

Podrażniony młodzieniec starannie otarł cybuszek i pociągnął, ale natychmiast puścił go z rąk i zatoczył się jak uderzony drągiem w głowę. Przez pewien czas tchu złapać nie mógł, a choć się wreszcie uspokoił, długo jeszcze czuł ogień w piersiach i w gardzieli.

– Takie je chłopskie paliwo, jaśnie paniczku, he he...

– No, dość już twego palenia. Chodźmy.

Zdeptali ognisko. Strzelec chwycił jeden koniec drąga, Nardzewski drugi; schylili się obadwaj i jednocześnie, jak na

komendę, podnieśli zawieszona zwierzęta. Chłop szedł pierwszy. Koniec drąga był wparty o jego ramię. Niższy wzrostem Nardzewski dotrzymywał mu kroku, choć się zataczał w prawo i w lewo. Kiedy Rafał, palony żądzą współdziałania, dopominał się, żeby mu wuj miejsca ustąpił, szlachcic go ofuknął

– Daj no pokój! Pilnowałbyś strzelby...

Szli tak dość długo z góry w kierunku klasztoru. Nie dochodząc do źródła świętego Franciszka skręceno na lewo. Nardzewski ochryplym głosem dał rozkaz, żeby stanąć, i wręczył siostrzeńcowi tak upragniony koniec pawężu. Rafał z pietyzmem oparł go na ramieniu, ale w tej samej chwili zgiął się i przysiadł pod ciężarem. Doznał wrażenia, że mu w barach kości pękły. Ze ściśniętymi zębami, oddechem zapartym i twarzą brudną od nabiegłej krwi, szedł jednak twardo aż do drogi bodzentyńskiej. Tam go znowu złuzował stary myśliwiec.

Był już mrok prawie, gdy na skraju leśnym stanęli przed kurną chatą, zadętą ze wszech stron przez górskie śniegi. Para koni zaprzężona do prostych fornalskich sanek stała już przed niskimi drzwiami. Wwalono sarny na sanie przy pomocy oczekującego parobka i zagrodnika, i wszyscy trzej myśliwi ulokowali się jako tako w sąsiedztwie zwierzyny. Młode konie skoczyły z miejsca i poszły w górę. Śnieg po odwilży przymarzał wierzchem; okryła go sroń, cienka skorupka lodowa. Podkute kopyta trzaskały ostro w szklistą powłokę. Ogary biegły z trudem i kaleczyły się, zapadając w śniegu. Obadwa były senne, znudzone i odbywały tę podróż resztkami siły. Nardzewski podniecał je co chwila

pieszczotliwymi dźwiękami, cieszył pogwizdywaniem.

Za lasem, na szerokiej drodze, ciął jak kosą wiatr północny, ostry i przenikający do kości. Gdy stanęli na przełęczy, którą szła droga, widać było na prawo i lewo ogromne przestrzenie, dwie rozległe doliny – i lasy, jak okiem sięgnąć. Jedna z tych dolin, płaska, od strony Kielc, była krajem dawno uprawnym, zaludnionym, poprzerzynanym przez olbrzymie wsie, dwory, kościoły. Druga była jeszcze starodawną głuszą. Widać w niej było siedliska na wydartych w puszczy polanach. Wsie te o nazwach leśnych, wspominających królestwo i dzieje borów, jak Brzezinki, Klonów, Wilków, Psary, Siekierno, Dąbrowa... stały w czysty lazur odwieczera wysokie drzewa dymów. Wyniosłe góry dwoma pasmami spływały ku Łysicy i wrastały w nią, ażeby dalej iść jednym grzbietem wysokim i najeżonym skałami. Stał jeszcze po nich wszędzie las, jak władca, i rozpościerał swe panowanie. Granatowe jego łany osędziały od śniegu. Gięły się na odległych garbach gór i niby długie srebrnoszate zwoje spływały przestrzonnymi wąwozami ku dolinom, gdzie już osiadł zimny cień wieczora. Na krańcach leśnych rozpoczynała się dziedzina jałowca, również dzika i rozległa. Zasnute śniegiem jałowce zdały się być z mrozu samego utkane i tak przedziwnie złudne, jakby na nie w biały jeszcze dzień padało światło księżyca. Ta ziemia, opasana borem, skryta w jego tajemnicy, miała w sobie grozę i wspaniałą dumę.

Rafał wlepił w przestrzeń oczy, widział dokładnie każdy zakąt

i szczegół, ale w tej samej chwili wspominał ją i obejmował, jak inną, z dziecięcych lat. Był tu dawno, dawno, wiosną... Zielone smugi łąk leżały na jego oczach i ciągnęły się ku cudnej rzece, ku Czarnej Nidzie, która ze strumieni górskich urasta. Powiał ku niemu woniejący wiatr z głębokich wąwozów góry Radostowej, z precudnych wąwozów, nad którymi wiszą brzozowe gaje. Chóry słowików przerywały ciszę tej nocy wiosennej, kiedy tamtędy jechał za dawnych lat z głową leżącą na kolanach matki. Teraz rozmawiał z wujem, ale jednocześnie śniło mu się, że przez tę daleką, śpiącą, martwą dolinę jedzie na dzikim koniu. Żelaznym wędzidłem rozdziera mu wargi i trzyma jego łeb zgięty ku ziemi. Jedzie ku słońcu, ku słońcu, które tarczą ognistą zachodzi za lasy błękitnawe, okiem niedosięgnione... Dalekie lasy, dalekie lasy, odwieczne.

Śliskie sanice co chwila leciały w zatoki na rozbitym gościńcu, gdy konie poszły z góry.

– Te, trąba! – wołał Nardzewski na furmana, gdy się sanie zbyt ostro toczyły w wyboje.

W pewnym miejscu, gdzie stało jeszcze kilkanaście sosen i buków po wyrąbanym lesie, wskazał jedno z tych drzew i rzekł:

– Tu pięć lat temu zabiłem sępa.

– Sępa?

– A tak. Szedłem sam z polowania. Było to jakoś na jesieni. Słońce zachodziło jak teraz. Patrząc: na buku coś się rusza. Nie chciałem oczom wierzyć... Miałem lufę nabitą lotkami. Złożyłem się i palnąłem.

– Skrzydła też to miał, skrzydła! Jezus ci Maryja... – wtrącił Kacper. – Jak my go rozciągnęli na ziemi, to psy, przecie nie bele jakie, poszły w pola ze skomleniem i strąbić ich do domu nie było sposobu.

Rafałowi twarz tak naziębła, że nie mógł mówić. Z gościńca skręcono na boczną, karkołomną drogę, która szła tuż nad brzegiem górskiej rzeki. Wartka woda kłębamii toczyła się w obmarzłych brzegach, bijąc w tafle lodu, który żywe jej ciało schwycić usiłował. Konie chrapały i wyprężone ich nogi silnie biły kopytami w twardą drogę, żeby się na niej utrzymać.

– No i cóż, Rafciu, u was tam w Sandomierszczyźnie nie ma ani takich dróg nędznych, ani takich wertepów. Prawda? Droga jak po stole...

– Ależ też za to lasu ani odrobiny.

– Co wam po lesie! Pszenicę za to macie jak nasz bór. Jeszcze wam mało?

– Już ja bym wołał tu mieszkać! Tu to dopiero życie.

– Tu wolałbyś mieszkać? Co gadasz? He, bracie, tu niełatwo wysiedzieć. Tu tylko taki jak ja wytrzyma.

– Już ja bym tam wytrzymał!

– Tak powiadasz?

– A tak.

– No, no, pamiętaj sobie, żebym ja cię za słowo nie chwycił i nie osadził w tej norze.

– Nic się nie boję..

– Ejże!... Ale wiesz?... to mię cieszy, że matczysko będzie

kontente. Co? jak myślisz? Wasze kuligi, bale czy reduty powinny dobrze wypaść. Mamy rogacza, mamy sarnę, jest w spiżarni dziesiątek zajęcy, jest warchlak. Będzie na ten wasz wieczór?... Powiadaj krótko! Bo jak nie, to jutro od świtu idziemy w knieję.

– Aż nadto, wuju.

– Nadto, nie nadto. Skoro jedziesz tyli świat, to z byle czym wracać nie sposób. Niechże się i dzika okolica pochwali.

Po chwili dodał:

– Pocziwa Anusia... My z twoją matką najbardziej zawsze z całego rodzeństwa pałaliśmy ku sobie afektem braterskim. Trudno o lepszą siostrę. Ech, Boże miłosierny...

– Gdyby to wuj zjechał do nas na ten kulig, dopiero by to mama i... tatka...

– Aby za tatkę nic nie obiecuj! Z tatką to już całkiem inny sentyment. *Amicus Plato...*

– No, niech tam, ale żeby tak wuj na ten kulig...

– Zwariowałeś, dycypulusie? Ja na kulig! Ja z Wyrw! Trzydzieści lat z domu nie wyjeżdżam, a teraz dopiero na kulig wyruszę, i to jeszcze aż gdzieś za Klimontów, we światy! Cóż ty gadasz?

Raptem szorstko dodał:

– Nie wyjadę. Nie, nie wyjadę. Mam dosyć!

Był już mrok. W nizinie ukazały się drzewa ciemne, aleje, budynki, świątełka w majątku Nardzewskiego. Wkrótce sanie pędem wjechały na dziedziniec i stanęły przed gankiem dworu.

Z okien tryskało w noc rześiste światło. Gdy konie osadzono, z ganku i z za węglów domu wybiegło kilku ludzi. Jedni wysadzali pana, inni zabierali się do wydobywania z sanek zwierzyny. Na gumnie panował ruch: do spichlerza znoszono w workach omłot dzienny, zadawano bydłu słomę, koniom obrok i siano. Psy podwórzowe, jeszcze uwiązane na łańcuchach, wyły wniebogłosy, szczekały myśliwskie kundły, wyżyły, jamniki. Jakiś olbrzymi kundys co chwila rzucał się do Rafała, żeby go z czułością liznąć po twarzy.

– Co takie światło na pokojach? – spytał Nardzewski.

– Jakisi przyjechał...

– Kto przyjechał?

– Miemiec czy co. Trudno go ta wyrozumieć. Przyjechali aże z samych Kielc z drugim. Tamtego furmanka powiozła do Bożęcina, a ten ostał i siedzi.

Nardzewski czmychał nosem w sposób wcale niegościnnie. Wreszcie nie mógł wytrzymać i popchnął pierwszego famulusa z brzegu, dodając:

– Diabli cię z twoim Niemcem!

Wpółśród wściekle szczekającej gromady myśliwi weszli na ganek i do pokojów. Na ich powitanie wstał z za stołu mężczyzna młody jeszcze, wygolony, przystojny, ubrany z dajczerska w krótkie, czarne suknie z klapami, w grube pończochy i płytkie trzewiki. Kłaniał się zgrabnie, mierząc Nardzewskiego uważnym spojrzeniem. Po chwili rzekł, z trudem wymawiając słowa i śmiesznie je akcentując:

– Czy honor mam z dziedzicem, z jegomością panem Nardzewskim?

– Nardzewski jestem, do usług... Kogóż, jeśli łaska, mam zaszczyt... w tych ubogich... te... progach?

– Moje miano jest Hibl. Z kieleckiego krajzamtu...

– A tak... Miło mi... Raczże waszmość rozgościć się jak u siebie. Służę zaraz.

Komisarz Hibl usiadł w obdartym krześle i przy blasku drgającego płomienia dwu świec łożowych, obojętnie, zimnymi oczyma przypatrywał się Rafałowi, który sam na sam zostawiony z gościem przez wuja nie wiedział, co ma robić. Nie zdjął nawet z ramienia swej pojedynki. Dopiero Kacper przyszedł mu z pomocą. Rafał usadowił się w ciemnym rogu dużej stancji i zaraz poczuł, jak mu się straszliwie chce spać. Głód skręcał mu kiszki, ale senność i nad tym górowała. Oczy chłopca dostrzegały jeszcze „Niemczyka” i płomyki topniejących świec, ale w przedziwnie wielkiej odległości...

Całe stado psów wałęsało się po pokoju. Jedne z nich wskoczyły wnet na sofę przy stole i oko w oko przypatrywały się gościowi, inne rozkładały się na dobre obok wielkiego pieca. Niemen i Wisła, bohaterzy dnia, śmiało układały się do snu w rogu kanapki, która była miejscem spoczynku Rafała. Tymczasem Nardzewski zrzuciwszy lisiurę wyszedł z sąsiedniego pokoju w lżejszych butach i łosiej kurcie ze srebrnymi guzami. Twarz jego była czerwona i oczy przekrwione od wiatru. Siadł przy stole naprzeciwko niemieckiego przybysza. Nim znowu zaczął

z nim rozmawiać, rzucił rozkaz:

– Wieczera!

Kacper znikł we drzwiach wejścia, prowadzących do sieni i kuchni na drugiej stronie wielkiego dworu.

– Siadaj, Rafale – rzekł Nardzewski.

Zwracając się do Hibla, przydał:

– Mój siostrzeniec, Olbromski, z Sandomierskiego. Na poetyce w szkołach sandomierskich *iuventutem* marnuje...

Gość skłonił się w milczeniu, nie podnosząc oczu. Nardzewski patrzył weń nieruchomym spojrzeniem, w którego wyrazie nie było cienia przyjaźni.

– Rad bym wiedział – rzekł z cicha, uprzejmie i prawie z pokorą – czy mamy zaszczyt należeć do tej samej nacji, co waszmość, panie komisarzu, czyli też, niestety...

Obcy podniósł głowę. Uśmiech nieokreślony wypłynął na jego wargi. Rzekł ostrożnie, z namysłem:

– Jestem w mieście stołecznym, Wiedniu, urodzony. Tam mój ojciec zamieszkały był, gdy przybył z czeskiej strony...

– Z czeskiej strony? proszę...

– Tak jest. My są Słowianie.

– Rozumiem.

– Kiedy ja byłem sześć lat stary, rodzice moi przybyli do Wschodniej Galicji i w jarosławskim krajzamacie osiedli. Tam się wychowałem. Ojciec mój był mandatariuszem w dobrach księcia Olelkowicza.

– I to rozumiem.

– Teraz ja... Ja jestem prawie Galicjanin. Wiednia nie pamiętam, umiem po polsku.

– Doprawdy?

– Bardzo jestem przywiązany do tutejszych zachodniogalicyjnych obywatelów i do tego kraju Zachodniej Galicji. Ja do tego kraju ze Lwowa wydelegowany, kiedy po nieszczęśliwych przypadkach i smutnych zamieszkach ten kraj używać nareszcie zaczął błogiej pomyślności pod panowaniem Najjaśniejszego cesarza i króla Franciszka Wtórego, zostałem.

– Toś waćpan dobrze powiedział.

– Bardzo to jest piękny kraj!

– A tak, dosyć piękny, tylko trochę niewesoły i, jak to sam spostrzegłeś, źlej konduity... – mówił szlachcic kiwając głową.

– Na lepszym pożytkowaniu ról zbywa... – nieśmiało wtrącił urzędnik. – Żadne drogi tu są, osobliwie w kieleckim krajzamacie. Ach, co za drogi! Ja myślałem, że tylko w Karpackich Wielkogórach takie drogi bywają.

– To są, mości panie, polskie drogi. Ale jakoś i takimi zajedzie, skoro się uprzeć. Co mówię? Wjedzie tam, gdzie, zdawałoby się, tylko czarownica na łąpacie doleci...

Dalszą rozmowę przerwało wkroczenie wieczerzy. Drzwi się otwarły i tłusta gospodyni wniosła salaterki z kiełbasą w zawieszonym sosie. Dwie dziewczki niosły półmiski z kartoflami, suto kraszonymi skwarkami słoniny. W mgnieniu oka stół nakryto obrusem i ustawiono fajansowe, powyszczerbiane talerze. Sztućce były bardzo pospolite, w oprawie z jeleniego

rogu. Gość ostrożnie zabrał się do niewielkiego kawałka kiełbasy, a resztę momentalnie podzielili między siebie myśliwi, zgłodniałi po całodziennych marszach i poście. Dymiące kartofle znikły. Znikła także druga potrawa: zając pieczony na rożnie. Przy drzwiach stał wciąż strzelec Kacper i łykał ślinę, aż mu się grdyka ruszała. Zajęty był wykręcaniem ze strzelb nabojów i przemywaniem luf ciepłą wodą.

Rafał, słysząc pociągającą muzykę szorowania wnętrza flint mokrymi pakułami okręconymi o stempel, nie tknął już wina, którego kieliszek wuj mu podsuwał. Przysiadł w kucki obok strzelca i sennymi oczyma patrzył, jak czarna woda strzyka w miskę z panewek. Nudziła go rozmowa i obecność Niemca, a spać jeszcze nie było sposobu, gdyż słano mu zawsze w tym właśnie pokoju na sofie.

– Waszmość dobrodziej hoduje, jak widzę, piękne psy. To bardzo piękne psy są – mówił przybysz, głaszcząc z widoczną odrazą łeb Niemna, który mu poufale na kolanach łapy opierał.

– A niezłe psiska. Dziś się już podstarzały, ale jeszcze z pola nie schodzą. Jeszcze i cuch, i rozum przedni mają. Osobliwie suka. Chodź no tu do pana. Wisęłka.

Przygarnął sukę i gładził ją pieszczotliwie.

– Ona to wydaje się na oko niby melancholiczka, a to jest psisko bardzo a bardzo wietrzne i gońca pierwszej wody. I on tam, Niemen, ma ochotę i upór, ale za nią tylko poprawia. Spójrz no waszmość, co to za przestronne nozdrza! jakie wilgotne! Jak waści pies takim nosem wiatr weźmie, to tam już

ma co trąbą podać do mózgu. A jaki za to u tego grzbiet! Bo i pieczeniasty, i długi, zważ waćpan. A za to u tej... noga. Co? Stopka podługowata, widzisz waćpan? Ona mi się jeszcze ani razu nie podbiła...

– Ale! – wtrącił Kacper – gdzie się to taka suka podbije. To idzie po śniegu czy po grudzie jak ten lis.

– On, choć jest pies cnotliwy, nieraz się znosi i milczkiem, zdrajca, nakłada, a ją zawsze słyhać: idzie równo lasami jak dyliżans po gościńcu. Głos jak u młodej wdówki. Co ona wiatrem i prędeż, to ten musi kopytem, leniwiej, na rozum i nie tak ręczo, a za nią, za nią!

– To bardzo piękne psy... A czy i tamte kundle także jakie zalety mają? – z odcieniem ironii pytał Hibl wskazując wielkie kudłate psiska pod piecem.

– Tamte? A to samo psy zacne. Na dzika – jedyne! Toż zeszłego roku w samą wilię wzięliśmy z nimi dzika prawie żywcem.

– Aż tak? – dziwił się Galicjanin.

– Byliśmy we dwu z tym oto strzelcem.. Wyszlakował był dziki w lasach, tu na Bukowej Górze. Nocowały w małym smugu, w oparzeliskach. Poszliśmy raniuteńkiego. Puściliśmy te pieski w zagajnik. Cicho, cicho... Aż jak wrzaśnie oto ten – Rozbój; aj-aj-aj! Na oko wszystkie i zębami! Wygnały dzika tylego jak bawół wprost na niego, na Kacpra. No, zaczął mierzyć, celować, przykładać się i, dasz waćpan wiarę? – chybił. *Artifex!* On i takie sztuki potrafi, choć przecie ze mną trzydzieści lat

za zwierzem chodzi, a chwali się, że kszycowi, jaskółce w lot nie zborguje. A psy swoje: stanowią dzika w głębokich śniegach. Żebyś waszmość widział ten obraz! Jeden się wszczepił w ucho, przelazł na bałyku przez bestię i wisi, ani piśnie. A ślepie u niego – żywa krew! Drugi trzyma za lewe ucho; przednimi łapami worał się w śnieg, w ziemię, i nie popuszcza. Trzeci, Kusy, dopada, dopada... Dzik toto wszystko wlecze na sobie i brnie śniegami. Ale kłem, rozumiesz to waszmość, nie może, ani ani, bo Rozbój... Czasem tylko dmuchnie nosem albo ciapnie pyskiem... Ja tu strzelić nie mogę, bobym psa, czego Boże broń, zabił. A już wolałbym sobie w nogę palnąć niż w takiego psa. No, a dzik mi idzie w lasy i my jak głupcy za nim. Dopiero się przecie mój Kacperek odważył. Przeżegnał się i wlaź na dzika okrakiem, siadł se na nim mocno jak na koniu, obcasy wparł w ziemię. Tym oto kozikiem, co go ma u pasa, zaczął mu podrzynać gardziołek. Naśmiałem się też wtedy! Bo to jechał na dziku ze siedem pacierzy, nim mu wszystkie żyły i *arterias* poprzerzynał.

– Szelma też to była sroga, choć i ten dzik! – westchnął Kacper. – Znałem ja się z nim! Dopadł ci mię on jednego razu na Cisowskiem, a jak mię zorał kłem po łydach, to do samej kości mięso ozdaruł, jak cygankiem, aże w kolano. Pod siebie mię przecie o mało nie wziął, ciortu brat, bom go się był bardzo przeląkł. Teraz jeszcze, jak se spomnieć, to człowiekowi *seremno*. A ja już bywałem pod dzikiem. Już mi ta jeden orał kozuch na plecach to prawym to lewym kielcem, i deptał po mnie

raciami: z tego wiem, co taki ma w sobie za siłę! Świnia! Ślepiem na mnie, zatracony, pojrzał tylim, jak żołądzia łupina a krew człowiekowi w żyłach zmarzła i w gardzieli głos zatkało... Alem ja i tamtego to samo polechtał po szyjce...

– Ba! my tu rozprawiamy – wtrącił Nardzewski – a waszmość, panie komisarzu, może i owo zgoła nie myśliwy?

– Ja wcale myśliwy nie jestem. Gdzież czas na takie zabawy znaleźć bym mógł? Zawsze na służbie.. Oto i teraz delegowany na komisją do wielmożnego pana, jako do zwierzchności gruntowej, jestem.

– Do mnie? Na komisją?

– Tak jest.

– A w jakiejże sprawie, jeśli łaska?

– Spraw bardzo wiele.

– Nawet bardzo wiele. To ciekawe...

– Czy możemy zacząć w tej chwili?

– Noc to... Ale proszę, proszę...

– Ja przybyłem za dnia i czekałem cierpliwie. Jutro muszę jechać dalej.

– Toteż ciekawie słucham.

– *Primo*, konskrypcja dusz.

– Dusz konskrypcja? Chłopskich?

– Tak jest.

– Słyszane rzeczy!

– Baron von Lipowski, pierwszy cyrkułowy komisarz kieleckiego krajamtu, nie mogąc sam osobiście, mnie wysyła...

– A cóż waszmościom, u Boga Ojca, do moich chłopów?

Urzędnik z lekka a szczerze uśmiechnął się nie podnosząc oczu. Nie odpowiedział też na to pytanie, lecz zadał inne:

– Czy wielmożny pan na fundamencie dekretu ratę ofiary styczniowej dziesiątego i dwudziestego grosza na ręce egzaktora w Chęcinach, urodzonego Czaplickiego, zapłacił był?

– Ratę ofiary? Cóż to za ofiara?

– Po wstąpieniu wojsk Jego Cesarskiej i Królewskiej Mości w kraj tutejszy – mówił urzędnik głosem kaznodziejskim – odezwę do obywatelów feldcajgmajster de Foullon z żądaniem składania ofiary bez najmniejszej zwłoki wydał był. W styczniu zeszłego, 1796 roku przez duchownych z ambon ten cyrkularz publikowany jest, a każdy pleban udzielał go obywatelom za rewersem. Czy wielmożny pan to *publicandum* otrzymał?

– Być może. Ale ja do papierów żadnej zgoła wagi nie przywiązuję. Mnie papier potrzebny tylko na przybicie prochu i śrutu, i to jeszcze przekładam flejtuchy z pakuł nad papierowe.

– Otóż, przeciw lepszemu spodziewaniu, wielmożny pan jeden z niewielu zaległ w opłacie.

Nardzewski siedział na swym krześle z rękoma w kieszeniach rajtuzów. Twarz jego, schłostana przez wiatry, była teraz szkarłatna, wargi odęte. Milczał długo.

– Bardzo być może... przeciw lepszemu spodziewaniu – wycedził wreszcie przez zęby.

– To *ad primum*. A teraz co do *homagium*. Pan baron von Lipowski, pierwszy cesarski komisarz kieleckiego krajzamtu,

żebym wyraził wielmożnemu panu niezadowolenie z powodu jego absentowania się w tej tak ważnej sprawie, polecił mi był.

– Do diaska! siła grzechów, jak widzę, ciąży na moim sumieniu...

– Tak jest. Wielmożny pan nie tylko nie udał się osobiście do Krakowa...

– Ja do Krakowa! Ale czegoż to waszmość wymagasz ode mnie?

– To nie było wymagane.

– Nie wymagane znowu! Więc jak?

– To było oczekiwane od obywatelów.

– Raz wymagane, drugi raz oczekiwane!... Ja, mości panie, trzydzieści lat z tych oto Wyrw nie wyjeżdżałem i nie wyjadę. Nie wyjadę, chociażby kije z nieba leciały! Tu siedzę i skończona rzecz. O niczym nie wiem... A pierwszy von Lipowski komisarz... Mam już dość Krakowa – i wszystkiego świata!

– To wszystko bardzo być może...

– Ostatni raz byłem w Krakowie *anno Domini* 1768. Porachuj no waszmość, ile to lat.

– Rzeczywiście – wykrztusił Hibl przeglądając jakieś papiery.

– Dawne to już, ubiegłe czasy, mości panie. Jeszcześ wówczas wasze nawet Wschodnich Galicjów nie oglądał.

– Wielmożny pan tam do szkół zapewne?... – mówił urzędnik segregując w dalszym ciągu stosy swych notat.

– Do szkół? Ale co znowu! Ja szkoły traktowałem w Sandomierzu, w sławnym po wsze czasy kolegium ojców

jezuitów, choć już z niego ani dymu, ani popiołu. Ale nie do nauk byłem stworzony. Szczerze mówiąc, ledwie się przez infimę, gramatykę i *syntaxim* przebił nie bez trudu, a poetyki i retoryki owo zgoła zaniechałem. Kraków!... – mówił w zadumie – nigdy tam moja noga nie postanie. To waszmość możesz oświadczyć pierwszemu baronowi z czegoś tam kieleckiego.

– Z kieleckiego cyrkułu – wyraźnie i zimno oświadczył urzędnik.

– Mnie te nazwy ani pachną, ani śmierdzą...

Hibl nieznacznie coś zanotował w pugilaresiku.

– Powiem waćpanu – ciągnął szlachcic – czemu Krakowa nie lubię. Sam pojmiesz.

– Proszę, proszę...

– W młodocianym wieku osierocony przez rodziców, wzięty byłem przez opiekuna całej mojej puścizny, krajczego – Panie świeć nad jego duszą! – Olchowskiego ze szkół, gdzie się tyle że wałkonił i po wagarach chodził. Na dworze jego, w Sieprawicach, młodość strawiłem. Siostrę moją, matkę tego oto młodzieńca, wychowała nieboszczka krajczyna. Pan Olchowski, jako sam człek ongi rycerski, bo z królem Janem bywał, widząc we mnie ochotę do szabli, udzielił mi błogosławieństwa w imieniu rodziców, a na znak i zakład posłuszeństwa *antiquo more* kazał rozciągnąć na kobiercu i własną swą senatorską ręką wyliczył mi pięćdziesiąt batogów. Zaraz też sto obrączkowych wsypał do trzosika, dał dwu pocztowych, dwa konie wierzchowe jak diabły, ryngraf na piersi,

i sam odwiózł do chorągwi pancерnej, co się wówczas uwijała koło Miechowa. Wtedy oto pierwszy raz widziałem Kraków. A ostatni raz, ostatni... I niech go tam jasne pioruny spalą, cały wasz Kraków! Więcej tego wszystkiego kosztować nie myślę...

Gość zaśmiał się z cicha, chytrze rozszerzając powieki. Szepnął z udanym zdziwieniem:

– Dlaczego? Wielmożny pan obiecał wyjaśnić...

Szlachcic słyszał ten okrzyk i widział uśmiech, ale niezrażony mówił dalej:

– Dlaczego? A no dlatego... Wytrzymałem był w tym Krakowie oblężenie pospołu z bracią z województwa sandomierskiego, krakowskiego jako też i ziemi sanockiej. Wytrzymałem dziesięcioniedzielny szturm do miasta. Byłem przytomny, kiedy nieprzyjaciel zdradą wpuszczony był do grodu, a my wszyscy sromotnie poddać się przymuszeni byliśmy. Złożyliśmy jak barany rysz tunek wojenny i dwie niedziel zamknięci w zamku krakowskim czekaliśmy na rezolucję, co też z nami uczynią. Trzy nasze związki konfederackie, Boże mój, Panie miłosierny! rozłączono, a każdy do innej sali na zamku graf zamknąć kazał. A skorośmy do tych sal weszli, warta z ukrytych miejsc pokazała się, u drzwi i okien miejsca zajmując. Nazajutrz przyszedł placmajor z rezolucją, ażebyśmy do podróży byli gotowi. Dwustu siedemdziesięciu nas samej szlachty oficerów w marsz wyszło przez Grodzką Bramę. A za nią bramą zastaliśmy konwój z karabinierów. Ci nas wiedli błotami i drogą złą w naznaczonej podróz. Później dopiero dano

nam podwoły i tak oto z wolna jechaliśmy w oczach ludzkich przez Skalbmierz, Staszów, Iwaniska... Za Staszowem idzie tam droga szeroka lasem... No, mój ta już był blisko kraj. Z dała Święty Krzyż widać... Zdarzył się był nocleg w miasteczku Bogoryi. Dokoła zajazdu, gdzie my w stajniach pokotem leżeli, warta czuwała. Wstałem ja w późną noc, przyszedłem do karabiniera pierś w pierś, gdy się nie spodział, i wziąłem mu z rąk broń siłą a w mgnieniu oka.

– Spał? – cicho szepnął urzędnik.

– Co miał spać?... Czuwał!

– Więc jakże?

Szlachcic uśmiechnął się boleśnie i strzepnął palcami.

– Nie pamiętam już dobrze, jak się to stało... Dość, że mię... te... puścił. Rzuciłem się we drzwi, między domostwa, wypadłem w pola i dopiero co mocy w nogach! Gwałt uczynili żołnierzykowie, dalej sypać za mną w ciemności kulami, tylko mi koło uszu gwizdały. Ręka Boska odegnała... Lasami przyszedłem do tych moich Wyrw bosy, obdarty do naga, głodny. A stanąwszy w tych progach, takem sobie rzekł: „Teraz Ci, Panie Jezu, ślubuję, że już nie wyjdę!”. Otóż i siedzę jak leśny wilk. Widzisz waszmość, że jadłem dość w tym Krakowie chleba, na poły z plewami spieczonego... Zważ waszmość, że działa się ta sprawa w roku Pańskim 1768. Gdzież mnie teraz do Krakowa? Co bym tam ujrzał?

– Wielkie zmiany, pożądane zmiany. Ten dzień 17 sierpnia zeszłego roku na zawsze zostanie w pamięci wszystkich, co

go widzieli. Najprzedniejsze obywatelstwo Zachodniej Galicji zgłaszało się do nadwornego komisarza, pana barona Margelika, z życzeniem asystowania przy wjeździe jegomości pana hołdowniczego, księcia Auersperga.

– Najprzedniejsze obywatelstwo, mówisz waszmość? Patrzajcież!

– Tak jest. Nie wszyscy mogli być przyjęci, osobiwie na dzień samego wjazdu 9 sierpnia. Co to za festyn był! Szły naprzód ku miastu przez most z przedmieścia Josephstadtu...

– Skąd, proszę?

– Od przedmieścia Podgórze dawniej zwanego.

– Dawniej zwanego!... a teraz Josephstadtu...

– Cechy, korpus kawalerii, stangreci obywatelów asystujących bez koni naręcznych, berajterowie, trębacze, później szlachta polska na pięknych koniach...

– Berajterowie, trębacze i szlachta polska na pięknych koniach...

– Damy polskie w powozach, dwór jegomości pana hołdowniczego, wreszcie on sam – i znowu korpus kawalerii.

– Piękne widowisko, przez Bóg żywy!

– A w dniu hołdu! Od pałacu Spiskiego do kościoła Panny Marii i do katedry na Wawelu stanęła infanteria i kawaleria w prostych liniach. Wyszli mieszczanie ze swymi cechami, świeckie i zakonne duchowieństwo, deputowani z cyrkułów i wszystka obecna szlachta w paradnych strojach, dalej personel Gubernium krajowego, wszystkie urzędy, Akademia. Wszyscy

uszykowali się w swych miejscach. Cisza jest, bardzo wielka cisza. Wtedy począł dzwonić na Wawelu wielki, starodawny dzwon Zygmunt.

Nardzewski słuchał uważnie. Z podziwu czy zachwytu głowa jego chwiała się na prawo i na lewo, a z gardła dobywał się co chwila przemocą trzymany głos.

– W wieczór – ciągnął komisarz – było całe miasto iluminowane, a w Sukiennicach księżę jegomość Auersperg dał wielki bal, gdzie się aż do samego rana bawiono. Zjazd był tak wielki z obydwóch Galicjów, że Sukiennice nie mogły wszystkich gości ogarnąć. Blisko sześć tysięcy szlachty w nich się z największą radością bawiło. Przy stole były spełnione toasty z wielkim zapalem, przy odgłosie armat...

Nardzewski wciąż śmiał się. W pewnej chwili mruknął nie odwracając głowy.

– Zawieś mi kartę.

Strzelec natychmiast porzucił rozkręcone strzelby i do wahadła zegara, który naprzeciwko miejsca, gdzie siedział Nardzewski, wisiał na ścianie, przyczepił asa żołędneho. To uczyniwszy, prędkimi krokami i z obawą, jakby się paliło, pobiegł do sąsiedniej izby, przyniósł stamtąd dwa piękne pistolety dziwerowane, z kolbami bogato srebrem nabijanymi, i położył je przed dziedzicem na stole.

– Kontynuuj waszmość, jeśli łaska... Miło mi słuchać tego, co mówisz, miło mi, przez Bóg żywy! He-he... Więc tedy powiadasz jako wiarogodny świadek, że sześć tysięcy

najprzedniejszej szlachty do rana z radości hulało, że te... I toasty, i okrzyki... A królewski, starodawny dzwon Zygmunt...

Urzędnik zamilkł i zbladł. Oczy jego kilkakroć błysnęły złowrogo i znowu skryły się pod powiekami. Prawa ręka ociężałym ruchem skradła się w zanadrze jedwabnej sukni i wydobyła stamtąd wąski, wenecki sztylet tak szybko, że ten ruch ledwie zdołały pochwycić bystre oczy Rafała. Nardzewski ciągnął:

– Mówże waszmość, miłościwy panie, z łaski swej... Niech i moje serce napoi się po brzegi radością tych dni! Ja tu w lasach, pośród wilków i lisów żywiąc, gdym rad, strzelam do tego znaku. Waszmości pewno dym prochowy nie szkodzi... Cha-cha... Na wiwat!

To rzekłszy ujął pierwszy z brzegu pistolet i spojrzał w oczy Niemca. Po twarzy snuł mu się uśmiech, a spomiędzy warg wypadał szorstki ów chichot, podobny także do czkawkki czy łkania.

Hibl miał twarz spokojną, tylko jakby stężałą. Prawe jego oko było przymknięte i dolna szczęka nieco wysunięta. Mówił z wolna, głosem pewnym i spokojnym:

– Cały ten wiekopomny akt przysięgi na wierność monarchom dynastii Habsburskiej odbył się w największym porządku.

Nardzewski podniósł pistolet i strzelił.

Dym nappełnił pokój. Wapno przez kilka chwil sypało się ze ścian i powały.

Rafał podszedł do zegara i sprawdził, że czarny znak

zołędnego asa był z karty wystrzelony. Gdy się dym rozwiął i zaczął odpływać do izb przyległych, młody chłopiec ujrzał w polu odchyłeń wahadła mnóstwo kul, które siedziały w modrzewiowych belkach. Niektóre były wpakowane jedna na drugą i rozplaszczone.

Komisarz nie interesował się wcale wynikiem strzału. Siedział na swoim miejscu i kiedy niekiedy machał ręką dla odpędzenia dymu. Widząc, że Kacper z pośpiechem nabija wystrzelony pistolet, mówił oschle, wyraźnie i śmiało:

– Mnie dym prochowy nie szkodzi, ale może wielmożny dziedzic zaniecha strzałów. Jeszcze ważne sprawy... Podług osnowy rozkazu mej władzy ogłaszam jako zwierzchności gruntowej, że liczba dni roboczych, jakie odtąd komornicy świadczyć będą rocznie bez różnicy płci, trzynaście, a liczba dni chałupników dwadzieścia sześć wynosić ma. Chłopi posiadający grunta, o ile płacą określone podatki, pracować na rzecz wielmożnego pana nie więcej nad trzy dni w tygodniu mają. Dłużej jak osiem godzin w zimie, a dwanaście w lecie żaden pracownik w polu czy w gumnie robić obowiązany nie jest. Święto, gdy przypada w dzień pańszczyźniany, liczy się na korzyść pracowitego chłopca.

– No i cóż jeszcze? – mruknął Nardzewski.

– *Presshafte Leute* – mówił urzędnik – to znaczy podupadli na zdrowiu, starcy powyżej lat sześćdziesięciu wolni od robocizny być mają.

Nardzewski znowu ujął pistolet i strzelił. Nie czekając nim

się dym rozejdzie, wyrwał broń z rąk strzelca. Ostatni słuchał tak ciekawie tego, co mówił urzędnik, że ledwie ruch pana spostrzegł.

– Nabijaj! – wrzasnął Nardzewski – bo ci tu na miejscu łeb roztrzaskam!

– Żaden poddany...

– Co jeszcze? Co jeszcze?

– Aby żaden kmieć, skrzywdzony przez pana, żadną drogą samowładnie sprawiedliwości dla siebie forytować nie ośmielił się, rozporządzono jest, żeby do krajzamtu w Kielcach, wprost do pełnomocnego komisarza ze skargą szedł – ciągnął urzędnik głosem ochrypłym, ukryty już prawie w dymie prochowym.

– Niechaj spróbuje!

– Rozporządzono dalej...

– Co waszmość chcesz mówić? – z cicha, głosem suchym rzekł szlachcic wstając ze swego miejsca. – Ja tu jestem panem, ja prawem! Naddziady tu moje siedziały... Moja to jest ziemia i moi ludzie. Te Wyrwy to jest mój kraj. Mój i niczyj więcej! I przez Boga żywego tu nikt...

Komisarz śmiał się.

– Za Jana Kazimierza, po wojnach, przybył tu prapradziad mój, Józef, i te pustki lasami porośłe kupił za grosz w boju na kresach ranami zdobyty. Sam własną ręką, wyszorowaną w ciągu lat przez pancerz i rękawicę, karczował te role, rwał pniaki i jałowce. Sam zrównał nowiny, wyniósł kamienie. Idź waść i obacz one kamionki dokoła moich pól! Latami ten człowiek...

Na tych to rolach moje chłopcy siedzą. Nie miał na zawołanie najemników, a choćby i byli, to czymże by ich opłacił? Przyszli za nim ludzie bezpańscy z dobrawoli, nędzarze przymierający głodem, i za kawały gruntu, za budynki i gospodarski dobytek zobowiązali się do stałej daniny w pracy. Lepiejże im może było tułać się po słotach, nie mieć dachu nad głową? Lepiej było poniewierać się w czeladzi po dużych dworach, czyli też siedzieć tu w jasnych domostwach, na świętej, pospólnej ziemi, z której nie płacili przecie pieniędzy? Żyli tu jako jedna rodzina. Babka moja, jak zapamiętam, matka i moja, Panie, świeć nad jej duszą, żona, były ich lekarkami. Spytaj waszmość, kogo chcesz, czy i ja sam, choćem człek twardy...

Hibl kiwał głową.

– Jeśli zagrodnik trzysta zagonów roli pańskiej posiada – mówił z uśmiechem ironii – niech płaci od każdego zagona po groszy miedzianych trzy, jak jest zwyczaj. Przypadnie za wszystkę jego rolę złotych sześćdziesiąt. Rachujmy dzień roboczy najtaniej po groszy miedzianych piętnaście, przypadnie za wszystkie dni robocze w roku złotych siedemdziesiąt osiem. Dobrze mówię?

– Mów wasan.

– To jakże? Gdzież reszta? Kto bierze osiemnaście złotych? A przecież to nie koniec! Muszą przecie nadto stróżę po nocach odbywać, na posyłki chodzić. A daniny? Za cóż jeszcze daniny składają? Czy także z gruntu pradziadowskiego? Przecie go pracą na pańskim z czubem okupili. Dają różne gatunki zboża,

dają kury, jaja, połowę miodu od pszczół, muszą znosić do dworu określoną ilość lnu, jagód, orzechów, grzybów. Nawet gdy się orzech w lasach nie urodzi, dać go muszą, bo tak prapradziadom za Jana Kazimierza dawali.

Nardzewski słuchał tego wszystkiego jakby w osłupieniu. Ręce jego bezwładnie leżały na pistoletach.

Rzekł spokojnie:

– Skądże to waszmość wiesz? Skąd wiesz? Drażnisz mnie licząc na to, żeś pod dachem szlachcica polskiego... Ale, przez Boga żywego, nie czyni tego dłużej.

– Ja się broni nabitej nie boję... – rzekł komisarz z dumą, wstając ze swego miejsca.

Po chwili zwrócił się do strzelca ze słowami:

– Zawiadomić wójta i ławników, żeby się jutro cała wieś zgromadziła na dziedzińcu dworskim. Urzędowe rozporządzenia przeczytane będą. *Ad tertium...* Co do gromadzkiego spichlerza...

Nardzewski spojrział na strzelca okropnymi oczyma i z cicha mówił:

– Niech mi Jawor obębni po wsi, że jutro mają się zejść wszyscy, kto żyw. Na mój rozkaz, słyszałeś! Będzie brał karę Tomek Zalesiak za to, że się dobierał do mego lamusa. Otrzyma przy całej wsi i w oczach tego oto pana komisarza sto pięćdziesiąt miotełek brzoźowych, jak za Jana Kazimierza, Michała Korybuta i innych bywało.

– Oświadczam uroczyście wielmożnemu panu, że to się nie

stanie – mówił komisarz. – Bić zabrania się wszelką miarą. A teraz pragnąłbym udać się na spoczynek.

Szlachcic konwulsyjnie chwycił się za głowę i coś jak szczekanie wyłamało się z jego zduszonej gardzieli. Wstał ze swego miejsca i zaczął chodzić po izbie z rękoma w kieszeniach rajtuzów. Twarz jego była straszna, o kolorze dymu, który ją owiewał. Co pewien czas piersi jego jęk wstrząsał, a wargi ciskały wyrazy bez związku.

Rafał w postawie siedzącej chrapał w kącie sofki, jak zarżnięty. Sen jego był tak twardy, że nawet nowy strzał wuja tylko go na chwilę ocucił...

Był już dzień biały, kiedy Nardzewski zaczął budzić siostrzeńca. Młodzieniec nierychło podniósł głowę. Zdało mu się, że dopiero co zasnął i chwileczkę drzemał. Ze zdumieniem też spostrzegł, że jest rozebrany i leży pod kołdrą.

– No, kochanku, szkapy zaprzężone: komu w drogę, temu czas – mówił Nardzewski. – Droga daleka, dzień mały...

Chłopiec wyskoczył z łóżka i zaczął się ubierać. Na dworze słyhać było gwar ludzki, szczekanie psów i donośny głos urzędnika przemawiającego z ganku. Stary szlachcic chodził po pokoju szarpiąc czuprynę i wąsy. Twarz jego była szara, oczy zdziczałe. Naglił siostrzeńca do pośpiechu, tłumacząc mu ochryplym głosem, że dzień krótki. Zmusił go do prędkiego wypicia winnej polewki, otulił niedźwiedzią kiereją, wyprowadził na dwór i wsadził do szerokich sanek, naładowanych zwierzyną. Cztery dzielne konie w lejc

zaprzężone, włochate i dymiące na mrozie, niepokoiły się wśród tłumu chłopów w rudych sukmanach, bab w wełniakach i dzieci. Kiedy woźnica był gotów, Rafał uściskał wuja i zasiadł się dobrze w słomianym siedzeniu.

Tak mu było żal jechać, tak niewymownie... Paliła go nienasycona ciekawość, jak w lesie, gdy się odezwał głos ogarów.

Co też to będzie? Co się tu stanie?

Widział rozognione twarze chłopów, błyszczące ich oczy, które nic nie dostrzegały poza figurą urzędnika. Hibił w krótkim futerku, oparty o słup ganku, coś dobitnie rozpowiadał.

Nardzewski dał znak furmanowi i sanie, głośno skrzypiąc na mrozie, ruszyły z miejsca.

– Przyprować Zalesiaka! – krzyknął wtedy szlachcic przerywając tym sposobem wykład komisarza.

Rafał nastawił ucha.

– Sołtys, bębnić!... – wołał Nardzewski.

Dał się słyszeć ponury, groźny głos bębna...

Konie Rafała, ściągnięte długim batem, pomknęły z kopyta torem iskrzącym się od mrozu.

Kulig

Z Opatowskiego w kierunku Koprzywnicy i złotopszenicznej niziny Powiśla, wskroś jedyne go na świecie Sandomierskiego Płaskowzgórza, gnał kulig. Łańcuch kilkudziesięciu sań budził całą okolicę radosnym głosem dzwonek, brzękiem łoskotem janczarów, trzaskaniem batów na cztery konie, wrzawą okrzyków, bębnow, fujarek, melodią śpiewów i muzyki. Kilkunastu pajuków rwało na folwarcznych szkapach, trzymając w garściach pochodnie, w ślad za saneczkami arlekin w czarnej masce, zakopanego w wielkie niedźwiedzie, który na czele orszaku pomykał. Blask złotych ogni w dymie – płatami rozdzierających noc, o kilka wiorst na płaszczyźnie widoczny, kładł przed oczy zaspę, parowy, urwiska i wskazywał wśród nich przetartą drogę.

Noc była widna, księżycowa, mroźna.

Wielkie śniegi, przemarzłe w tęgich mrozach, leżały pierzastymi zaspami. Tu i owdzie wypełniły po brzegi wąwozy, których tyle w tamtej okolicy, gdzie indziej zaadęły opłotki a nawet wioszczyzny przytulone do urwisk. Mglistymi kępy i drgającymi żywo światełkami znaczyły się dwory na przyczółkach parowów. Konie po brzuchy zapadały w wywary, roznosiły w puch największe zadmy, które ledwie przeorał arlekin. Kulig nie znał przeszkód. Tworząc ogromny korowód leciały sanie najrozmaitsze. Jedne były snycerskiej

roboty, pozłacane lub posrebrzane, z czasów jeszcze saskich i Stanisławowskich, w kształcie łabędzi z długimi szyjami, w kształcie gryfów i orłów, pozaprzęgane czwórkami w piórach i czubach; inne – zgoła prostackie, ledwie przez domowego cieślę pomalowane *lubryką* lub na zielono, a ciągnięte przez fornalki rozmaitej maści i wzrostu. Zarówno pyszne cugi jak chety z jednaką brawurą i życiem rzucały się w zaspę, niby czółna w fale jeziora.

Radość kipiała w sercach.

Kapela, złożona z klimontowskich Żydków, rznąła od ucha mazury, oberki, krakowiaki, drabanty. Chwilami porywająca melodia przygasała jak od zachwytu, co dech zapiera, i tylko z jakiejś głębi, jakby spod śniegu, dolatywała do uszu i serc. Wtedy odzywały się pieśni. Więc z jednej strony słychać było tkliwe dyszkanty damskie:

Ścieni dąbek, ścieni, już się nie zieleni...

Dałam chłopcu słowo, już się nie odmieni!

A z innej naigrawały się potężne basy męskie:

A ja sama nie wiem, co to za przyczyna:

Gustuję w bronce, wzdycham do blondyna!

Zaraz odcinał się chór panieński:

Granatowy fraczek, woskowane buty —

Teraźniejsza młodzież same bałamuty.

I znowu z góry donośnie, siarczyście zanosiły się skrzypce, basy i flety, głuszając wszystko.

Rafał, jak większość najmłodszych kawalerów, jechał konno. Pierwszy to raz w życiu dostał od ojca pozwolenie zażycia faworytnej „Baški”, młodej klaczki swego chowu. Baška liczyła sobie dopiero trzy wiosny. Pochodziła z ojca czystej krwi araba i matki polki. Była płocha, żywa, a przecie nad wszelkie słowo rozumna. Główkę miała maleńką, śliczną. Siwa sierść pokrywała jej skórę, cienką jak jedwabnica. Klacz szła w pługach, stroiła ogniste skoki. Bawiła się jak człowiek: to nastawiwszy uszka i rozdymając nozdrza z chrapaniem, słuchała muzyki, to za nią w żartkich lansadach szła niosąc jeźdźca rozkosznie jak w kolebce. Rafał był szczęśliwy co się zowie. Kieliszek starego węgryzyna, wypity gdzieś w ostatnim dworze w Górkach, Ossolinie czy Nasławicach, rzucił jego uczucia jakoby na ptasie skrzydła. Koń niósł go wskroś tych zasp, których zimny oddech tak miłośnie mu twarz ochładzał... A w saniach lecących przed nim – te dwie panie... Jedna starsza, mężatka czy wdowa; druga – młodzianka dziewczyna. W blasku księżyca widział ich głowy i kołpaczki: u jednej – starożytny, sobolowy, z kitką osadzoną wśród brylantów; u drugiej – okrągły, suty, z gronostajów cynkowanych.

Osobliwie ta starsza, w salopie złotego koloru z puszystym futrem... Tańczył z nią krakowiaka i mówił już kilka wyrazów.

Stał mu w oczach cudny czar tej osoby, jej oczy zachwycające, które, zdawało się, nie widzą go wcale, i uśmiezek, który się z jego pomyłek w tańcu tak przedziwnie naigrawał. Wtedy nawet, gdy on, Rafał Olbromski, żywy i trzeźwy, na nią patrzył w futro otuloną, widział ją w głębi siebie inną, odmienną. Wspominał, jak z nim tańczyła w sukni greckiej purpurowego koloru, rozkosznie ściskającej stan i piersi, potoczystej, z ogonem i obszyciem ze złotego masyfu.

Pamiętał śliczne ręce w bufiastych rękawach, ze śliskiego atłasu, które się do niego w tańcu wyciągały, i włosy z grecka trefione. Podniecał konia do skoku i kiedy się równał z saniami, wówczas brylanty na kołpaczku, zwróconym w jego stronę, migotały w blasku księżyca. Oczu nie było widać, i Rafał pewien był, że nie patrzą. Jakże czarodziejsko, jak rozkosznie mieniły się błyski drogich kamieni.

Zdało się pomimo wszystko, że to uśmiech ów skryty, niewidoczny, schowany i wzgardliwy, a przecie nad wszystko powabniejszy, przez noc się ku niemu przebija. Schylał się niby to poprawiając trzęzę lub puślisko, ale i tak oczu nie widział.

Sam był przebrany w strój niby wiejski, krakowski, w żupan granatowy z karmazynowym kołnierzem, lamowany srebrnymi galonami z szychu, w zuchwałą czapkę karmazynową, rogatą, z pawim piórem. Pas z kółkami pobrzękiwał na nim, a stalowe podkówki trzaskały o strzemię.

Co chwila odwracał się ku niemu i drugi kołpaczek. Ta głowa dziewczicza była bliżej. Nie kryła wcale swych spojrzeń. Widział

oczy i rozchylone usta, małe, pąsowe, czuł nawet unoszący się nad saniami w czystym powietrzu zapach *l'eau de la reine d'Hongrie*, tak pocziwie zwany larendogłą. I były chwile, że jak przykuty, jak we śnie, sam nie wiedząc czemu, wpatrywał się w te oczy, które się do niego śmiały z serdecznością i szczęściem.

Bo nie masz krainy, nie masz takiej strony,
Gdzieby nie kochali chłopcy cudzej żony...

– wyleciały jak z procy skądś, aż z ostatnich sanek, swawolne słowa.

Niby groty z ognia uderzyły w Rafała i jakoby oczywiste prawdy zatrzęśły nim aż do samej głębi duszy. Pochylił się na kark konia i tylko siłą wstrzymał ręce, żeby go nie objąć i ust płonących nie przycisnąć do wzdętej jego grzywy.

Jeden głos męski potężny, drżący od siły i wesela, śpiewał w nocy:

Nie będę się żenił, nie będę się spieszył...

– Jeszcze czego! – wołał drugi.

Będę się umizgał i dziewczęta cieszył...

– ciągnął pierwszy z taką szczerą prawdomównością w każdym tonie, że wszystkie sanie wybuchnęły śmiechem radosnym, prawdziwym aż do samego dna. Był to jak gdyby

akord tej samej pieśni, jakby okrzyk zgody czułej, jakby potwierdzenie prawdy nieomyślnej, a długo zamęcanej przez kłamców.

Z dala, z dala, od przednich sań leciała piosenka:

– A ja się stanę małą ptaszyną
I okryję się gęstą krzewiną...
Jednak ja twoją nie będę!

– Mają cieślowie takie topory,
Że wycinają lasy i bory.
Jednak ty moją być musisz!...

Pieśń ta w inną stronę jak wiatr poniosła duszę Rafała. Dłonie jego ścisnęły jak gdyby toporzysko siekiery i ramię kurczyło się, żeby z całego ducha ciąć owe „lasy i bory”. Ujrzał je w oczach, jak żywe: bory niezmierzone, głuchą świętokrzyską puszcza. Wionął na niego smutek i żal...

– Także to nas waćpan zabawiasz, mości kawalerze – rzekła nagle starsza z pań.

– Ale bo ja... właśnie w tej chwili... – bąkał Rafał zmieszany, nie mogąc znaleźć słowa odpowiedzi.

– Ani nam nie śpiewasz pięknych piosenek, ani grzecznym dyskursem nie rozweselasz... Niemy waćpan jesteś jak ten worek skórzany, w którym nogi trzymamy. Tyle że z nami jedziesz, jak i on...

– Nie umiem śpiewać. I dlatego właśnie...

– Toć to kulig, nie pogrzeb. Waćpan jedziesz na swym koniu za naszymi saniami jak za trumną.

Rafał płonął ze wstydu, ale w tonie mowy pięknej pani nie czuł gniewu ani odrazy. Toteż pod wpływem nagłej decyzji zeskoczył z konia i stanął w tyle sanek. Przez chwilę myślał, że za ten krok będzie cierpiał srogie jakieś kary, ale było mu wszystko jedno.

– O, nie zasłużyłeś waćpan, żebyśmy cię na naszych saniach wiozły! Nieprawdaż, Heleno?

Młodziutka towarzyszka śmiała się z cicha i co chwila wykręcała się na swym miejscu.

– Już się na pewno poprawię! – szepnął.

– Więc akomoduj się waść, bo źle będzie...

Wrzawa na saniach jadących przodem wzmagąca się coraz bardziej. Bliżej, rozgłośniej słychać było jedną i drugą kapełę. Pochodnie uwijały się gdzieś w dole.

– Cóż to za zgiełk? Dlaczego? – pytała piękna pani.

Rafał podniósł głowę i spostrzegł, że cały łańcuch sanek zjeżdża w dolinę rzeki Koprzywianki. Z urwistych brzegów, omijając zadęte wąwozy, sanie pędem zlatywały na dół wśród krzyku kobiet i nawoływań męskich.

Klaczka Rafałowa niechętnie szła za saniami. Musiał ją ciągnąć za uzdę, a wsiąść na siodło już nie mógł. Ani sposobu! Przyrósł do miejsca w tyle sanek. Owiewał go czarodziejski zapach i jasny blask tych dwu zjawisk, które miał przed oczyma. Teraz już widział uśmiechy obydwu twarzątek, zwróconych ku niemu...

– Gdzie jest dom rodziców waćpana? – pytała pani.

– Z tamtej strony, za rzeką.

– Czy go już widać?

– Ledwo, ledwo! Światła się daleko w nim błyszczą.

– Gdzie to?

Rafał nachylił się nisko i wskazywał ręką. Sobolowe futro musnęło go po twarzy.

– Ach, więc to tam są Tarniny? – prędko wypowiedziała panna Helena, nie wiadomo, czy do swej towarzyszki, czy do Rafała.

On czuł, że musiała się przy tym strasznie zaczerwienić, że cała stanęła w ogniu, bo i jego ogień ogarnął. Słodki, melodyjny głos brzmiał w jego uszach, w całej głowie, w piersiach. Te to precudne, jaśnie wielmożne usta nazwały jego wieś rodzinną...

– Tak, to Tarniny... – odpowiedział z pozornym spokojem.

– Musimy tam zajechać... – mówiła starsza pani – a przewrócimy wszystko, mości mruku, do góry nogami. Prawda, Heleno?

– Ja sam będę dopomagał, bo dom nasz stary, niski i niepiękny. Musiałby rodzic drugi dom wystawić.

Powiedziawszy to głupstwo z dość wielką brawurą, obejrzał się mimo woli, czy aby rodzic nie słyszał aforyzmu.

Woźnica stanął w saniach i wstrzymał swą czwórkę. Cztery spasione konie okryte lamparciami skórami, w szorach nasadzonych licznymi dzwoneczki, z czubami pąsowych piór na łbach, stały w blasku nad brzegiem urwiska jakby senne

widziadło. Po chwili, gdy ruszył lejcami, zapadły w dół, idąc zrazu kłusem, później galopem. Wierzchówka Rafała nie chciała ich naśladować i młodzieniec, pragnąc nie wypuścić z rąk wodzów, musiał skoczyć na ziemię. Runął w śnieg i ledwo utrzymał cugle. Po chwili namacał końcem stopy strzemię i gwałt za saniami.

W nizinie, nad brzegiem rzeki, utworzył się istny zator pojazdów i koni. Mostu w tych miejscach nigdzie nie było. Jeźdzono od początku świata w bród. Pierwsze sanie, przebywając rzekę po lodzie, oberwały wielką jego tafłę i ledwo, ledwo wydobyły się z wody. Brzegi rzeczki były spadziste, obmarzłe, nie do przebycia. Jedyne łagodniejsze miejsce zostało zniszczone. Czekano na chłopów z najbliższej wioski. Tymczasem zjeżdżało sań coraz więcej. Dwie kapele złączyły się teraz i od ucha cięły zawołanego mazura. Okazało się, że pierwsze sanie wiozą napotkanego w drodze „turoń” czyli „kłapacza”, tj. chłopca przebranego za straszdyło z wysoką szyją jak u żyrafy i ruchomą paszczką, czerwonym suknem wybitą. Na wybrzeżu Koprzywianki powstał gwar, zgiełk, hałas. Dzwonki, janczary, krzyki, śpiewy, muzyka zlewały się w ogromny wybuch wesela. Turoń posuwał się z wolna między saniami, kłapiąc dolną zuchwą i nachylając się to tu, to tam. Rafał na widok tego stracha, tej przeraźliwej chimery, uczył w sobie dreszcz, który się wskroś śmiechu przebijał. W tej samej chwili panna Helena, obok której stał właśnie, z nagłą ujrawszy poczware, krzyknęła, rzuciła się na oślep a lewą ręką pochwyciła

ramię Rafała. On instynktownym ruchem przysunął się ku niej. Tak przez chwilę stali obok siebie, złączeni śmiertelną grozą, gdy turoń nachylił się ku ich twarzom i końską swoją paszczę szeroko otwierał. Po chwili śmiali się do rozpuku, zaznajomieni ze sobą wskutek tego zdarzenia, jakby od wielu lat chowali się pod jednym dachem.

– Boisz się waćpanna turoń? – zapytał cicho.

– Ależ nie... Co znowu! Tylko tak na mnie zakłapał.

– Ja się dawniej bałem. Och, bardzo, strasznie! Śnił mi się po nocach ze swoim czerwonym językiem. Po Bożym Narodzeniu przyszedł raz do nas, do Tarnin. Byłem wtedy chory, a w dodatku mały smarkacz. Drzwi się otwały i wsunął się łeb... Wie pani, taki okropny, bez oczu...

– Och, wiem! Nagły łeb, jakby się wyśnił albo jak czasem z ciemnego pokoju... wiesz waćpan, coś takiego wyłazi...

– Czasem jeszcze i teraz, choć to śmieszne, zdaje mi się, że stoi za oknem na deszczu, na wicherze, i słychać kłapanie. A oczu strach podnieść... Spojrzeć? – Za nic! Prawda?

– Za nic! A to tylko wiatr wyje w ciemną noc, w jesień... To po prostu topole jęczą i skrzypią, a stare lipy huczą. Przejdzie chwila i wszystko nacichnie!

Gromada chłopów, zwołana przez umyślnych na miejsce, jęła się pracy. Usiłowano przeprowadzić konie i sanki w innym dostępnym miejscu, ale znowu lód nie wytrzymał. Radzono tedy, co czynić. Jedni utrzymywali, że wypadnie objechać aż na Koprzywnicę; inni byli zdania, żeby się cofnąć w górę rzeki,

gdzie jakoby przed laty był jakiś lekki mostek.

– Chłopcy! – zawołał nagle ktoś z tłumu szlachty – a nam co po moście? Który się podejmie przenieść sanki razem z paniami na drugi brzeg rzeki, dostanie natychmiast czerwony złoty jeden, pojedynczy!

– Zimna woda, jasnie panie! – rzekł pierwszy chłopowina z kraja.

– A ja idę! – krzyknął drugi ściągając z ramion zwierzchni kozuch.

Po chwili już kilkunastu rozzutych i na pół odzianych brało za bary pierwsze sanie. Furmani siedli oklep na wyprężone konie i w drugim brodzie przejeżdżali wodę. Powstał krzyk dam siedzących w saniach, śmiechy i oklaski zgromadzonych na brzegu. Przenoszenie długo trwało. Wkrótce jednak na przeciwległej stronie zgrupował się zastęp niemały. Zmącona woda chlupała, gdy chłopstwo podsadzało się pod sanicę i brnęło środkiem.

– Zimno! – wołali dźwigający.

– Dalej go! czerwony złoty na głowę... – zachęcał projektodawca.

– Kapełę nam tu dawajcie, kapełę! – dopominała się młodzież – co tu mamy próżnujący czekać...

– Pochodni! – nastawały panie.

– Ej, chłopcy pracowite! – ozwał się głos młody – a weźcie no jeden z drugim łopaty, ubijcie nam tu śnieg, a równo, twardo!...

– Żydy, mazura!

– Pejsate Żydy, naszego!

– Kulig! – wykrzyknął arlekin, podniesiony przez młodzież nad głowy wszystkich.

Żydki urznęły od ucha.

Wkrótce śnieg ubity był twardo i zrównany niby najdoskonalsza posadzka. Oczekując na przybycie wszystkich puszczono się w płasy, zatoczono mazura, jakiego świat nie widział.

Matrony i starcy otaczając koło przyklaskiwali, a młódź huląca co tchu. Wnet futra, opończe, bekiesze poczęły zawadzać, więc je rzucano w sanie. Hajduki wysoko wznosiły pochodnie i gruby, bujny, migotliwy blask oświetlił miejsce. Zabłyśły kółka pasów, barwne kierezje, wyszywane gorsety, białe rękawy koszul.

Rafał tańczył z panną Heleną. Wyglądał szatno i szumno. Krzesał hołubce jak żaden. Krew w nim kipiąca.

– Olbromszczak... – gwarzono naokół z aprobatą i poklaskiem.

– Dobra krew.

– Widać zaraz, że dumna sztuka...

– Po ojcu, po starym cześniku. To samo tancerz był ongi, a towarzysz nie lada jaki, chociaż dziś kutwa nad kutwami.

– Patrzajcie no... Co to za płas! co za gracki ruch!

– To mi tan!

– Diabło i pięknie!

– Ej, dziś dziś! ej, dziś dziś!

Panna Helena zrzuciła futerko i kapłoni rękawek. Miała na

sobie suknię niebieską z krótkim stanem, z fartuszkim linowym w paski, bez żadnego upiększenia. Nie wpięła nawet kwiatu we włosy, spuszczone na czoło. Gdy od tańca zakwitły jej policzki, oczy, zdało się, pochłoneły migotliwe blaski pochodni i otrzymały ich siłę palenia. Rafał nie mógł od niej oderwać wzroku, zapomniał o świecie całym. Taniec był dla niego już nie zabawą, lecz wybuchem radości, płasaniem ze szczęścia. Oczy, złączone z oczyma ślicznej panienki, pełne były zachwytu i poczęły wypowiadać to, czego na pozór nie było wcale w duszy, co tam leżało jak ruda kruszcu bez ceny, martwym pokładem. Teraz bił stamtąd blask i wznosił się pachnący dym.

Kiedy najbardziej rozkosznie wciągał w nozdrza ten królewski zapach i najsiarczystsze krzesał hołubce, usłyszał głos ojca. Stary cześćnik mówił:

– Kto, mośćbrodzieju, na mój grunt dnia dzisiejszego, kto, mówię, na mój grunt nogą stąpi, tego mośćbrodzieju, już nie wypuszczam za granice włości: takie u mnie z dawien dawna *ius terrestre* – dnia dzisiejszego.

– A toż tańczymy, sąsiedzie dobrodzieju, na waszym gruncie, aż w całej parafii dudni – ktoś z boku zawołał.

– Nie nasza to rzecz, mośćbrodzieju, *sub divo* hulać!

– Dlaczego, panie bracie?...

– Dlatego, że to despekt dla szlachcica, mośćbrodzieju. Choć u mnie pod strzechą izdebki, choć, mówię, nie do tańca, aleć, miłościwe panie i łaskawi sąsiedzi, Bóg widzi, jako się rzekło...

Rafał zatrzymał się w tańcu i wmieszał w tłum. Nie rad był

wcale nasuwać się rodzicowi na oczy. Stary tymczasem już go był dostrzegł i obrzucił szorstkim wejrzeniem.

– Raczej – ciągnął – miłościwe mościbrodziejki, raczej, sąsiedzi panowie i bracia... zaszczyć...

Był to starzec zgarbiony latami, łysy, z krótkim, mlecznym wąsem i grubą brwią nad wspaniałymi jeszcze oczyma.

Wkoło tańczących wtoczyły się saneczki arlekina i czarna jego maska wynurzyła na światło.

– Do Tarnin, kto żyw! – wołał głośno, trzepiąc swą różgą wokoło, a szczególnie mężczyzn blisko stojących. – Do Tarnin! ... cóż tu stoicie, mazgaje?

Wszyscy ruszyli do swoich sanek. Powstał ścisk, gwar, wyszukiwanie i wdziewanie rzuconych futer i burek.

Królował śmiech. Buchnęła w rozmowach bezmierna wesołość. Zakipiały śmiałe żarty, mignęły tu i owdzie ukradkowe całusy po rękę, jak cieniem zakryte obrazą, która trwała przez mgnienie oka, uśmiechy, których piękność i rozkosz głębia nocy pochłania i życzliwie zataja. Gdy Rafał dopadł wierzchówki i miał skoczyć na siodło, ujrzał ojca tuż przy sobie. Cześnik nieznacznie zmacał ręką kark klaczy, badając, czy bardzo zgrzana, i coś pod nosem mruknął. Rafał wiedział, że z tych badań dobrego nic nie wypadnie, ale tylko przekrzywił krakuskę na głowie. Co ma być, to tam już jutro... Klacz sama stanęła obok sanek, w których siedziały znajome panie. Chwilę stali na miejscu, nim ogromny wąż zaprzęgów ruszył się z miejsca. Widzieli znowu przed sobą rwący się w kierunku Tarnin barwisty

łańcuch. Ogień, okrzyki, śpiewy znowu napełniły dolinę.

W dali, na wzgórzu między drzewami, wśród Sandomierskiego Płaskowzgórza, które się skłania ku dolinie Wisły, paliły się światła w oknach starego dworzyszczka. Kiedy nareszcie i pojazd Helenki ruszył z miejsca, Rafał usłyszał głos ojca, który gramolił się do małych saneczek.

– Rwij mi, dnia dzisiejszego, z kopyta do domu i przyjmuj na ganku.

Kawaler z bólem podciął klacz, ze wściekłością przechylił się na siodle i wymijając pochód ruszył cwałem. W mig był na ganku. Już tam pierwsze sanie stawały, i matka w kontusiku drojetowym, z siostrami w odświętnych sukniach, witała gości, błagała o zaszczycenie niskich progów. Rafał stanął przy matce, kłaniał się, zdejmował futra, szuby, wprowadzał panie, znosił krzesła. Wkrótce zjawił się i ojciec. Nikt nie mógł poznać starego Olbromskiego, który nigdzie nie był i nikogo prawie nie przyjmował u siebie. Dziś stary zmienił skórę. Przybrany w piękny kontusz, Bóg wie jakie czasy pamiętający, „na opaszki” wrzucony – w drogi żupan – giął się w ukłonach, muskał węża jak za dawnych, pijackich czasów, uśmiechał się, prawił komplementy i sumitował. Gdy wstąpiła na ganek jedna z najpoważniejszych matron okolicznych, stary cześnik podał jej ramię i z krygami, muskaniem węża oraz odrzucaniem wylotów wiódł ją uroczyście przez tłum zgromadzony już nie tylko w bawialni, w alkierzach, w ciasnych i niskich izdebkach dworu, ale nawet w sieni, na ganku, w bokówkach starych ciotek, sióstr-

panien odwiecznych i rezydentek.

Rafał dopilnował, żeby godnie przyjąć swe damy. Podał ramię pani stolnikowej i wprowadził ją do domu. Sam nie wiedział, skąd mu się wzięła pewność taka, śmiałość ruchów, ukłonów, które wykonywał, i słów grzecznych, które mówił. Pani stolnikowa trzymała za rękę swą towarzyszkę, pannę Helene, i śmiała się wesoło. Stanęli za progiem izby bawialnej, gdzie był już tłok taki, że obrócić się nie było sposobu, gdy cześnik przeproszał właśnie swych gości i zaklinał, żeby się bawili, jak mogą.

– Łuczywa nam tylko sąsiad dobrodziej nie poskapisz! – wołał ktoś z tłumu. – Wyjdziemy na dziedziniec i jak nad wodą... hulaj dusza!

Stary zwrócił się w stronę tego głosu i mówił z pięknym ukłonem, śmiejąc się chytrze:

– Dom ciasny, na miły Bóg, ciasny, mośćbrodzieju! Sam to widzę i boleję, ale nieraz tu już krzesano hołubce pod tą strzechą niską za dobrych starych czasów. Hańbaż by to dla mnie, dnia dzisiejszego, była, gdyby na dziedzińcu tak znakomici goście...

– Cóż, kiedy ciasno, sąsiadeczku dobrodzieju nasz!... cóż, kiedy ciasno...

– Ciasno, nieciasno! – zawołał ktoś inny. – Szlachecki dom ciasny, a miejsca w nim do tańca, dla braci, nie brakło, jak świat światem. Jakoś się rozsuniemy...

– Mośćbrodzieje! – wołał głośniejszy cześnik zarzucając w tył wyloty starego kontusika – mośćbrodzieje! ściany każę wyjąć

z tych oto pradziadowskich węglów!...

– Co znowu! Miejsca dla nas – świat!

Muzyka, ustawiona za oknami, grała krakowiaka i kilka par puściło się w tany. Dla stojących nie było już tam miejsca. Tłoczono się tedy z izby do izby.

Służba folwarczna, *ad hoc* poprzebierana w liberyjne kubraki, roznosiła wino na tacach i domowe ciasto. Gwar rozmów napełnił dom cały aż do ostatniej sionki, gdzieś na ogrody wychodzącej. Było wesoło, ale czuli to wszyscy, że o tańcach w tym domu nie może być mowy. Toteż szeptano po cichu, żeby chwilę jeszcze z grzeczności pobawić i ruszać dalej dla odszukania dworu większego.

W bokówce, gdzie wisiał wielki obraz Matki Boskiej Sulisławskiej ze szerniałymi od starości ramami, w bokówce, która zamknęła w sobie niejedno już zapewne długie życie, całkowite, od kolebki do grobu, starosta i starościna kuligu prawili długą orację do gospodyni domu, cześnikowej Olbromskiej, częstując ją deską wyrobioną na wzór pszenicznego sandomierskiego placka.

Wskroś tonów muzyki przebijały się do dalszych izb ledwie strzępy tej mowy:

– „Cóż tedy czynić – wołał starosta – kiedy kogo *astra* necesytowały urodzeniem, iż odjąć się nie może naturze i do wesołej przywyknąć konwersacji? Sili się *ars*, różne *media* i *remedia* podając... Ale *fluctuantur* podczas i same nawet nadzieje, kiedy *tenax propositi* człowiek uchwyci się kresu i portu

swego, słusznie zaprawdę *gratulari* sobie może...”.

Gwar zagłuszył ciąg dalszy. Ale za chwilę znowu dała się słyszeć rzecz miódopłynna:

– „Jakoż prędzej niebotyczne cedry zajażdłym czas zębem skosi, prędzej kwitnące zwiędnieją laury, aniżeli rozkwitła w serdecznych wirydarzach przyjaźń jakiegokolwiek podpadnie alteracji...”.

W sąsiednich izdebkach młodzież tańczyła jak mogła, kręcąc się na miejscu. Zbliżała się już chwila stanowcza, i oglądano się już tylko na arlekina, żeby wydał hasło do odjazdu. Rzeczywiście przedarł się przez tłum w swej masce, krzycząc i trzępiąc różgą naokół po sprzętach, ścianach i plecach. Stał na środku obszerniejszego pokoju, zatrzymał tańczących i jeszcze raz wykrzyknął kręcąc się na pięcie:

– Hej! kulig, kulig!

Wtedy stary Olbromski znowu z gracją podał ramię swojej matronie. Muzyka urwała i z nagłą, niespodzianie ucięła wspaniałego poloneza. Wszyscy z podziwieniem oczekiwali, co będzie dalej. Cześnik występował z niewymowną precyzją i nadzwyczajnymi ceregielami. Minał jedną izbę, drugą, jakieś alkierze, bokóweczki, sienie, aż wreszcie zatrzymał się przed szczelnie zamkniętymi drzwiami. Tu zarzucił wyloty, musnął wąsa i z nagłą klasnął w ręce. W mgnieniu oka drzwi się na oścież rozwarły. Oczom idących ukazała się duża, pusta, wysoka i doskonale oświetlona sala. Arlekin wyrwał się naprzód i w podskokach ją przebiegł wołając:

– Kulig, kulig!

Pary wkroczyły do wielkiej izby. Muzyka umieszczona w przeciwległych drzwiach zagrała krakowiaka i cały tłum z okrzykiem wesela puścił się w tany. Nierychło spostrzeżono, że jest to prosta, stara kuchnia z piekarnią dla czeladzi, przybudowana w tyle dworu. Cześnik w przewidywaniu kuligowego najazdu kazał ją z sadzy oczyścić, wprawić nową i wywoskować do tańca podłogę. Ściany zawieszono festonami z jedliny, olbrzymi komin i piec chlebowy zastawiono świerkowymi drzewkami, tworząc z nich pewien rodzaj leśnej altany. Woskowe świece w drewnianych lichtarzach, które przybito do ścian, rzucały rześiste światło.

– Ot, to mi figiel gracki! – wołano ze wszech stron.

– To po naszymu!

– To lubimy!

– W górę gospodarza! Ot, to prawdziwa niespodzianka!

– W to nam graj!

Teraz dopiero wyzwoliła się zabawa co się nazywa. Wszystko co młodsze znalazło się w sali i hulać zaczęło. Były tam i modne fraczki, i starodawnym krojem szyte kontusiki, głowy w lokach i podstrzyżone. Większość panien miała już na sobie suknie odkrywające ramiona, a czoła zakryte puklami włosów, ale nie brakło dziewcząt odzianych w staromodne suknie, w lewitki i bufonki, w krótkie rękawki z długimi angażantkami z koronek. Wszystko to mieszało się w tłum barwisty, utkany mnóstwem kierezji chłopskich, krakowskich „suk”, gorsetów

i białych bufiastych rękawów. W pierwszej chwili tuliła się po kątach młodzież uboższa, ale wnet radość powszechna wciągnęła w wir i najmniej odważnych. Chwilami ta rozbawiona młodź sprawiała wrażenie zdrowej, dzielnej, urodziwej stadniny, pędzącej z krańca w kraniec po błoni. Nowa podłoga dudniła jak skóra na bębnie, światło jarzących świec chyliło się poziomo to w tę, to w inną stronę, zawieszono festony chwiały się do taktu, a cała izba, zdało się, trzeszczała w swych węglach. Wrzawa uciechy huczała w niej jak spieniona woda. Zdrowie, młodość i kipiące życie przemieniły ten taniec w wylew radości. Bawiono się z pełnego serca, hulano z potrzeby dusznej, tańczono w całym znaczeniu tego wyrazu do upadłego. Słychać było tylko śmiech i krzesanie hołubców.

Otwarto drzwi, gdyż było duszno nawet w tak wielkiej izbie. Ktoś spróbował odemknąć okna, a gdy się okazało, że są na głucho zabite gwoździami, wyrzucił je razem z futryną. Wnet z dwu czarnych otworów wionęły białawe obłoki i ukazały się w nich liczne głowy czeladzi, dziewczek i parobków wiejskich, co z rozdziawionymi ustami patrzali nieruchomo na to pańskie „granie”.

Starsi z gości, nacieszywszy się rozkoszą młodych, natupawszy w miejscu i po wyładowaniu westchnień za ubiegłymi laty, rozpełzli się po stancyjkach dworu. Wszystkie alkierzyki i przybudówki z niskimi powałami, o wybielonych wapnem belkach, pełne były gwaru i śmiechu. Każda z tych skrytek miała już swój choćby najmniejszy stół i grono

biesiadników. Niektóre łączyły się między sobą nakryciami, tworząc jadalnię dziwnie pokrzywioną, która szła wskroś całego dworzyszczka. Jedzono na porcelanie, na cynie, na holenderskiej farfurze, na wszelkim naczyniu, jakie w domu było. Przepłynęła już była kolejka gdańskich wódek, obnoszono potrawy i strugą łać się zaczął węgrzyn. Szlachta piła. Większość przyjechała już dobrze podochocona, a teraz weseliła serce do znaku. Gospodarz, gospodyni, dwie ich córki i syn obsługiwali gości. Rafał, obchodząc stoły z dzbanem wina, słyszał mimo chęci szeptane rozmowy.

– Beczkę węgrzyna sprowadził na saniach z Krakowa stary kutwa, słyszeliście?

– Cuda, cuda!...

– Starsza córka skwaśniała im na ocet siedmiu złodziei, więc teraz z młodszą umyślili spróbować z innej beczki.

– Sarnie combry jadą! – Widziałeś sąsiad... Jak mi Bóg miły – sarnina!

– Combry, ale baranie.

– Mnie aby waszmość powiesz! Ja węchem poznam cuch sarni, kiedy się jeszcze na brytfannie smaży, a dopieroż na półmisku...

Gdzie indziej mówiono jeszcze ciszej:

– Tańce w kuchni, a przyjęcie w bokówkach.

– Piastowskim obyczajem...

– Pastuchy od prosiąt w lejebikach z galonami.

Rafał płonął ze wstydu, gdy niepostrzeżony słuchał słów

takich. Najbardziej go zabolął szyderczy śmiech pięknej pani.

Skoro tylko mógł się wymknąć, biegł do izby bawialnej. Tam ścigał oczyma błękitną panienkę. Smutek uciskał mu serce w chwili, kiedy spostrzegł, że tańcząc z kim innym była wesoła i rozbawiona. Kiedy go spostrzegła, oczy jej śmiały się jeszcze bardziej, jakoś promiennie i z radością. Wówczas na jedną sekundę nie rozstawały się ich oczy. Były ciągle zwrócone... Nawet podczas drabantów i anglezów, które usiłowała zainaugurować młodzież wykwintniejsza i bardziej światowa (od strony Zawichosta), panna Helena odwracała głowę w tym kierunku, gdzie był jej kawaler. Gdy w przerwach między jednym tańcem a drugim przechadzała się z towarzyszkami, Rafał przyłączał się do niej na chwilę. Nie mógł, po prostu nie był w możności oderwać oczu od tego widoku, jak usta jej uśmiechają się z dziecinną szczerością, a jednocześnie słowa są napuszone i przymusowy wyraz powagi nadaje twarzy siła woli.

Kiedy tak błędzili między ludźmi, nie wiedząc, co do siebie mówić, ośmielali się każdym spojrzeniem i oczyma mówili sobie rzeczy niewysłowione. Były chwile nadziejskie, że szli obok siebie z utopionymi w źrenicach źrenicami, zaczarowani przez uśmiechy omdlałe ze szczęścia. Zdumienie przenikało ich serca aż do samej głębi i trwoga nieznana a nieprzekraczająca czasu mgnienia powieki. Oczy jej, błękitne jak w dzień letni dalekie lasy, stawały się z nagłą ciemnymi i nabierały siły ognia, na obraz płomieni prędko wybuchających. Wtedy przez krótkie chwile iskrzył się w nich jak gdyby

gniew, drżały jakieś pragnienia, żal powstały z niczego... Niewiedzące o sobie wzruszenia, gorące, namiętne, dziecięco niewinne i naiwnie lubieżne, przepływały szybko przez twarz i gasły nagle w wybuchach śmiechu niespodzianego, a ostrego jak toczony sztylet. Wszczynali jakąś rozmowę, nie wiedzieć dlaczego półgłosem prowadzoną, o wszystkim i niczym, o niebie i ziemi, o frakach i najładniejszych imionach, o łacinie i głębokim śniegu... Od tej rozkoszy ciągle odrywały Rafała wskazówki ojca, nawoływania matki lub sióstr. Dawał wtedy szturchańce i rady sługusom, zapraszał co znaczniejsze osoby do jedzenia i picia, a nawet podawał fajki i własnoręcznie zapalał fidybusy. Kłaniał się, mówił niezliczoną ilość słów grzecznych, ledwo-ledwo rozumiejąc, co mianowicie mówi. Ten stan niepewności języka bardzo potęgowało ciągle przepijanie do młodych sąsiadów. Pierwszy to raz w życiu Rafał pił bezkarnie, i to starego węgrzyna. Gwarzył teraz coraz głośniej, śmielej, płynniej, kwieściej. Biegał między tłumem i coraz jawniej szukał oczyma panny Helenki.

Tak minęła noc.

Nad ranem, po dłuższym odpoczynku, muzyka znowu zagrała. Młody gospodarz wychylił jeszcze kilka kieliszków wina w ręce jednego z sąsiadów, równie jak on dorastającego – i z nagłą uczuł taką miłość do tego młodziana, że razem z nim udał się do sąsiedniego pokoju i zaczął mu ze łzami wyjawiać najsekretniejsze swoje tajemnice. W trakcie tych zwierzeń spostrzegł, że przez sionkę przyległą przesunęła się jakaś osoba

niby obłoczek niebieski. Co tchu pobiegł za nią pragnąc jej służyć, w razie gdyby czegokolwiek potrzebowała. Rozdzielił tłum szlachty, głośno, z plastycznymi ruchami rozmawiającej, i szybko wszedł do zacisza przeznaczonego na gotownię damską. Było tam pusto. Woskowe świece słabo paliły się przed starym, szerniałym zwierciadłem. W kącie tego pokoju panna Helenka klęczała na ziemi i wyrównywała, jak mogła, oberwaną w tańcu plisę swej sukienki. Rafał zobaczył ją raptem. Ujrzał jakby pierwszy raz w życiu kolor jej lic, niedający się z niczym na świecie porównać, wybuch pąsowego ognia policzków spływającego w delikatny śnieżnobiały mat czoła. Zobaczył jasne, puszyste włosy... Spozstrzegłszy go wyprostowała się i wlepiła weń przestraszone, upajające oczy, oczy o żałosnym błękicie kwiatu lobelii.

Coś wyrzekł, wyszeptał...

Zbliżył się do niej bezradnie stojącej. Posunęła się, żeby wyjść stamtąd. Wtedy bezwiednym ruchem ujął jej rękę, nachylił usta i dotknął wargami jasnych włosów. Przez chwilę trwał ten piekący, namiętny pocałunek. Cichy okrzyk wyrwał się z jej piersi. Odsunęła go w zdumieniu i wyszła. Rafał stał plecami o ścianę oparły tak, jak go zostawiła. W głowie jego, w piersiach, w uszach, w sercu zlewały się oddalone, rzewne, namiętne dźwięki mazura i jeden szczególnie, najwyższy, najrozkoszniejszy spazm skrzypiec. Szalonym szczęściem napełniało go drganie całego domu od tańca i zgiełkliwy gwar przechodzący w beładną wrzawę.

W czaszkę waliły młoty krwi, a w oczach płomienie świec migotały jak sama wcielona, widoma rozkosz miotająca się w sercu.

Zaśmiał się na cały głos i twardym krokiem wyszedł stamtąd. Zdawało mu się, że już teraz z radości nie wytrzyma. To już koniec. Rozwali pięściami, nogą rozkopie i na drzazgi rozsypie ten cały dom, wyzwie tu wszystkich i zeklnie. Będzie się z każdym bił na śmierć, kto by śmiał... Tak postanowiwszy padł w ramiona pierwszego z brzegu brzuchatego szlachcica, który go z miejsca, a bez żadnej racji, zaczął dusić w uścisku i kłuć po twarzy ogoloną brodą. Rafał wypił z nim braterski, na wieczne czasy, kielich i płacząc ze szczęścia rzewnymi łzami szedł dalej.

W sąsiedniej izbie ujrzał rodzzonego swego ojca złączonego dziwnym uściskiem z księdzem dziekanem, który się na ten kulig przypadkowo zaplątał. Gruby dziekan trzymał starego cześnika za ramiona, a cześnik dziekana za żebra, i obadwaj rzadko kiedy jednocześnie, ale z wielkim usiłowaniem zachowania taktu mazura, skakali pod powałę na jednym miejscu, w ciasnym kąciku między stołem i szafą, piejąc zupełnie cudzymi głosami:

– Hej, dziś dziś! Hej, dziś dziś!

Nikt na nich uwagi nie zwracał. Przy stole siedziało kilkunastu biboszków, którym już z czupryn tego się kurzyło. Porozpinali kontusze i siedzieli w żupanach z kitaju, sagatysu, kamlotu. Niektórzy coś krzyczeli ochryplymi głosami. Jeden podnosił co chwila cybuch, gruby jak maczuga, grożąc nie wiadomo komu. Naprzeciwko niego stał szlachcic, chudy, mizerny, zawiędły

i wołał:

– A, mówię, tak! To tak, mówię! Czekałże, rybeńko... Od razu rym go w pysk, rym z drugiej i to *arte*. Dopiero wtedy rura mu zmięła... Do nóg mi. „Wielmożny panie, powiada, wszystko jak przy świętym konfesjonale...”.

Ktoś spał na rękę, całym ciałem rzuciwszy się na stół. Okna były otwarte, i jasne światło księżyca dogasało już przy słabym blasku daleko wstającego słońca.

Z izby, gdzie tańczono, dolatywał śpiew krakowiaka, tak rzeński, szczęśliwy i radosny, że aż same nogi drgały:

W Krakowie na sali
Niemcy tańcowali...
Polak wąsem ruszył —
Wszyscy uciekali.

Naokół przyklaskiwano, przytupywano. Z kąta ozwał się jakiś zapity, ochryply głos:

– Aby to jedno prawda... Ogromnie te Niemcy pouciekali, i to z Krakowa.

Ale go zaraz skarcił i zagłuszył okrzyk powszechny:

– A tobyś waść siedział i ciągnął likwor, skoro go masz przed nosem. Oto filozof...

Rafał poszedł do sali tanecznej, oparł się tam plecami o ścianę i rozpalonym okiem śledził każdy ruch panny Heleny. W pewnej chwili ujrzał, że tłum mężczyzn stojących przed nim rozsunał się i że jedna z panien tańczących wybrała go w mazurze. Podał

jej rękę i przebiegł salę niezupełnie właściwymi skokami. Po chwili uczuł w swej ręce dłoń pany Helenki. Oprzytomniał. Krew zbiegła mu do serca. Głos zupełnie obcy, jakby duch jakiś postronny, szatan czy anioł, przemówił przez jego usta tak cicho, że tylko ona mogła posłyszeć te straszliwe wyrazy, które mu pierś rozdzierały:

– Przyjadę do Derślawic!... W nocy. Na koniu. Czekaj mnie przy oknie od ogrodu. W tym narożnym. Od ogrodu!... Zastukam trzy razy w szybę, w to miejsce, gdzie w okiennicy jest wykrajane serce. Przy oknie czekaj... Słyszysz?

Panna Helenka spojrzała na niego, na dzikie oczy zmaćcone do dna, na żyły jak strąki, czerwoną twarz, wzburzone włosy, i parsknęła śmiechem tak niesłychanie szczerym, że wszyscy obejrżeli się i nie wiedząc, o co chodzi, wtórowali temu głosowi.

Słyszac dokoła śmiech powszechny, Rafał ruszył przed siebie z głową schyloną, jakby miał zamiar uderzyć nią w tłum cały niby taranem. Nie wiedział tylko, gdzie mu się ten tłum sprzed oczu podziewa. Nogi się pod nim gięły, jakby w nich nie miał kości. Usłyszał wtedy nad uchem dobrotliwy szept matki:

– Rafciu, Rafciu, chodź ze mną, błagam cię na wszystko. Ojciec zobaczy.

Dźwięk wyrazu „ojciec” dźwignął go z omdlenia.

– Przyjadę na koniu... Słyszysz? Zastukam trzy razy... w serce... – szepnął matce do ucha tym samym demonicznym głosem.

– Przyjedziesz, przyjedziesz, tylko chodź co tchu bo ojciec...

Rafał posunął się naprzód, ale w niewłaściwym kierunku i tak lekkomyślnie obwisłymi ruchy, że matka zmuszona była wesprzeć go siłą i wyciągnąć prawie z domu. Gdy go owiało mroźne powietrze zimowego świtu, zupełnie stracił siłę w nogach. Opadł na ziemię jak płaszcz. Kilku parobków odniosło go do tak zwanego belwederu i tam złożyło na posłaniu. Belweder – był to dawny dwór, gniazdo prapradziadowskie z modrzewiowego drzewa. Stał w głębi ogrodu. Ze starości zapadł się w ziemię, ściany jego zgięły się; dach prawie gruntu dotykał, a dzikie krzewy, zasłaniające okna, do połowy wielkiego dachu wystrzelały. Były tu pokoje gościnne, spiżarnie i składy gospodarcze. W największej izbie stało kilka posłanych łóżek, a na ziemi przez całą szerokość leżało pokotem na słomie rozciągnięte posłanie dla gości. Już tam kilku braci szlachty co słabszych w głowie chrapało dobranym chórem. Piec był dobrze napalony, a stary dwór, co jeszcze króla Jana pamiętał, trzymał ciepło; toteż spało się tam nie najgorzej. Rafał własnoręcznie przez matkę rozebrany aż do bielizny, przykryty dobrze, usnął jak kłoda.

O jakiejś godzinie dnia zbudził się i usiadł na posłaniu. Dokoła na ziemi i na łóżkach chrapali sąsiedzi. Rafał nie wiedział, gdzie jest i co się z nim dzieje. Głowa mu z bólu pękała, w oczach się ćmiło. Spozrzegł śpiących, ale nikogo nie mógł poznać. Drżał na myśl, że jest sam jeden w jakimś miejscu wiecznego potępienia. Widział głowy, rozrzucone ręce i nogi, poroztwierane usta, wreszcie blask świecy płonącej w rogu izby na stole... Wlepił

oczy w to miejsce i po długim badaniu z ulgą i pociechą dojrzał żywego człowieka. Poznał go nawet. Był to Wicusław Jawrysz, syn ubogiego szlachetki spod Wiśniowej, drab wielkiego wzrostu, siły i bardzo dzikiego charakteru. Ten Wicusław, z czupryną zwisłą na czoło, siedział na słomie i jadł, a właściwie pożerał mazurki, kruche ciasta i strucle przekładane, które kolejno wydobywał spod poduszki. Skoro wyciągał stamtąd niepośledni mazurek, łamał go na dwie części i każdą z nich unicestwiał kilku ciosami ogromnej zuchwy. Rafał długo i z osłupieniem wpatrywał się w tę jego czynność.

Widział, jak Wicusław Jawrysz wchłonawszy wszystko, co miał pod ręką, udał się na palcach do sąsiedniej spiżarni, której drzwi zostawiono otworem, i przyniósł stamtąd nowe naręcze mazurków i strucel, jak to wszystko umieścił pod poduszką, siadł w kucki i ze zdwojoną energią zabrał się do dzieła. Rafał widział to wszystko, domyślił się wreszcie, gdzie jest, ale nie mógł przyjść do siebie. Wspomniawszy sobie coś rozkosznego, ale nie był w stanie zrozumieć, co ma czynić. W rozterce takiej runął na wznak i nim głowa jego dopadła poduszki, zachrapał na amen. Świeca dopaliła się i zgasła.

Nikły promień światła wpadł przez otwór w kształcie serca przymkniętej okiennicy. Z dala, ze dworu, dochodziły tony muzyki grającej od ucha. Skrzypce zanosiły się, basy niestrudzenie wtórowały, a klarnet rzewliwie przyśpiewywał.

Rafał ocknął się znowu. Siadł na posłaniu i natychmiast przypomniał sobie pannę Helenkę. Wszystko w nim zagrało, jak

ta rozkoszna, z dala dochodząca muzyka...

Co tchu zaczął się ubierać, co sił! co sił! Namacał w ciemności buty i wzuł je co prędzej, wyszukał po omacku jedną z najbardziej niezbędnych części ubrania i zaczął wciągać na nogi. Nie mógł wyjść z podziwienia, czemu czynność tak prosta tyle mu czasu zabiera. Był wściekły, bo mu się śpieszyło, toteż wciągał na się nieodzowną szatę z całej siły, bez względu na to, że złowrogo trzeszczała. Długo w ten sposób pracował nie mogąc sobie dać rady. Długo szukał wszystkiego, co było konieczne, aby móc stanąć przystojnie wobec panny Helenki. Był pewny, że znalazł już wszystko, gdy znowu ogarniać go zaczęła bezwładność i po wtóre usnął jak kamień.

Okolo południa nazajutrz znaleziono go śpiącego na ziemi, o kilka kroków od posłania, z lewą nogą wbitą w rękaw modnego fraka, który powyrywał wprawdzie i rozdarł, ale zdołał wciągnąć na łydkę aż do kolana.

Taki dziwny był los jednego z najpiękniejszych fraczków, jednego z pierwszych w Zachodniej Galicji granatowych fraczków sąsiada Targowskiego spod Zawichosta.

Poetica

Rafał siedział na krześle ze skurczonymi nogami, palce wbił we włosy i na podobieństwo mełameda wykrzykiwał:

– *Tetrameter dactylicus catalecticus in bisyllabam, seu versus Alcmanius...*

A później odmiennym głosem:

– *Ibimus, o socii comitesque...*

Znowu cienko, a z góry:

– *Trimeter dactylicus catalecticus in syllabam, seu versus Archilochius minor...*

A potem:

– *Iteritura simul...*

Na chwilę przerywał, z chytrą spoglądał na kolegę i kuzynka Krzysztofa Cedrę, uśmiechał się w sposób błazeński i czterykroć za wysokim głosem deklamował:

– *Dimeter trochaicus catalecticus in syllabam, seu versus Euripidaeus...*

Kuzynek Krzyś skandował, śpiewając jak kleryk:

– *Truditur dies die...*

– *Dimeter trochaicus acatalecticus cum anacrusi, vel versus Alcaicus enneasyllabus...*

Cedro wyciągał:

– *Fastigit umbrosamque ripam...*

Za chwilę dla rozrywki zmieniali porządek. Kuzynek

i zaczynał miłym, melodyjnym głosem, z prawdziwie dowcipnymi minami:

– *Versus simpliciter dactylicus vel Aristophaneius...*

A Rafał odpowiadał:

– *Lydia, dic per omnes...*

– Lydia, Lydia, Lydia... – szeptał Krzyś przykrywając oczy.

– Idź do wszystkich Arystofanesów!

– „O Lydio, czemuż, powiedz, chcesz przez miłostki zgubić tego oto Sybarysa? Czemuż do Marsowego Pola wstręt powziął, tak cierpliwy niegdyś na kurzawę i upał słoneczny...”.

– Idź, mówię, bo śmiercią zginiesz!

– Przeczytaj sobie, Sybarysie, z uwagą i namaszczeniem dziełko starego adwokata Marka Tulliusza Cyncerona *De consolatione*.

– Skończysz dzisiaj?! *Versus Archilochius maior tetrameter dactylicus...*

Z głębokim smutkiem, wzdychając, jakby wypowiadał egzortę, wbrew radosnym dźwiękom wiośnianej piosenki Horacego, Rafał ogłaszał:

– *Nunc decet aut viridi nitidum caput impedire myrto...*

A niby dalszy ciąg, z najposepniejszą w świecie miną, grobowym głosem skandował:

Nie będę się żenił, nie będę się śpieszył...

Będę się umizgał i dziewczęta cieszył...

– Powinieneś zrozumieć tą właśnie głową „wonnaściami zlaną”, że innej rady nie ma. Musisz się zgodzić na tak niewinny i słodki pewnik łysego kpiarza: *ut homines mortem vel optare incipiant, vel certe timere desistant*. Przecie to takie proste i do wykonania łatwe...

– Ja dzisiaj zobaczę, czy boisz się śmierci, czy nie.

– Rafałku, nie boję się.

– *Macte!*

– Powiedz mi; długie włosy, jasne, jasne, jasne... *Lydia dic, per omnes te deos oro, cur properes amando perdere...*

Rafał podpierał brodę pięściami, nieruchome oczy wlepiął w szyby okna. Daleko, daleko widział. Olbrzymia, szeroko rozlana woda Wisły gubiła się we mgłach i deszczu. Zatopione w nich wierzby błędnie szarzały. Błonia obrosłe wikliną, daleka przestrzeń tamtego, prawego brzegu z jego miasteczkami, smugami wsi i skrzydłami lasów ukazywały się niekiedy jak odbicia chmur. Daremnie oczy szukały domów Nadbrzezia, Trześni i kępiastych, a jak lasy rozrosłych parków Dzikowa. Z tego widoku wynurzał się szczególny rodzaj niepokoju. Jak ciemna chmura deszczowa bez wyraźnych granic płynie przez niebo, tak płynęła wskroś ciała nieokreślona żądza zjawisk, stanów i rzeczy tajemnych, wielkich, rozkosznych. Płynęła cicho, milczkiem, z wolna. Była niby nudą i z nagłą stawała się natarczywością, uderzającą jakby przeraźliwy szczęk żelaza o żelazo.

Przeszła, przepłynęła...

Szlakiem wyżłobionym przezeń ciągnęły się wdzięczne dumania, długie, bezdenne, marzycielskie wspomnianie spraw, których nie było wcale i nigdy, cudna tęsknota pełna łez i wołań, żeby przyszła istność szczęścia ukryta za mgłami. Przędła się w głowie wątła myśl i nikła w sennych obrazach: Noc księżycowa, pełna białej jasności... Nad łąkami wiszą płasko rozciągnięte opary. Wpada w taki tuman mgły co sił w klaczy, z lekka tylko trzymając się strzemion końcami butów. Cudnie pachną skoszone potrawy, zwilgłe, zimne siana jesienne. Od Wisły tchnie wikłowy chłód. Zda się, że to miejsce, przez które jedzie sam w nocy, to jakieś inne, obce nieznanne. Jakież to straszne miejsce! Rosa i pajęczyny bielą się w miesięcznym świetle. Cisza w głębokich wąwozach... Coś nimi, ziemią idzie za człowiekiem, coś leci śladem cwałującego konia. Snuje się jako pajęczyna, a gdy stanąć i słuchać, bez wydania głosu zamiera. Gdy spojrzeć poza siebie – nic, tylko srebrzysta rosa śpi pod zasłoną nocnych tumanów...

Deszcz to mętnymi, płynnymi falami zanosił widnokrąg do szczętu, to się uciszał i znikał. W takich minutach ukazywały się bure wody pędzącej rzeki, a zimna kra trupio wśród nich szarzała.

Gdy się na pewien przeciąg czasu rozjaśniło, Rafał głośniejszą począł wykrzykiwać wiersze Horacego, zbliżył się cicho do szyb i długo, z wyteżoną uwagą w dal patrzył. Z nagłą radosnym, aż sennym z rozkoszy głosem wyszeptał do towarzysza:

– Ten chudy rybak, Bobrzyk, przybija do brzegu! *Nunc decet*

aut viridi nitidum caput... Boże, ten dopiero wiosłuje. Czy ty widzisz? czy widzisz? To majster!

– Właśnie że nic nie widzę... – z rozpaczą szeptał Krzyś wbijając na próżno krótkowzroczne oczy w zamazane szyby.

– Wiosła się pod nim wyginają jak pióra. Ach, Boże... Ten płynie! Krzyś, bądź gotów...

W sąsiednim pokoju dała się słyszeć głośniejsza rozmowa i przyjaciele zaczęli znowu powtarzać swe *pensa*.

Krzyś posmutniał. Dolna warga jego ślicznych ust odeła się i blade, ciche oczy smutek owiał.

Był to daleki kuzyn Rafała, jedyny syn bardzo zamożnego szlachcica znad Wisłoki. Obadwaj z Rafałem mieszkali na stacji u profesora Zawadzkiego, w dworku stojącym pośród ogrodów, niedaleko od ruin kościoła świętego Piotra. Cedro był szczupły, mizerny i nie bardzo silny. Uczył się doskonale, aczkolwiek nie zawsze z równą wytrzymałością. Uwielbiał Rafała za jego siłę, męstwo i bardzo często odrabiał za niego różne prace szkolne.

Ustalił się był niepisany zwyczaj, że gdy wieczór zapadał, obadwaj pensjonarze wychodzili na przechadzkę do ogrodu zbiegającego ku Wiśle po zboczu góry. Tam o zmierzchu gonili się, ciskali pigułami w siebie nawzajem ile się dało, w przechodzących izraelitów, a nawet, ze smutkiem wyznać to trzeba, w przechodzących katolików. Szczególną nienawiść w nich, studentach austriackiego gimnazjum, budzili wychowańcy tak zwanego *sztyftu*, czyli szkoły żołnierskiej, która mieściła się w tymże gmachu pojezuickim. Skoro tylko za

murem ogrodu ukazał się malec ze *szyftu*, dostawał niezliczoną liczbę pigułek, wymoczonych *ad hoc* w wodzie i zamrożonych umiejętnie.

Tego dnia znalazłszy się w sadzie profesorskim obadwaj zbiegli szybko wąwozem aż na samo dno doliny wiślanej. Szerzył się już mrok zimny i prędko, spływając z chmur. Sam był jak chmura.

Rafał obejrzał miejsce i przyległości. Nigdzie nie było żywej duszy. Dał znak Krzysiu. Przesadzili parkan ogrodu. Stali o kilkadziesiąt kroków od brzegu rzeki. Z burych fal szło zimno i przejmujące seplenienie kry, która się w nich gęsto kołysała. Młodzieńcy chyłkiem szli w kierunku Złotej i widnego z dala Samborca. Co tchu przekroczyli Jagiellońską drogę i, brnąc w błocie, stanęli nad wodą. Zmierzch już nadciągnął i olbrzymimi fałdami osiadał ziemię.

W dole rzeki był zator lodowy.

Ktoś o nim wspomniał przy obiedzie jako o rzeczy okropnej. Szli tedy obejrzeć własnymi oczyma, czy tak jest, jak mówiono.

Rafał znalazł łódź, którą był widział przybijającą do brzegu. Jeszcze raz rzucił okiem...

Sandomierz piętrzył się wyniośle. Błyskały już światła na przedmieściu zwanym Rybitwy i w górze.

Odwiązał łódź, wyszukał w wikłach wiosła i skoczył pierwszy. Krzys poszedł za nim i siadł w tyle.

Była to łódź płaska i płytka, zalana wodą. Nie zdążyli pochwycić wiosła, kiedy już prąd wodny porwał ją i wyniósł na

rzekę. Rozparli się nogami, zanurzyli wiosła i co tchu w piersiach a mocy w barkach poczęli wygarniać z głębin kłęby wodne. Dziób czółna twardo, z oporem, jakby orał w piachu, zwrócił się w stronę Trześni.

– Raz, dwa! – zakomenderował twórca wyprawy głosem nieswoim, surowym, z głębi piersi.

Złomy lodu płynęły szybko a ciężko, jakoby potrzaskane ściany ciosowych kościołów. Z łodzi wydawało się, że w okrąg sunie zniszczony jakiś łąd, niepodobna ziemia, zorana skibami, ruda, szzerwienią od martwych piachów, od śladów rozpętanych, czarnych nawałnic zimy. Były momenty, że płynęła wprost na łódź tafla olbrzymia jak strop wielkiej sali, ostrymi krajami swymi godziła zdradziecko w burty stateczku. Wówczas Rafał wznosił wiosło i zadawał jej śmiertelne pchnięcie z czoła. Groźna, pływająca szyba posłusznie usuwała się na bok. Inne, słabsze, od jednego trącenia rozpadały się w drobne ułamki jak truchło bezwładne. W ostatnim blasku dnia widzieli w pęknięciach czarnozielone pasy narosłych warstw. Słyszeli dokoła siebie cichy syk lodu. Wybuchały z żółtych głębin banie i skręty wirów, niby olbrzymie źródlika kipiące z rozwartego dna. Kiedy niekiedy łódź drżała od niespodziewanych uderzeń i trzeszczała złowrogo. Co chwila wiosła wyrzucały z pianistego bełtu tafle kry lodowej i ze śliskim szczękiem miotały je w górę. Zdarzało się, że jakaś gruba tafla jak skała mknęła na wartkich falach środkowego nurtu. Wtedy szkuta, podważona wiosłami, odskakiwała w bok i szła w ukośnym kierunku.

Światło, zapalone w jakimś oknie na górze miejskiej, ścigało ich łamiąc się i chwiejąc na wichrowatej fali ostrą iglicą. W tej szczelinie świetlistej ujrzeli pierwszy raz dziką otchłań, z głuchym furkotem zapamiętale ciekącą.

Mrok głęboki owiał duszę, ale nie wygnał z nich radości. Czuli rozkosz fizyczną niesłychanego pędu w miękkiej kolebce przepaści. Chwyтали ją wiosłami za gardziel i wykręcali jej stawy.

– Raz, dwa! – krzyczał Rafał ze wściekłością w głosie i namiętnym ukontentowaniem.

Wiosła wyginały się jak od wiatru pręty wikłowe, ale łódź potężnie gniołąc wklęsłe wiry i banie wodne szła na ukos w świerzy wodnej. Migotliwa igła na falach znikła i noc śmiertelna otoczyła czółno. Ramiona słabły. Pot lał się z czół, krew biła w skronie.

Drewniany statek leciał. Nie mogli już zawrócić jego dzioba ani dokąd wola kierować. Z nagła zatoczył szalenie prędki krąg, garnąc ogonem – świszczącą falę – i zwolnił biegu.

Był gdzieś przed nimi głuchy, przeraźliwy szum. Wszystek ryczał wody grzmiał tam ponuro niby zlatujący wodospad z jakichś niezmiernych stawideł.

– Rafał, gdzie my jesteśmy? – cicho spytał Krzysztof.

– Ty czasem masz pyszne pomysły co do pytań! Skądże ja mogę wiedzieć, gdzie my jesteśmy?

– Co to tak huczy?

– Woda.

– Patrzaj, a to co?

Trwoga wgniotła Rafałowi do gardła drwiące słowo odpowiedzi. Twarzy, piersi, rąk jego dotknęło coś, jakby ciemne, wilgotne szpony olbrzymiej łapy. Obadwaj młodzieńcy zachnęli się w tył i ku obronie dźwignęli z wody wiosła. Krypka wolno poszła naprzód. Wtedy poznali, że są w koronie strzelistego drzewa, które, widać, woda wydarła z ziemi i zwałała. Na wystających gałęziach i cienkich, bezlistnych prętach wisały szmaty i torby zgniłej trawy i siana, które oblepiło zniecka ich twarze i okręcało szyje.

Odepchnęli się wiosłami i łódź wolno, jak komięga ze zbożem, poszła tam, dokąd ją skierowali, z lekka tylko przez gościniec wodny unoszona w jakimś kierunku od poprzedniego różnym. Było tam pełno kry płynącej ospale, strzyży drobnej, kilku warstwami spiętrzonej. Rafał stanął w łodzi, rozstawił nogi, wsparł je na burtach i zaczął łódź huścić. Krzyś rozumiał, że pragnie ją uchronić od oblepienia przez krę, ale truchłał na myśl o tym, gdzie się znajdują.

Płynęli tak długo.

Huk trzaskających wód, które się dokądś waliły z przerażającym łoskotem, zbliżał się ku nim. Szedł na nich z nocy.

Z nagła uczeni obadwaj, że ich znowu główny wart porywa. Woda darła się w lewo, z szelestem prac kry. Ciekli chwilę wśród lodu, który się szybko dokoła skupiał. Dopiero całym wysiłkiem rąk zdołali go odtrącić wiosłami raz, drugi, trzeci. Łódź znowu cofnęła się na cichsze mielizny, zawalone przez strzyż. Wtedy

instynktownie poznawszy główny strumień Wisły, szeregiem gwałtownych wirów pod kędzierzawymi falami lecący, pomykali się co sił w przeciwną stronę. Wiosła ich miesiły krę, rozgarniały ją, z łoskotem tłukły się w niej, aż wreszcie tył łodzi twardo uderzył w coś nieruchomego.

– Czy to brzeg? – zapytał Krzysztof.

Rafał zmacał to miejsce wiosłem i znalazł, że to jest jednolity lód, zachowany przy brzegu. Mieli przed sobą otchłań głównego toru, dokoła stłuczoną krę.

Ręce ich ustały, byli przemokli do suchej nitki. Zziębli. Rozwarłe szeroko oczy wlepiali w tę noc bez gruntu, ale nic dostrzec nie mogli.

– Stań w łodzi – rozkazał Rafał – a ja wyjdę na ten lód i zobaczę, czy brzeg daleko. Tu właśnie musi być zator. Bylibyśmy w takim razie u celu.

Krzyś z posłuszeństwem wykonał rozkaz. Uczuł, jak łódź gibnęła się, gdy Rafał z niej wyszedł, usłyszał szklisty szelest jego pierwszego kroku i pewny siebie głos:

– Chodź, lód twardy. Wyciągniemy barkę na brzeg. Ja już nie mogę robić wiosłami.

Krzyś stanął na lodzie.

Naokół słyhać było chrzęst strzyży, chlustanie i szelest odbitych fal. Deszcz pluskał bez ustanku.

– Wyciągniemy łódź na brzeg i zostawimy ją tutaj – rzekł Olbromski – a sami pójdziemy piechotą. To jest lewy brzeg.

– Łódź nie jest nasza! – zawołał Krzysztof stanowczo. –

Musimy ją odstawić na miejsce.

– A to ją odstaw. Z największą pochwałą akceptuję projekt.

– Moglibyśmy ją dociągnąć idąc po brzegu...

– Możesz i to zrobić. Ja nie będę ciągnął.

– Cóż tu począć?...

– A to też to! Tu ją zostawimy. Powie się jutro rano przed lekcjami Bobrzykowi, da mu się na piwo.

– Ja mu zapłacę! Masz słuszość. Ja mu dam tyle, że będzie nawet zadowolony z tej afery.

– Właśnie, ty mu dasz. I ja tak myślałem.

– No, to ją tylko wyciągnijmy na brzeg...

– Zaraz. Muszę nasamprzód zobaczyć, gdzie to jest ten brzeg.

Odszedł brodząc po wodzie, która cienką warstwą stała na tym lodowisku, zmurszałym i przemokłym od długich deszczów. Gdy wrócił z wiadomością, że do brzegu będzie kilkadziesiąt kroków, ujęli obaj za łańcuch przykuty do dzioba barki i zaczęli ją z całej mocy na lód windować. Poszło to z trudem, ale ostatecznie dało się wykonać. Czółno wsunęło się na pomost lodowy dość szybko.

Znienacka Rafał zauważył, że jego nogi wolno zanurzają się w wodzie. Przerazenie włosy mu zjeżyło na głowie, bo uczył, że cała ta olbrzymia kra ugina się pod nim i idzie na dno.

– Krzyś, uciekajmy! – wrzasnął na towarzysza i chciał go chwycić rękoma, ale dłonie jego objęły próżną ciemność.

Wzdęty bałwan wodny pchnął go w piersi i dokądś odtrącił. Cedro krzyknął nagle, a potem kilkakroć zabełkotał w wodzie.

Rafał wplaw rzucił się w to miejsce, na oslep, i złapał rękoma włosy i ramiona. Wywłókł go z fali i pchnął przed siebie jak drewno.

Ochynał się cały z głową. Poczł, jak tafle, złomy, okruchy lodu obsiadają go ze wszech stron, z dołu, z boków, z góry, jak przystawiają do gardła ostrza swych krajów i garną się w usta. Płynąc w tym gęstym roztopie, uderzył ramieniem o łódź. Trzymając się jej burtu lewą ręką, dowlókł Krzysia do calizny lodowej i wywalił go na nią. Później sam się tam wczółgał i, leżąc na brzuchu, sunął po płaszczyźnie, która się ugiwała i zanurzała w wodzie. Cedro ocknął się z jękiem i zaczął gramolić... Widzieli, że giną bez ratunku, bo znowu szli na dno razem z ułamaną taflą, gdy Rafał chwycił rękoma pręty wikłowe i rokity na brzegu. Wówczas dopiero pomyślał o ocaleniu. Wywłókł Krzysia z topieli na brzeg. Odetchnął. Pot lał się z niego. Grube zimowe ubrania nasiąkły wodą do ostatniej nitki, nogi w butach głośno chlupały.

– Cedro, zimno ci? – rzekł szeptem.

– Zimno.

– Musimy lecieć, bo zginiemy. Uciekajmy!

Rzucili się w zarośla wikłowe i poczęli wyżej kolan grzęznąć w rozkisłych bagnach nadbrzeżnych. Pręty smagały ich po twarzach, pniaki jakieś raniły nogi, ostre kije z kolkami rozdzierały ręce, ale po długiej męczarni uczyli, że niski ład staje się coraz twardszy. Wreszcie wybrnęli i znaleźli się na pochyłych zagonach.

Rafał usłyszał, jak zęby Krzysia szczękają. Dotknął go ręką i uczył, że drży. Sam także ledwie mógł stłamsić przerażający dreszcz w sobie. Woda sączyła się z każdego ich włosa.

Wtedy ogarnęła go śmiertelna rozpacz. Nie wiedział już, w którą stronę iść: stracił wszelki zmysł i rozumienie kierunku. Nastawił uszu, ale słyszał tylko wściekły, przerażający szum wody, szum – śmierć.

– Ty się nie orientujesz, gdzie Sandomierz? – mówił do towarzysza.

– Nie.

– Możesz iść sam?

– Nie...

– Krzyś!

– Idź sobie. Ja tu zostanę.

– Krzyś!

– Zimno mi, zimno, zimno... – zaskomlał jak małe dziecko.

Usiadł na ziemi.

Kostniejącymi rękoma Rafał chwycił go w pól i zaczął wlec dokąds, przed siebie. Ale uszedł tak zaledwie kilkanaście kroków. Potknął się i runął w rozmiękły zagon. Przez chwilę leżał bez sił, z twarzą w bruździe pełnej roztajałego lodu, zimno i martwo myśląc, że już nic nie poradzi. Dreszcze wyrwały się spod jego woli, łamały go i trzęsły. W głowie zatlił się krwawy płomień.

Ruchem niezawistym od świadomości, myśli i woli, głuchym aktem bezdennej rozpaczyc zaczął zdzierać z siebie mokry,

obmarzły kubrak, który go tym strasznym zimnem przejmował – i raptem zaczął to czynić co sił, co tchu, co mocy w palcach. Zdarł ze siebie koszulę, spodnie i zaczął mocować się z rozmiękłymi butami. Rzemień przywarł do nóg. Zdało się, że cholewy są skórą ciała. Ciągnęły się jak guma. Po dłużej męczarni zwłókł wszystko z siebie i został nago. Wtedy to samo zaczął robić z Cedrą. Poszarpał na nim ubranie w pasy i odarł go ze wszystkiego. Tamten leżał bez sił w miękkim zagonie, dygocząc całym ciałem, gdy zzuwał z niego buty. Kiedy Krzyś był już zupełnie nagi, Rafał zaczął go prać pięściami, szarpać za ramiona, bić z całej mocy po nogach i zmusił do walki ze sobą. Okładali się pięściami na dobre, gdy Rafał wrzasnął, że muszą lecieć co tchu, bo inaczej zginą obadwaj. Znalazł w ciemności rękę Cedry i jął go ciągnąć. Z początku tamten włókł się padając co krok, szedł ociężale, później coraz prędeziej, aż wreszcie pobiegł. Lecieli jak obłąkani przez niewiadome pola, przełazili przez płoty, mijali wąwozy, zarośla, krzaki, doły. Było im coraz cieplej i z każdym krokiem przybywało sił. Jelenimi susami sadzili przez rowy, nie bacząc na to, gdzie noga stanie. Biegając tak obok siebie na wyścigi, trafili na grunt twardszy, wznoszący się ku górze, i poznali, że są na Sandomierskim Płaskowyżu. Rafał zaśmiał się z cicha.

Już teraz nie lękał się topieli. Było mu dobrze rwać tak co pary w piersiach, nurzać się w śmiertelną oćmę nocną, grzać się jak ogier w biegu.

W pewnym miejscu, lecąc bez przerwy w nieznanym

kierunku, z nagłą usłyszeli poza sobą daleki, daleki dźwięk. Był to głos zegara na wieży kolegiackiej. Skoczyli w tę stronę i wnet nozdrzami poczuli dymy. Sandomierz!

Zbliżali się do niego od Opatowa. Gdy przybiegli do ogrodów miejskich, szli po zapłociu ich aż do swego, w skok wdarli się na górę i stanęli przed drzwiami domostwa, które było ich czasową siedzibą. Teraz nareszcie groza położenia zajrzała im w oczy...

Rafał dumął przez chwilę i z lekka popróbował drzwi wiodących do sieni. Ku jego wielkiemu zdumieniu – ustąpiły. Weszli cicho jak upiory i sunęli się obok ścian po dobrze znajomych dylach. Z sieni wchodziło się do stancji profesora. Trzeba ją było minąć chcąc dostać się do ich studenckiego pokoiku.

Otwarli drzwi, uczuli ciepły dech zimowego mieszkania i niby widma szli przez tę stancję. Słysząc było tylko bicie ich serc... Wtem Krzyś runął razem z krzesłem, na które wlaź w ciemności. W mgnieniu oka dom się poruszył. Zabłyśły światła. W sąsiedniej izbie ktoś skrzesał ognia, zapalił świece i, nim zdążali dopaść drzwi, zastąpił im drogę. Był to profesor, ich mentor i chlebodawca. Stał przed nimi w białym, wysoko wznosząc świeczkę łojową. Gdy ujrzał dwie postacie nagie, jak je Bóg stworzył, unurzane w ciemnym bagnie, otwarł usta i długo im się przypatrywał. Powieki jego drgały, a szlafmyca trzęsła się jak w febrze. Winowajcy stali przed nim, zachowując cyniczne milczenie, i brutalnie przypatrywali się jego chudym łydkom. Wreszcie słowo skrzydlate wyfrunęło z jego łacińskiej gardzieli:

– Olbromski!... to ty, ptaszku! Twoja to jest nowa sprawka...

– Panie profesorze! – zawołał Cedro wyciągając ku niemu zabłoconą prawicę – przysięgam, że to ja jestem winien.

– Czemu jesteś winien, kochanku?

– Ja sam tylko! Winien jestem! Ja to go namówiłem, Rafała, ja wymyśliłem...

– Cicho! Będiesz mi tu się stroił w bohatera, mnie niewinnia!... Mnie!... – rzekł Rafał z pogardą, która kierowała się właściwie nie do towarzysza niedoli.

– Olbromski! – wykrztusił belfer trzęsąc się z zimna i wściekłości – odpowiesz ty mi za to w dniu jutrzejszym. Wielki Boże! nago łazili po mieście w nocy, zimową porą. Wszystko to się wykryje!

– O, wykryje się niezawodnie! Wszystko na świecie może być wątpliwe, to tylko jest pewne, że ta sprawa się wykryje.

Oczy jego błysnęły złowrogo, i okropna ironia zaświeciła w nich płomieniem.

– Chodź spać! Za mną! – krzyknął rozkazująco jak wódz na Krzysia i majestatycznym krokiem, zostawiając na idealnie wymytej podłodze dokładne odbicia spracowanych stóp, ruszył w stronę łóża.

Z jakąż rozkoszą uczuli obadwaj kołdry na grzbietach!

Rafał wtulił głowę w poduszkę i jął rozmyślać o stanie rzeczy. Wiedział, że go nic dobrego nie czeka. Z nauczycielami od dawna darł koty, jako uczeń wcale nie świetny i pierwszy w szkole łobuz, *nota bene*, łobuz pod wąsem. Wiedział, że

nazajutrz będzie zmuszony dać dowody bohaterstwa, które zadziwi całą sztabę, *sztyft*, wreszcie miasto i długo zostanie w koleżeńskiej powieści. W dali ukazywały się Tarniny – i ojciec. Na to wspomnienie przejmował go dreszcz, zimniejszy niż w rzece. Chciał zasnąć. Zamknął oczy... Ale sen uciekł od jego powiek za dziesiątą granicę. Noc wlokła się, trwała bez końca. Rafał słyszał, jak Krzyś usnął, jak się rzucał we śnie, mamrotał, budził, znowu zasypiał. Słyszał jego oddech nierówny, prędko, zdyszany, jakby wciąż jeszcze biegli przez czarne pola...

Rozpalona głowa leżała nieruchomo na poduszce i wśród ciszy nocnej zaczęły się w niej budzić, wstawać i do kolosalnych rozmiarów urastać widziadła. Nadchodziły z ciemności zdarzenia tak bliskie, że były niemal rzeczywistością, wysuwały się z mroku osoby prawie dotykalne, brzmiały słowa, potoki krzyku, wybuchy jęków. Jakby światło przez wąską szczelinę do podziemnej pieczary spadał z nagłą blask występku dokonanego i oświetlał surowe przepisy, które takich a takich czynów zakazywały. Rafał teraz dopiero spostrzegał, co zrobił. Badał, co też go za to czeka, że wziął cudzą łódź, że pływał w niej nocną porą, że tę łódź zatracił, że o mały włos nie utopił Cedry i że, o straszliwa grozo! nagi wszedł z towarzyszem do izby profesora... Teraz dopiero zaczęło wyłazić zagadkowe znaczenie takich czynów, jak włóczenie się nago po mieście. Gorąco było nań, gdy sobie wspominał rozmaite wzmianki niegdyś słyszane o podobnych, ledwie podobnych wypadkach, wzmianki szeptem ze zgrozą zawsze mówione. Cóż go za to czeka? Jakaż jest

za to kara? Któż wie, może to jest największa ze zbrodni ludzkich? Gdyby ktokolwiek mógł mu powiedzieć, oznaczyć jednym słowem wielkość tego występku! Czy to właściwie jest zbrodnia? Zbrodnia! Wysuwał w ciemność cały mózg i jakoby nowym narzędziem badał nieznaną dziedzinę, oświetlał sobie drogę nowoodkrytą, po której teraz samemu iść wypadnie.

Słyszał nierówny, tchnący żarem oddech Krzysztofa i noga za nogą schodził w głębokości przerażenia: on umrze...

Włókł się myślami po schodach w gimnazjum i na ich szczycie widział prorektora Kubaszewskiego oraz wszystkich Minosów i Radamantysów, a nade wszystko... pedelów. Nowy zimny sylogizm wypływał kroplami lodowatego polu na jego czoło: będą mię bili. Skręcał się w sobie i czuł wściekłe, bezgranicznie bolesne, do cna rozszarpujące mość duszy smaganie upokorzenia.

Ale nade wszystko, nad przewidywane męki i bóle, czuł gdzieś daleko spojrzenie ojca. I wtedy truchlał jak zabity trup. Całą siłą woli, rozumowań, pocieszeń odpychał ten widok, zamazywał go, ścierał, używając skłamanych świadomie usprawiedliwień, wysnuwał ze siebie ciche błagania do kogoś, kto go wybawi. I znowu, jak powiew gorączki nie wiadomo skąd wychodzący, snuły się widma, wywody, myśli, przeczucia.

Pomimo jednak cały ten proces upadku, w głębi, za wszystkim, stało coś, czego unikał. Nie chciał tego wyznać przed sobą, bał się wyjawić wobec modlitw, ażeby ich nie spłoszyć, nie rozbić i nie odwrócić, ale wiedział to zatajoną, obłudną

pewnością, że tam jest radość z dokonania tego występku, zła duma, głębokie, tęgie, młode szczęście, które drży, kipi, rwie się i głośno a bezbożnie chichocze. Za westchnieniem modlitwy, która się z serca odrywała jak wonny dym, chował się głośny, pękający śmiech siły z tego, że Krzyś chory, łódź wędruje do Gdańska, a buty i mokre szmaty leżą na brzegu.

W zmaganiu się uczuć odmiennych i różniących się od siebie tak bardzo, jak światło i mrok, upływała ta noc nieskończona. Widziało się, że już świt blisko. Już wszystko się rozstrzygnie. Tak czy inaczej, ale zaraz...

Zwinięty w kłębek na posłaniu, rozżarzał w sobie odwagę, przewidywał zapytania i kuł odpowiedzi, a nadto w sekrecie przed sofizmatami udrećzonej głowy ścisnął pięście i wyprętał mięśnie przedramion.

Bezdenna cisza nocy zimowej pochłaniała wszystkie te uczucia chwiejnie płonące, pełne upadków i wybuchów. Aż oto w jej głębi, jakby w czarnych niebiosach, rozległ się dźwięk zegara na wieży. Uderzył raz, po chwili drugi raz...

Włosy zjeżyły się na głowie Rafała.

– Dopiero druga... – wyszeptał prawie głośno.

Opanował go taki przestach jak nigdy jeszcze w życiu. Rzuciły się nań wszystkie złe myśli, wszystkie fatalne kombinacje, przewidywania-obłudnice, i rozpacz chwyciła go za gardziel. Wbił czoło w poduszkę i przypatrywał się swemu nieszczęściu. Onego czasu widział, jak polowy w Tarninach łapał na skoszonej łące jadowitą żmiję. Widział, jak rozwidlonym

końcem gałązki brzozej przycisnął do ziemi jej szyjkę, jak potem ujął dwoma palcami łebek od tyłu, ścisnieniem otworzył paszczę... Wściekła żmija oplotła się dokoła ręki. Wtedy połowy końcem patyczka zaczął wyciskać jad z pęcherzyków pod jej zębami. Rafał wspomniawszy sobie tę chwilę. Doświadczał w ciele podobnego drżenia, jakby żmija oplatała go całego, jakby zwracała ku niemu rozwartą paszczę i za chwilę ostre zęby utopić miała w jego oczach.

Skulony, zwinięty w kłębek, tak że kolanami dostawał nosa, trzęsąc się w febrze, drzemał i budził się na dźwięk zegara. Każde uderzenie, surowe, obce, ów głos żelazny wychodzący z rzeczy martwej przelatywał puste i ciemne dziedziny jego rozmyślań i spadał na piersi jak cios kamiennej kuli. Nareszcie bledy świt ukazał w mroku powierzchni ścian. Wkrótce wszczął się w domu zwyczajny ruch. Familia profesora, jego gadatliwa żona, siostry, a nawet córki zajęły się chorym Krzysiem. Posłano po lekarza. Rafała otaczały zimne spojrzenia tych osób, wyciskając na jego czoło piętno hańby. On sam czuł się winowajcą. Wypił zwyczajny kubek gorącego mleka z takim pośpiechem, że o mało warg sobie nie sparzył, i nim się ozwał dzwon szkolny, z wiązką książek pod pachą ruszył do liceum. Wszedł na schody, które widział był we śnie, i pierwszy zasiadł w pustej sali. Sprzęty jej, które jeszcze wczoraj były wyrazami wesołości, przybrały teraz szaty złowrogie. Wyniosła katedra z drewnianym baldachimem bardziej niż kiedykolwiek tchnęła surową grozą konfesjonatu; czarne ławy miały w sobie posepną ciszę płyt grobowych. Wpadł

do klasy jeden z kolegów, drugi, trzeci; wkrótce wielka izba pełna była wrzawy, gwaru i śmiechu. Rafał siedział zatopiony w sobie, z oczyma utkwionymi we drzwiach. Jak przez sen widział, że jego towarzysze kują zamach na łacinnika, wlepiając między rzeźbione ornamenty baldachimu katedry dobrze ubitą pigułę śniegową. Nieżywy uśmiech przesunął się po jego duszy na myśl, jak to śnieg, gdy się powietrze ogrzeje, zacznie topnieć i pysznymi kroplami kapać na łysy czerep nudziarza...

Dreszcz wewnętrzny wstrząsał jego ciało, a myśli zamieniły się w błędny dym. Wesołość towarzyszków, ich zapytania pełne swawoli, koncepty i okrzyki zawierały w sobie podwójną, potrójną sumę boleści, spychały go jeszcze bardziej w ciemny dół rozpacz. Chwilami ogarniało go nagłe i śmiałe postanowienie ucieczki. Jedna tylko sekunda – i w czyn się zamieni. Uciekać! Uciekać... do domu. Ale oto jakiś dźwięk, szmer, słowo zmieniały nastrój w inny aż do rdzenia. Tymczasem zeszli się profesorowie: Szczepański, Zawadzki, Orłowski, ksiądz Kozubski, przybył prorektor Kubaszewski. Toczyli w gabinecie ostatniego jakąś naradę. Oprócz Rafała nikt na to uwagi nie zwrócił, ale on ze ściśniętymi zębami liczył już teraz sekundy.

Z nagłą dostrzegł pana Filipa i głęboko wciągnął w piersi powietrze.

Pan Filip był pedelem szkolnym, zwierchnikiem bezpośrednim kalafaktora Michałka i stróża szkolnego Jana Kapistrana. Pan Filip był niewielkiego wzrostu, szczupły, żylasty, na pałakowatych nogach, ale silny jak koń. Długo

służył w kawalerii austriackiej, odbywał liczne pochody na nieprzyjaciela, był wielokrotnie ranny i, jak zwykł był mawiać, więcej krwi na rozmaitych polach wylał, niż jej obecnie miał w sobie. Trudno było określić, w jakim jest wieku. Wyglądał na lat trzydzieści kilka, a mógł mieć więcej niż pięćdziesiąt. Była to twarz szara, ciemna, otoczona baczkami. Chodził w jakies resztkę obcisłego munduru, w sukiennych kamaszach, które sięgały za kolana, umiał świstać przeciągle, cienko i grubo, posiłkując się dziurami spróchniałych zębów jak otworami klarnetu. Młodzież szkolna drżała na widok tej wiotkiej postaci. Jej duże, czarne oczy, przejmujące do szpiku kości, zapierały oddech w każdym studencie.

Pan Filip umiał siec różgą w szczególny sposób. Jednych ciał do krwi od pierwszego uderzenia, innych do trzydziestu prawie bez bólu tylko smagał. Wiedzano, że kogo nienawidzi, tego rżnie „z wiedeńska”, wolno, ze strasznymi przestankami i piekielnymi ciosy. Wtedy to pogwizdywał swoje aryjki. Wtedy także zdejmował z szyi kolorowy szaliczek, rozpinął mundur, koszulę na piersiach i ostrożnie wyjmował z kieszeni cebulasty zegarek. Śmiał się przy tym i coś do siebie gwarzył z niemiecka czy z polska. Pan Filip wszystko wiedział. Znał życie każdego wychowanka jak własną kieszeń.

W pewnej chwili przeszedł się z wolna obok drzwi *poetyki*. Zajrzał w nie i ze strasznym uśmieszkiem szukał kogoś oczyma. Znalazł Rafała i z lekka cmoknął.

Potem odszedł, wezwał do siebie kalafaktora Michałka,

chłopa dziobatego, z kołtuniastym łbem i plecami jak kariatyda. Ten Michałek stanął obok drzwi prowadzących na schody i obserwował miejscowość oczyma wołu. Pan Filip gwizdał niedbale, stojąc pod ścianą ze skrzyżowanymi rękoma i przymkniętą powieką.

Rafał domyślił się, że on to jest zwierzyną, którą osaczają w ten sposób. Było mu wciąż zimno, ale szczególnie lodowaty spokój z wolna się w nim zasiał i rozpierał.

W pewnej chwili wszedł do klasy jeden z nauczycieli i zawołał Rafała do salki prorektora. Gdy tam weszli, oczom skazańca ukazał się areopag nauczycielski, żywo dyskutujący. Prorektor zbliżył się do studenta i, surowo patrząc mu w oczy, zapytał po niemiecku:

– Gdzie byłeś dzisiaj w nocy z Cedrą?

Rafał milczał.

– Jeszcze tylko szczerą skrucha i wyznanie wszystkiego może twoją karę złagodzić. Gdzie byliście obadwaj? Mów zaraz i prędko. To jedno... Czy ty słyszysz, co mówię?

Zamieć kłamstw leciała przez głowę winowajcy i tysiąc myśli, ale żadna nie zamieniła się w słowo.

– Czy ty będziesz odpowiadał? Wiemy wszystko. Gdzie byłeś dziś w nocy?

– Na rzece.

Wszystkie twarze wydłużyły się i oczy rozwarły.

– Na jakiej rzece?

– Na rzece Wiśle.

– Coś tam robił?

– Raki łapałem.

– Oszalałeś! W zimie! W roztop... Drwić tu śmiesz z nas wszystkich, łotrze! Mów, coś tam robił!

– Pływałem łódką.

– Czyją?

Rafał umilkł znowu, wsunął głowę w ramiona, jakby wszystko co miał do powiedzenia wciągał w siebie i zamykał na klucz.

– Kto kogo do tego namówił: czy ty Cedrę, czy on ciebie?

Rafał milczał.

– Który którego namówił? słyszysz?

– Słyszę.

– No, więc?

– Ja jego.

– Toś go zgubił. Ten chłopak umrze. Odpowiadaj: po co wyszedłeś z domu w nocy i czemu tamtego ciągnąłeś z sobą?

Nagła duma i furia wydzwignęła się z nicości w piersiach Rafała. Coś w nim zakółsało się i runęło.

– Wyszedłem z domu i robiłem to, co mi się podobało! – rzekł głośno, zuchwale, pokazując w uśmiechu wszystkie zęby.

– Tak ci się podobało... Aha!... – wysepleniał prorektor. – Tak ci się podobało... Czekażże, bratku, powiesz ty mi zaraz nieco odmiennym tonem.

– Nie powiem wam nic, choćbyście mię porznęli na kawałki!

– Powiesz!... – wybełkotał zwierzchnik.

– Ani jednego wyrazu.

Prorektor w pasji ledwie zdołał namacać dłonią klamkę. Otworzył drzwi i piskliwym głosem rzucił w korytarz wezwanie:

– Filip!

W momencie, kiedy to czynił, Rafał prześliznął się jak wąż za jego plecami i szerokimi krokami odszedł w przeciwny koniec korytarza. Tam zatrzymał się w głębokiej okiennej framudze... Za nim szedł już bez pośpiechu Filip, a o kilka kroków dalej, waląc obcasami juchtowych butów, kołysał się na ogromnych biodrach kalafaktor Michałek. Z każdej sali poglądały na scenę roziskrzone oczy uczniów, ale nauczyciele rozbiegli się po klasach, zamykali drzwi i tylko sam prorektor oraz pedele zostali w korytarzu. Gdy Filip był zaledwie o kilka kroków oddalony, Rafał wydobył z kieszeni długi składany nóż w kościanej oprawie, cenny dar wujaszka Nardzewskiego. Otworzył go sekretnym gestem i skulony czekał cierpliwie.

– Może by lepiej po dobroci... – rzekł cicho Filip uśmiechając się łagodnie. – Wyadministruję miętką trzydziestkę i *fertig*. Słowo honoru: miętkie *drajsig* – i sza.

– No, chodź, aniołku, Filipku. Chodź...

Pedel spostrzegł, widać, nóż ukryty w rękawie, bo trupia, zielona bladeść twarz mu okryła. Straszna wściekłość zionęła z oczu.

– Z nożem... – rzekł półgębkiem do prorektora.

Wraz kazał swemu pomocnikowi, żeby zaszedł z drugiej strony.

Rafał chrapliwie mruknął przez zęby:

– Precz ode mnie, chamy, bo z was kiszki powypuszczam!

W tej samej chwili Michałek sapiąc ruszył na niego z wyciągniętymi łapami. Prorektor, obserwujący sprawę z pewnej odległości, ujrzał błysk ostrza i krew, ale niezwłocznie spostrzegł, że nóż wydarty został z rąk Rafała. Michałek jedną ręką cisnął ten nóż daleko od siebie, a drugą, z której, krew rzygała, trzymał obiedwie dłonie studenta. Pan Filip narzucił na te ręce, ściśnięte do kupy jak gdyby klamrą, pętaczkę ze swego szalika. Ale oślepiąco porywczym ruchem Rafał wydarł się z objęć kalafaktora, skoczył na bok i w chwili prawdziwie lwiego susa potrafił dodać ramienia i zwiniętą pięścią trzasnąć go tak między oczy, że ten olbrzymi chłop runął na wznak i formalnie nakrył się juchtowymi butami. Rafał skoczył przezeń jak przez kłodę, w biegu huknął w brzuch prorektora i zmiatał korytarzem. Ale nim dopadł drzwi, dopędził go na giętkich nogach zwinny Filip i chwycił w pól.

W tej minucie skrzywdzony prorektor widział tylko skłębione ich ciała na ziemi. Za chwilę ujrzał mały łebek i gardło Filipa w pięściach i pazurach Rafała. Z białych nosów obudwu lała się krew, z ust toczyła się piana, z kurt, kamizelek, koszul dyndały strzępy. W pewnej chwili pedel wydobył się z obłąkanymi oczyma, z sinymi pręgami na szyi, oblany krwią, i znizywszy głowę, na oślep rzucił się do walki. Nadciągnął Michałek ze swymi krwawymi rękoma i Jan Kapistran. Mieli już Rafała, gdy ten skokiem znalazł się za oszklonymi drzwiami korytarza. Wszystkie szyby wyleciały z drzwi, piorunowym

ruchem zatrzaśniętych. Pościg z Filipkiem na czele rzucił się na te drzwi, nic nie zwracając uwagi na krzyk prorektora, który zbolełym brzuchogłosem nakazywał zawieszenie broni. W mig wysadzono drzwi z zawias. Filip dopadł zbiega w przedsionku, ale zwinny chłopak, rozjuszony jak ranny dzik, zwałił go z nóg jednym ciosem w skroń. Filip odbił się od ściany i, potykając kilkakroć, runął twarzą na ziemię. Kiedy wstał chwiejąc się na nogach, z oczyma zasłanymi bielmem, z gębą pełną krwi, obłąkany, zaczął macać rękoma dokoła, bełkotać i szukać Rafała.

Ale tego nie było już ani w przedsionku, ani na schodach, ani na dziedzińcu. Za chwilę nie będzie go już nawet w mieście.

Na pokucie

Na cztery wiatry zaocznym werdyktem wypędzony ze szkół sandomierskich, niewesoły wiódł żywot w Tarninach. Stary cześnik widzieć go nie chciał. W ciągu pierwszych dwu tygodni nie dopuszczał do ucałowania ręki, nie spostrzegał wcale jego obecności i nie mówił do niego ani słowa. Winowajca jadał obiady i wieczerze sam w narożnej izdebce, gdzie też sypiał na sienniku rzuconym w kącie. Z rozkazu starego pana do dnia budził go podstarość Piotr i zabierał ze sobą. Szli po ciemku świecić latarnią w oczy zaspanym parobkom i dziewczkom, wyciągać wszelki żywiol służebny z barłogu, spod kozucha, otwierać stajnie, obory, stodoły. Rafał dozorował, kiedy bydłu zadawano słomę i odmierzano koniom obroki, wydzielał chałupnikom przychodzącym na pańszczyznę oznaczone ilości snopów do młocki itd.

O świcie spotykał się z młodszą siostrą, Zofką, idącą w grubych butach, w krótkiej spódniczce i futrzanej bekieszy pilnować dojenia krów – i zamieniał kilka słów miłszych.

W innych porach dnia i to było wzbronione. Nikt bez wyjątku, nawet matka, nie miał prawa rozmawiać z „zakałą”, z „wrzodem”, z „infamisem” rodu. Garnuszek mleka z kromką sitnego chleba „infamis” spożywał stojąc w swej klecie i zaraz musiał wracać na gumno. Aż do obiadu siedział w stodołach, w zapolu, z nogami grubo kłocią i targaną słomą obłożonymi.

Tak pilnował chłopów młocących zboże. Po obiedzie aż do zmierzchu, aż do upragnionej chwili wiania omłotu, odbierania zgonin, pośladu, mierzenia i odnoszenia ziarna do spichlerza, spędzał w ten sam sposób na milczącym, sennym wsłuchiwaniu się w łoskot cepów o klepisko. Gdy dokonany został oprzet wieczorny koni, bydła, owiec, wszystko zamknięte i klucze odniesione do kancelarii starego pana, miał rozkaz zjadłszy kolację spać natychmiast.

To samo zresztą czynił dom cały. Od szeregu lat szło wszystko tak mechanicznie patriarchalnym trybem, „jak w zegarku”. Już po upływie tygodnia Rafałek omdlewał z nudów. W czapce nasuniętej na oczy, z dłońmi wbitymi w rękawy lisiurki słuchał chłopskich gadek, baśni, przypowieści, patrzył niby na to, co się dokoła działo, czy nikt z robotników „nie stoi”... Myślni był na innym świecie. Dopiero wrzaskliwy głos ojca, grzmiący gdzieś po gumnie, sprowadzał go znowu na klepisko. Wówczas skazaniec zbierał rozwleczone myśli, układał przytomne i krótkie odpowiedzi na pytania, których mu zresztą cześnik nigdy nie zadawał. Tylko straszne spojrzenie starca spod nasepionych brwi witało go zawsze i żegnało. Jeżeli zaszło coś nie tak jak trzeba, wtedy otrzymywał takich spojrzeń drwiących, mściwych, okrutnych kilka z rzędu, na odchodnym jedno, dwa „mościbrodzieju”, wycedzone w taki sposób, że skóra cierpła jak od razów praajcowskiego kańczuga. Tym porządkiem upływał dzień za dniem.

Przy końcu stycznia, w niedzielę rano, Zofka, ulubienica

rodzicielska, weszła do stancji Rafała i rzekła krótko:

– Jegomość tatuńcio kazał, żebyś z nami siadł do kościoła.

Rafał drgnął z radości.

Kiedy czterokonne sanie stanęły przed drewnianym kościółkiem w Sulisławicach, znowu Zofka Rafałowi szepnęła do ucha:

– Nie chodź z nami przed ołtarz. Masz zostać na kościele. Tak jegomość tatuńcio rozkazał.

Krew zakipiła w młodzieńcu. Hańba prawie nie do zniesienia: stać na kościele, między chłopstwem, ramię w ramię z kołtunami, kiedy cała szlachta okoliczna znajdowała swe miejsca w prezbiterium!... Musiał jednak być posłuszny.

Stanął między żółtymi kozuchy za kratą oddzielającą nawę od wielkiego ołtarza, zagryzł wargi i ze wstydu nie podnosił oczu. Czuł, że motłoch rozstępuje się raz w raz, czyniąc ulicę dla przejścia nowoprzybyłych, słyszał szelest kroków idących ku ołtarzowi, ale oczu wciąż nie podnosił. Udawał, że się modli żarliwie, choć ani jednej litery książki, którą trzymał w ręku, nie widział. Dopiero przed podniesieniem dźwignął ukradkowo oczy.

Wśród matron i personatów parafialnych bokiem zwrócona siedziała panna Helenka. Oczy jej skierowane były w stronę Rafała, choć nie patrzyły... Oczy błękitne jak dalekie lasy w słoneczny zimowy dzień. Wspaniałe strumienie jasnych włosów wymykały się spod futrzanego tocza, który głowę okrywał. Twarz bledsza, jakby starsza od owej chwili,

kiedy ją Rafał widział ostatni raz, była głęboka, piękna, niewymowna... Przyćmił oczy jak gdyby smutek. Ale za nim stały uczucia dziecięcej radości, szczebiotliwego śmiechu, nieśmiałych a wesołych pytań, z cicha rzuconych. Podziw, a może żal odwracał tę twarz, te upajające dziewicze oczy... ku organom.

Rafał zacichł w sobie, wsłuchał się sam w tony organów czy w muzykę ich mrącą jak echo w głębi serca. Kiedy znowu wzniosł oczy, spotkał wejrzenie krótkie, pachnące jako dym z precudnych kadzideł snujący się pod sklepieniem. Ów to dym wonny, czarodziejski, uroczysty oddalacz, zasnuł przestrzeń między ich oczyma. Nim ukończyła się ta święta msza, odbyło się w sercach tajemnicze misterium. Minęły długie dzieje, zaległa w duchu otchłań zdarzeń, od pierwszego zachwycenia, któremu towarzyszyła trwoga, aż do róż wiernego uśmiechu, wykwitających na ustach, aż do błyskawic szczęścia w prześlicznych oczach, aż do wyznań zaprzysiężonych i pokornego ślubu.

Ani słowa nie przemówili wtedy do siebie. Zaraz po sumie Rafał odjechał do domu.

Ta niedziela stała się jakby granicą nowego czasu. Od niej inne zaczęło się życie. Budził się i zasypiał wzburzony. Dokonywała się w nim fizyczna i moralna przebudowa. Nie miał apetytu. Istotna choroba ogarnęła całe jego ciało. Była to, rzekłbyś, moralna trawiąca gorączka. Miłość szerzyła się w nim jak zaraza. Kochał się całym ciałem i całą duszą, a każda komórka ciała

i każde drgnienie duszy pełne było krzyku. Zdarzały się dni, że zamieniał się w żywioł bezduszny, przykuty do miejsca, i wówczas wszystkie wysiłki woli rozbijały się o jeden promień światła, o jedną smugę błękitnego dymu, który onego dnia wznosił się ze świętych kościelnych kadzielnic.

Były dni, że czas leciał jak jaskółka na skrzydłach, kiedy indziej włókł się jak żebrak na kulach. A w ciągu takich dni Rafał żył poza wszystkim, jakby na zewnątrz dnia, prac, zajęć, nawet myśli, nawet uczuć. Żywiło go czucie niematerialne, płynące z dala na podobieństwo owego jądła, które pustelnikowi kruk nieznany przynosił. Przymykał powieki i wpatrywał się w oczy rozsiewające iskry, z których każda tworzyła nowy świat. Oto wszystko. Sam nie mógł ani pojąć, ani zrozumieć, ani nazwać pożądań, bólów nieokreślonych, ślepych i ciemnych, palących się namiętności. Jedno tylko odczuwał, że tęskni do wydobycia się – do szaleństwa. Krzyczał na siebie jak na łotra i w tej samej chwili nurzał się w szelmowskiej dumie, kąpał w marzeniach grzesznych, niewiadomych, w snach nad snami. Dla zniszczenia w sobie tajnych zgryzot zamierzał wykraść z apteczki karafkę z gdańską wódką i pić, pić na śmierć. To znowu marzył o śmierci, o zgubie, o zbrodni, o szaleństwie.

Już po jakichś dziesięciu dniach takiego życia wychudł, żółkł, szerniał i wyglądał obrzydliwie. O nic nie dbał. Spojrzenia ojca najbardziej srogie zaczął lekceważyć. Owszem, pragnął, żeby go bili, żeby go prali, żeby cierpieć aż do obłąkania. Śniły mu się katusze ojcowskie, baty na śmierć... Ani piśnie!

A powstawszy z kobierca, zrobi to samo, coś takiego, że zapamiętają... Otwierały się przed jego wzrokiem coraz to nowe powiaty zuchwalstwa. Stracił poczucie granicy między wpojona wiarą w rzeczy dobre i złe. Znał teraz tylko jedno: pachnący, uroczy, kwiecisty cień. Przychodziły nań chwile, że chciał na rzeczy święte, czczone, drogie dla wszystkich i dla niego samego aż do tych dni, położyć dłonie hańby, właśnie na te sprawy, dzieła, uczucia, słowa najdroższe, najświętsze... Rwać, szarpać... Wlokła go i ciągnęła ku sobie siła, nęciła boleść, zachwycała potworność. Z wewnętrznego musu chciał wydrzeć ze siebie samą naturę ludzką. Brzydził się nią jak starym, zgniłym próchnem i bezgranicznie gardził jej przepisami. Być zdrowym, starać się o łaskę dobrych uczynków, unikać chorób i śmierci – jakież to nędzne i głupie! Przez ściśnięte jego usta buchała teraz lawa wyrazów zelżywych, złych, niktzemnych, jakoby krew zgniła, co się z ciężarem po żyłach przesuwają. Nie umiałyby odrzec, skąd znane mu są takie słowa, jaki wiatr przyniósł je do uszu z karczmem rybackich, z plugawych siedlisk miasta. W takich momentach opętania bił o byle co, częstokroć niesprawiedliwie, chłopów pańszczyźnianych i rozkrwawiał gęby parobkom.

Kiedy znalazł się pośród rodziny, drżał często na całym ciele, czując, jak się w nim objawia chęć rzucania ciężkich przedmiotów i słów okrutnych, niepowetowanych, słów-zabójstw. Nieraz w biały dzień opanowywała go głęboka senność, to znowu gwałtowna żądza ruchu, blasku, świateł,

hałasu, orgii. Czuł w sobie to płacz dziecka, najżałobliwszy, to śmiech cyniczny, to pociąganie bez kierunku, bez celu, nieokreślone. Tysiąc już razy silnie pragnął, żeby te dziwne chwile umarły, zbierał do kupy wolę, żeby je wygnać i zedrzeć ohydną błonę przywarłą do serca. Ale nie chwile bieżące umierały, tylko właśnie wola. Jedno czarujące wspomnienie bladej twarzy było w nim stałe, wieczne, niezmienne, wcielone w jego duszę jak życie.

Ćmiły się te oczy od wichrów wspólnych, wewnętrznych jak płomień, które się od jednego wiatru chwieją. Przychodził z nagłą, niespodzianie, w chwilach najbardziej niestosownych, bo w obliczu ojca, zapach włosów, aksamit twarzy, upał rąk.

Dusza stała się czarną i rozpaloną. Nieraz budził się w nocy z uczuciem, że w nim jest przepaść niezgruntowana, ziejąca głębią. W godzinach południowego wytchnienia szedł cichaczem do stajni i kęsy swego chleba oddawał klaczce Basi. Była to jedyna jego powiernica. Przypatrywał jej się z rozkoszą. Była długa, na niskich, delikatnych, suchych, przepysznie foremnych nogach, które stawiała miękko niby po kobiercu i z dziwną gracją. Miała boki wpadłe jak wilczyca, kłęb wysoki, łopatki tak długie, że ich mięśnie wystawały nad piersi, a mięśnie udowe podkasane i wydłużone. Szyja jej była płaska, długa i zgięta w pałąk, główka mała i ogromnie mądre, głębokie oczy, osadzone w nadzwyczaj szerokich kościach czoła. Oczy te były pełne sądu, pewności siebie i – przysięgłbyś: dumy.

Cienka skóra, przez którą znać było wszystkie żyły, suche

ścięgną i mięśnie, była ubarwiona miękką aksamitną sierścią. Biała grzywa, obfita, bujna i wzdęta, burzyła się, a niestrzyżony nigdy ogon świetnie od tułowia odsadzał. A ruchy! Wiła się jak wąż; można nią było zawrócić na stole. Umiała płaszać w miejscu, wolno i lekko, iść do ręki jak pieszczone dziecko, ale umiała również wydrzeć z rąk cugle perskiego munsztuka, z rozwartym pyskiem, wzięwszy na kieł krygowe wędzidło, rwać jak dziki wicher przez rowy i płoty, choćby jej ręka jeźdźca darła żelazem wargi.

Rafał pamiętał Basię od pierwszej chwili jej życia. Miał ją w oczach, gdy była włochatym źrebiątkiem i biegła na chwiejnych nogach za matką, tęgą, rozrosłą, białą świerzopą; pamiętał, gdy była źrebicą o krótkiej grzywie, kiedy hasała swobodnie na pastewniku... On pierwszy dopadł, pierwszy siadł na jej grzbiecie bez uzdy i siodła. Pierwszy ją na uździenicy otarł i objeździł oklep, nocami, w sekrecie przed cześnikiem. Nie dziesięć, nie dwadzieścia razy prasnęła nim o ziemię, że ledwie wstał. Nieraz go ponosiła bezdrożami, w nocy, aż obojgu dech zamierał i serce stawało. Ugłaskał ją wreszcie. Teraz klacz go kochała. Potrafiła rozpoznać jego kroki, gdy już z daleka nadchodził, rżała z cicha, radośnie, gdy się zbliżał, a biła nogami, kiedy się oddalał. Panicz pieścił ją, karmił, pielęgnował, sam cesał zgrzeblem, sam poił i przeprowadzał.

W tych czasach, skoro jej oddał przyniesione smakołyki, siadał w jej żłobie, splatał ręce na jej szyi, opierał czoło o jej łeb i siedział nieruchomy, w zamyśleniu. Klacz wyciągała ku

niemu wilgotne, szeroko otwarte chrapy o czarnych jamach, a mądre spojrzenie jej oczu jakby z pytaniem czułym i trwożnym na nim spoczywało. Często przychodził teraz do niej bez chleba, bez jabłek... Siadał tak samo i, patrząc w oczy Baški przymrużonymi oczyma, z dziwacznym uśmiechem śpiewał jej z cicha głuchą piosenkę swej duszy: śpiewkę bez słów, jeszcze nigdy i przez nikogo niesłyszaną, dźwięki z samej głębi serca płynące tak bez woli i wiedzy, jak łzy płyną z oka...

Noc zimowa

Jednego z pierwszych zaraz dni marca Rafał, dopuszczony już w drodze łaski przed rodzicielskie oblicze, wszedł wieczorem do sypialni, skąd właśnie wyniósł się podstarość otrzymawszy codzienną, przepisaną niejako dozę łajnia, wymysłów i krzyku. Nowy Rafał obowiązek polegał na czytaniu urywków starych gazet, które cześnik pożyczał z sąsiedztwa. Lektura trwała zazwyczaj krótko, jakieś najwyżej pół godziny. Cześnik leżał już w łóżku. Podstarość Piotr złożył był wszystkie klucze na stoliku. Łojówka topiła się już w blaszanym lichtarzu od dość dawna i niewiele jej zostało. Gdy Rafał wszedł po cichutku i zatrzymał się przy drzwiach, wnet stary krzyknął na niego:

– Co się tam czaisz? Znowu może knujesz jakie łotrostwo... Bierz gazetę i czytaj mi wyraźnie od tego miejsca, gdzie wczoraj stanął. Na czymśmy skończyli?

– Na „Dekrecie pochwały dla księdza Zdziechowicza z Piekoszowa”...

– Wiem. Dobrze. Pochlebcom zawsze dobrze, w gazetach ich będą drukowali! Jedź dalej! Wyraźnie i, mościbrodzieju, tak żeby sens było widać.

Rafał wziął w rękę podarte i zasmolone, luźne szczątki „Gazety Krakowskiej” z roku 1796 i zaczął głośno, patetycznie czytać:

„List generała Buonapartego do Dyrektoriatu. Z głównej

kwatery! Weroną, dnia 29 Briumer”...

– Czego?

– Napisano: Briumer.

– Cóż to jest ten Briumer?

– Ja nie wiem.

– Ty byś też co wiedział, dryblasie! Warto było pieniądzem gotowym za ciebie w szkołach płacić. Nożem pruć pedelów toś się tam *expedite* wyuczył, niczym rzeźnik cieleńta, ale co znaczy takie zagraniczne słowo, to nie twoja rzecz. Ślabizuj dalej!

„Jestem tak zmęczony fatygami, obywatelu Dyrektorowie”...

– Cóż to za jedni ci obywatele dyrektorowie?

– No ja... tego nie wiem.

– Żeby mi się wstać chciało, tobym cię tak, mośćbrodzieju, huknął w ucho za to „nie wiem”, żebyś zaraz zmądrzał!

„...iż nie jestem w stanie donieść wam o wszystkich poruszeniach wojskowych, które poprzedziły bitwę pod Arcole, co teraz zdecydowała los Włoch. Dowiedziawszy się, iż feldmarszałek Alwinzy”...

– Wyraźnie! Dnia dzisiejszego!

„Feldmarszałek Alwinzy zbliża się do Werony”...

– I Werony pewno nie wiesz, co jest?

– Wiem. Weroną jest takie miasto we Włoszech.

– Mójże, mądrała...

„...dla złączenia się z dywizjami jego armii, które są w Tyrolu, poszedłem z dywizjami generałów Augereau”...

– Jak?

„...Augereau i Masseny, wzdłuż rzeki Etsch”...

– Łżesz!

„...Etsch... Tymczasem dowiedział się nieprzyjacieli o naszych poruszeniach i wysłał regiment Kroatów i kilka regimentów węgierskich do wsi Arcole, która dla swego położenia wśród bagnisk i moczarów jest bardzo mocna. Ta wieś zatrzymała cały dzień 15 przednią straż armii. Generałowie, znając ważność czasu, nadaremnie rzucali się na czele kolumn dla przebycia małego mostu pod Arcole. Wszyscy niemal byli ranieni. Generałowie Verdier, Bon, Verne, Lasne musieli być z miejsca boju sprzątnieni”...

– Widzieliście... – mruknął cześnik.

„...Generał Augereau”...

– Znowu swoje!

„...uchwycił chorągiew, zaniósł ją aż na koniec mostu, został tam kilka minut, ale bez najmniejszego skutku”.

– Masz teraz! Tak, widać, Austriak, prał tego. Złęky się Francuzy, rozumiesz, gapo?

– Rozumiem – rzekł Rafał.

W chwili gdy to mówił, patrząc ojcu w oczy z rzewną serdecznością, sięgnął ręką po klucz od stajni, ściągnął go niepostrzeżenie ze stolika i schował do kieszeni.

– Czytajże dalej. Cóż się też stało?

„...Z tym wszystkim potrzeba było przejść ten most lub kilka mil obchodzić, co by było nasze działanie zepsuło. Udałem się sam”...

– Kto się sam udał? Kto się gdzie udał, mośćbrodzieju?

– Udał się ten, co na początku, jakże się tam zwał...

Buonaparte... „Zapytałem się żołnierzy: czy jeszcze są zwycięzcami spod Lodi? Przytomność moja... takie sprawiła... poruszenie... w wojsku”... – czytał Rafał głosem coraz cichszym, widząc, iż ojciec już tylko jednym okiem, i to słabo, na niego spogląda.

Nim doczytał do końca szpalty, już cześnik wpadł w głuche sapanie. Za chwilę chrapnął raz i drugi. Wtedy młodzieniec zgasił świecę i na palcach wyszedł, cicho zamykając drzwi izby ojcowskiej.

Minął kilka ciemnych już stacyjek, znalazł w mroku drzwi do swojej, zamknął je i upadł na poście. Leżał bez ruchu. Coś w nim teraz ostygło i zaczęło z wolna wysuwać się z piersi, wysuwać jak dusza. Został w nim tylko zimny rozmyśl i ta żelazna pewność, że klucz ma w kieszeni. Klucz ów był to płaski ułomek kutego żelaza, mający co najmniej ćwierć łokcia długości, wykrzywiony w kształt litery S. Obadwa jego końce miały kwadratowe wyimki, czyli zęby do chwytania nimi mutry zakręcającej śrubę.

Cisza ogarnęła już dwór. Bezdenna zimowa cisza. Ostatnie szelesty zginęły... W kuchni zgaszono łuczywo. Słyszać było, jak drobny śnieg sennie podzwania padając w otwór drewnianej okiennicy, jak po szybie ślizga się każda jego drobina... Świerszcz nocny skrzypiał trwożnie gdzieś w trzecim pokoju...

Wiatr ostry u węglów domu zakwilił, a później z żałośliwym

szmerem wałęsa się pod ścianami. Chwilę nacichnie i znowu z rykiem i świstem pięściami bije w ściany, usiłuje wyrwać okiennice, tupie jak koń po słomianej strzesze...

Rafał, wyciągnięty na swym sienniku, czekał patrząc w ciemność. Zdawało mu się chwilami, że tak już całą noc przeleżał, że świta, to znowu nabierał pewności, że nie ma godziny od chwili, kiedy z izby cześnika wrócił. Kilkakroć dźwignął się i nasłuchiwał. Serce targało się w nim jak więzień silny i młody, który w męce pięściami usiłuje rozwalić ściany swej celi. Głowa płonęła a krew biła w skroniach. Dusił się w gorącu, które szerzył piec z rogu izby.

Przed północą siadł na posłaniu i na coś oczekiwał. Przyszła wreszcie tajemnicza chwila i dźwignęła go na nogi, jak rozkaz. Wciągnął na zwyczajne, sukienne ubranie, w którym był, spodnie ze skóry łosiej, wdział na kubrak krótki barankowy kożuszek z żółtej, twardej skóry, ściągnął się mocno rzemiennym pasem szerokim i grubym, wzuł buty długie, za kolana, doskonale poprzednio wysmarowane łojem, i wcisnął na głowę futrzaną czapkę. Gdy to skończył, wylał na siebie flaszkę larendogry, którą był skrycie zabrał siostrom. Zapach dodał mu sił, tchnął węń zuchwalstwo, potęgę i szaf. Trzymając w ręce klucz od stajni Rafał pchnął okienko swego pokoju. Okiennica, umyślnie słabo przytwierdzona, podała się w ciemność, oknem wiatr ją szarpać. Awanturnik skoczył w śnieg. Skoro przymknął połówki okienne, żeby w nocy nie stukwały i nie zbudziły śpiących, skoro podparł okiennice przygotowanym drągiem, był już pewny

swego. Wionęła dokoła jego twarzy wichura, zatoczyła się jak pijana wiedźma, osypała go śniegiem dymiącym z dachu, całego od stóp do głowy. Wciągnął w nozdrza ów śnieg rozpylony, łechcący jak tabaka. Radość go niosła przez zaspy. Pławił się w nich i kopał, nim wybrnął z ogrodu. Gdy wszedł na dziedziniec, obskoczyły go psy, olbrzymie brytany i kundle włochate, mokre, pospuszczane z łańcuchów. Skakały mu na piersi, łaszcząc się, lizały ręce. Odpędził całą gromadę precz od siebie i, już stojąc przed stajnią, badał pogodę. Śmiał się z radości widząc, jak śnieg dmie coraz lepiej, i marzył o tym, jak zasypie, zanieśie, zniszczy wszelkie ślady. Dobra, pocziwa, ukochana zamieć...

Drzwi stajenne zawierały się na sztabę żelazną, która z wewnątrz na ukos je przypierała. Koniec tej dęgi przytwierdzało się śrubą, która przewiercając odrzwia wychodziła na zewnątrz i mogła być zamknięta na mutrę, wkręcaną nań owym kluczem dopiero co skradzionym. Rafał podważył mutrę kluczem, odkręcił ją prędko, pchnął drzwi i wszedł do stajni. Przez chwilę, stojąc w gorącym końskim oddechu, nasłuchiwał, czy nie obudził się który z parobków. Ale chrapali wszyscy jak zarżnięci, jedni pod żłobami w sąsiedztwie drzwi, inni pokotem śpiący w tak zwanej grudzy. Baśka parsknęła kilkakroć, gdy do niej szedł, i dotknęła go wilgotnymi nozdrzami.

– Basiu, Basiu... – szepnął do niej na przywitanie.

Szybko jej na łeb założył trzęzlę, na grzbiet podkład i siodło.

Wywiódł ją szybko ze stajni. Klacz chrapała na zimnie i biła kopytami. Za progiem ściągnął i mocno, z drobiazgową pilnością pozapinał popręgi siodła, urównał puśliska i przymknął drzwi. Bez pomocy drugiego człowieka, który by sztabę dźwignął i wsunął śrubą w otwór, nie mógł ich zamknąć, toteż zostawiając je na całą noc, aż do chwili swego powrotu, otworem, spełniał czyn straszny. Chwilę namyślał się, czy żelazny klucz wziąć ze sobą, czy go rzucić w śnieg obok drzwi i za powrotem odszukać. Chwilę namyślał się... I oto piorunem zleciał weń napastniczy, obmierzły, jakby włochaty i cuchnący lęk... Podszepnął mu, żeby go zabrać. Wsunął tedy w kieszeń od rajtuzów ten duży kawał żelaza, chwycił w garść wodze i był na siodle.

Baśka w podskokach przeleciała podwórzec. Psy ścigały ją za bramę, ale się wkrótce cofnęły. Rafał wypadł w pole. Jechał topolową aleją, do obłąkania szczęśliwy. Suche pręty starych, wyschłych drzew huczały w ciemności. Była to pieśń szczęśliwa, krzyk ze wzdętej piersi i całej gardzieli. Śnieg walił zewsząd: rwał się z ziemi i smagał z boku. Trwała ciemność tak zupełna, że Rafał o kęs nie mógł w nią wszczepić wzroku, nie widział drzew, o które się ocierał... Potężne granie wichury na olbrzymich strunach lip i topól nadwiślańskich zaczęło zniżać się i przygasać. Z tego wniósł, że już minął aleję. Droga tam szła na mały wzgórek, gdzie, omijane przez żyjących, w cieniu kilkunastu brzóz leżało samotne cmentarzysko cholerycznych, dawno, dawno, przed wieloma laty tu schowanych. Rafał rozeznał poświst nagich różg brzozowych,

odmienny, przedziwnie odmienny od wszystkiego na świecie. Połyszał, jak tam wiatr szłocha na ramionach zmurszałych krzyżów, co się chyła między zarośla, jak chichot wichrowy szczeka spomiędzy badyłów dzikiego głogu. Wołało na niego to straszne miejsce przeraźliwymi słowy, które włosy na ciemieniu podnoszą i lodowatą seremność ciskają w serce. Wzywały ku niemu z ziemi wzgardzone mogiły... Uderzył Baškę w bok nogą i minął je galopem. Zostały za nim w polach, ucichły, umilkły...

Baška niosła go wskroś wiatrów siekących twarz, w poprzek miękkich śniegów. Lecieli oboje w dzielnej rozkoszy. Rafał chylił się na jej grzywę, objął rękoma przepyszną szyję i szeptał:

– Zanieś mię...

Spostrzegł po chwili, że wiatr mu sprzyja: dał z tyłu, podniecał kobyłę do biegu, a zarazem dawał możność utrzymania kierunku drogi. Rafał czuł zresztą doskonale, że jedzie szlakiem, i skoro tylko Baška wkraczała na zagony, sprowadzał ją w kolej. W pewnym miejscu, w stronie Godzisławic, krzyżowały się drogi i była tam na rozstaju figura z Panem Jezusem. Rafał czuł to, że powinien był zbliżyć się już do niej. Naprężył oczy i wyciągniętą ręką szukał w powietrzu słupa. Basia drgnęła i zboczyła. Rafał zmusił ją do powrotu i dotknął ręką słupa oblepionego śniegiem. Wiatr tam był przedziwnie. Zdawało się, że w istocie, jak głosi baśń ludowa, diabeł owija się dokoła figury, okręca się dokoła niej jak badył, pełza jak bluszcz, póki wichur świętego obrazka nie zedrze ze słupca.

Teraz jeździec pewny już był, że nie błądzi. Skręcił na prawo

i z godzinę równym klusem jechał aż do opłotków, które były zadęte i pełne śniegu jak sąsiedki zboża. Wyprowadził Baškę na pole i przez czas pewien brnął noga za nogą. Był już zdyszany. Czuł, że i klacz zagrzała się tego, że w niej krew kipi. Wkrótce, jak się tego spodziewał, napotkał stóg siana. Zeskoczył na ziemię, wydarł sporą porcyjkę, związał ją mocno i przytroczył do siodła. Wywiódł kobyłę za bróg, w ciszę, gdzie wiatr ledwie milczkiem kąsał, przystawił ją bokiem do ściany, sam się skulił, plecami oparł i dał w objęcia pochwyć marzeniom.

Czyhały na tę chwilę, goniąc stadem nieprzeliczonym. Skoro tylko wytchnął, stanęły przed nim jawniejsze i oczywistsze niż wszystko, czego dotykał rękoma i mógł dosięgnąć oczyma. Widma cudowne! Nieskończoną radość odczuwał na myśl, że już zbliżył się do miejsca swojego szczęścia. Pochłaniał je oczyma, jakby ciemność dookolna nie istniała, i rzeczywiście widział to, co było tylko utworem imaginacji. Widział oświetlone pokoje, meble, sprzęty, osoby, ich ruch, słyszał rozmowy... Widział ją, a raczej ogarniał wzrokiem wcieloną piękność, marzenie ziszczone, duszę swej duszy, kwiat cudnobarwny żywota. Jaśniała przed nim w mroku nocy wszystka świetlista, przeistoczona w obłok złotobiały i w uśmiech. Rozkosz widzenia jej tak cielesnymi prawie oczyma nie miała granic, łaska miłości przechodziła tu szczyt swój najwyższy. Słuchał melodii, którą budziło jej przyjście, i unaszał się sam ponad sobą jak duch.

Klacz zdawała się wiedzieć, co się to dzieje. Stała cicho, żując wędzidło i z lekka lotną zaspę rozgarniając kopytem.

W pewnej chwili Rafał ocknął się ze swych snów, wspiął na siodło i z ciszy wyjechał w wicher. Teraz już sama Baśka niosła go przez bezdroża. Przystanąła czasem, i wyciągnawszy szyję, brała chrapami powietrze. Wówczas jego ręka gładziła pieszczotliwie piękną grzywę. Z ust mu się wymykały dźwięki pochwalne. Jakże wielbił swą Baśkę! Stała się oto dla niego wszystkim: nie tylko powiernicą szczęścia, lecz i dobroczynną potęgą, która niesie w jego strony...

Był teraz na granicy rozdołu Koprzywianki, w pobliżu wielkich lasów Góreckich. Gdy tam stał chwilę, pierwszy raz ogarnęło go niemiłe uczucie. Do domu było już daleko, a i do celu podróży nieblisko. Cmoknął na klaczkę. Omijał dwory i wsie albo je przebiegał cwałem, skracał sobie drogę ile się dało, wreszcie zbliżył się do Derśławic. Szum drzew i szczekanie psów zwiastowały, że już blisko, ale głównie zwiastowało światełko błyszczące między drzewami w dole. Rafał jechał polem noga za nogą aż do miejsca z dawna przewidzianego.

Oczy przywykłe do ciemności wyróżniły czarną masę budynku. Wtedy zeskoczył na ziemię i sprowadził klaczkę z wyniosłości na drogę niżej położoną. Basia szła chętnie, z cicha chrapiąc i ostrożnie badając powietrze nozdrzami. Stanęli obok murowanej budowli. Była to kuźnia stojąca z dala od folwarku, w alei.

Teraz, w nocy, była zupełnie pusta. Przede drzwiami jej istniał pewien rodzaj portyku na dwu otrąconych u dołu filarach z cegły, gdzie w czasie deszczu stawiano konie do kucia. Był tam nawet

w kącie wygryziony mały żłobek i drabinka. Rafał umieścił przy nim Baškę, wytarł ją silnie zwitkiem siana, a całą wiązkę rzucił w żłób, do którego uzdę przywiązał na głucho.

Basia zaczęła skwapliwie żuć siano...

Miał już iść od niej... Otrząsnął się, przeciągnął... Chwilę dumiał i nasłuchiwał. Wreszcie odszedł. Dużymi krokami przebył w poprzek szerokie pasmo gościńca, które się zniżało między rzędami lip, i szedł obok płotu otaczającego bardzo rozległy sad. Znalazł wreszcie miejsce dogodne i wkroczył na obszar dworski. Stał w ulicy ogrodowej, która prowadziła do dworu. Niskie drzewa owocowe były okryte czapami śniegu dopiero co spadłego. Musiał zniżyć się, żeby go nie strącać. Śnieg wił się tutaj między gałęziami w tysiącnych kierunkach. Było tak ciemno i panował taki chaos ruchu, jakby miliardy istot wirowały w tym miejscu. Rafał posuwał się na oślep. Zdawało mu się, że nie trafi do dworu. Raz sądził, że ten dom jest dalej, to znowu, że go już dawno minął. Tymczasem wyciągniętą ręką z nagłą dotknął się ściany. Dreszcz rozkoszy przeniknął całe jego ciało. Stał obok kilka kroków, z rozpaczą marząc, że to już wszystko, że już trzeba wracać.

Cóż jeszcze więcej być mogło? Nic. Chyba nieszczęście... Ale za uderzeniem powtórnych myśli, że dotyka ręką węglów domu, gdzie ona jest na pewno, że może za tą ścianą ona oddycha, we śnie pogrążona, że to on, we własnej postaci, nie we śnie ani w marzeniu idzie obok drzew, które ona jutro ujrzy oczyma, kipiało w nim obłąkanie. Wciągał w siebie nozdrzami

przedziwną atmosferę, która jak podniecający zapach zdawała się ten dom otaczać. Czuł bezsilność rozsądku, niedolę woli... Nic więcej nie pragnął oprócz tego, żeby jeszcze przez chwilę oddychać powietrzem tego ogrodu. Stał w gąszczu krzewów bzu, które zacięniały okna, teraz na głucho przykryte okiennicami. Tuż obok była naturalna altanka, utworzona przez kępy leszczyn, głogu i dzikiego chmielu. Pod cieniem bżowego krzewu, który w grube drzewo się rozrósł, była darniowa ławka, tej nocy zadęta do znaku. Naokoło sypały się puchy śniegowe z cichym szelestem, ale na to miejsce prawie nie padały, gdyż utworzył się tam na gałęziach jakby dach z okiści. Westchnął z głębi serca. Zatrzymał się tam i twarz ukrył w dłoniach. Serce rozdzierało się w nim od myśli, że już iść trzeba. Dźwignął głowę, zrobił jeszcze dwa kroki naprzód... I oto znalazłszy się za węglem domu ujrzał światelko w ścianie prostopadłej do tej, przy której stał.

Biały promień wydierał się z serca okiennicy i nikłym kręgiem swoim ciemność rozpraszał. Płatki śniegowe wiły się w nim i połyskiwały miliardem brylantowych światełek.

Dołem tej ściany ciągnął się darniowy odkos, jakby długa ławka. Rafał wszedł na nią i, cicho brodząc w puchu śniegowym, dotarł do otworu wyciętego w drewnianej okiennicy. Spojrzał weń i zdrętwiał. Tuż, o dwa kroki przed nim, siedziała Helena. Na ukos od okna, przy małym biureczku, wygodnie leżąc w fotelu, czytała książkę. Woskowa świeca drżącym lśnieniem oblewała jej rozpuszczone włosy, jej przecudowne czoło, śliczną twarz, odkrytą szyję i piersi. Miała wrzuconą na ramiona

futrzaną szubkę, którą okryła się była, widać, przed chwilą, zabierając się do snu. Powieki spuszczone rzucały długi cień rżęs na białe, zadumane policzki. Oczy Rafała przywarły do jej ust rozchylonych, do jej czoła, na którym osiadła melancholia, płynąca z kart książki. Zdawało mu się, że umrze pod tym oknem, że w nim, silnym i młodym, coś kona i wydaje ostatnie tchnienie. Nienasycone oczy zaszyły łzami. I oto jak mordercza kula przeszło mózg postanowienie. Wsunął palec w otwór okiennicy i trzykroć cicho stuknął w szybę. Z wyciągniętymi rękoma rzuciła się w tył i chwilę stała przerażona, bez życia, patrząc w okno. Wówczas znowu trzy razy zastukał. Był teraz spokojny. Czuł zimno w piersiach. Szczęście, jak złotopióry ptak zabity w powietrzu, spadło i martwe leżało w jego duszy. Smutnymi oczyma patrzył w głąb pokoju.

Światło zgasło.

Poszedł z wolna od tego okna. Przymknął oczy i wsysał duszą pierwszą rozkosz wspomnienia jasnego pokoju, światła, które go oślepiło, szczęścia, które przyszło niewołane, jak sen, i niewysłowionej, czystej rozkoszy, jaką tylko uczuć można. W oczach jego stało tak wyraźne widziadło wnętrza tego zacisza, cudnego blasku, na który zewsząd następowała otchłań mroku, że znowu je dotykalnie widział i powtórnie zamierał, zastygał, jak od pierwszego wrażenia. Złudzony do żywego, wlepił w nie znowu oczy...

Znikło z wolna widziadło. Wówczas nagle wybuchy łez, jak gniazda zmij wylęgłych pod sercem, zdusiły go za gardło. Serce

nie bolało. Przepadło pragnienie widzenia osoby, szczęścia raz jeszcze. Oto jakaś wysoka, niedosięgła troska, coś nadludzkiego i nadziemskiego przez chwilę go niosło w dali od tego miejsca. Był gdzie indziej, z nią razem, w przedziwnym zaśnieniu, na świętym, przedwiecznym łonie. Budził się i dziwił słysząc, jak szemrze śnieg, osiadając na zaspach, jak wiatr wydyma z dachu długie jego żagle, jak szeleszczą suche różgi drzew.

Mówił sobie po stokroć, że trzeba iść. Już odejść, jak złodziej nocny...

Nagle w milczeniu rozległ się powolny zgrzyt otwieranych drzwi. Stojąc na wicherze Rafał usłyszał go, czuł w piersiach jak ostrze żelaza utopionego ręką. Był pewien, że jest zgubiony: zbudziła służbę... Ale i w nim ocknęło się lwie serce. Wyprostowany, pewnymi kroki szedł naprzód pragnąc jednym ciosem zwalić na ziemię każdego, kto zechce zakłócać jego marzenia. Zaświeci im w ślepie pańskim śmiechem! Czegóż, kogo mógłby się ulać po tym, co już widział? Co złego mogłoby go spotkać? Zbliżył się do kamiennych stopni ganku i wyciągniętymi rękoma dotknął jednego z filarów, na którym spoczywała wystawa dachu. Czuł, że we drzwiach stoi człowiek. Wparł oczy w to miejsce i milczący czekał. Wtedy usłyszał szept, głos cichszy od szemrania wiatru. Po stopniach zasłanych śniegiem Helena zeszła wolno jak cień. Zstąpiła ku niemu jak niewidzialna dusza, jak sama miłość. Spłynęła w jego ramiona. Objęli się rękoma. Głowy schyliły się ku sobie, wsparły. Szli nie mówiąc.

Łaska miłości napełniła i razem wyniosła serca obojga. Dokoła ich złączonych dusz i ciał kipiała zamieć coraz potężniejsza.

Śnieg zasypywał ich od stóp do głów. Obok darniowej ławeczki, pod rozłożystym bzem, w tym miejscu, gdzie serce jego najboleśniej miłość ścisnęła i gdzie żal płynął z najgłębszej rany, stanęli. Głowy dźwignęły się, uniosły ku sobie, a usta społy pocałunkiem wieczności.

W pewnej chwili wargi jej cofnęły się. Nasłuchiwała przez chwilę a później szepnęła cicho, zemdlałymi słowami:

– Jakim sposobem waćpan się tu znalazłeś?

– Przyjechałem.

– Na koniu?

– Tak.

– Więc jakieś wtedy powiedział, w tańcu?

– Tak.

– Gdzież on jest? koń?

– W kuźni stoi przy żłobie.

– Sam?

– Sam. Chodźmy do niego...

– Nie, boję się tam iść. Bardzo się boję.

Rafał schylił głowę. Wargi jego znalazły znowu lica, usta, oczy. Rozsunął haftki kożuszka i przywarł ustami do piersi odkrytych. Usunęła natrętną głowę miękkimi rękoma, a gdy spragnione jego wargi dotknęły policzków, szepnęła:

– Mokre wąsy...

W istocie mech pod nosem natręta wciąż się okrywał twardym szronem.

– To może na przyszły raz przyjechać już bez nich?

– Bez czego?

– A bez wąsów...

– Nie trzeba.

– Co nie trzeba?

– Nie trzeba... i tyle!

– A kiedy niemiłe...

– Mokre... powiedziałam...

Śmiech obojgu nie dawał mówić. Rafał jak mógł osuszał swe „wąsy”. Pomagała mu odchylając jedwabnego szala, którym głowa jej była nakryta. Zanurzył usta we włosy, na węzeł związane jednym ruchem, utopił je w wonnych, suchych kędziorach. A kiedy znowu zniżał się do ramion, nie doznał już oporu.

Uszy jego słyszały, jak rwie się i kipi to wzburzone serce. Ręce pieściły nie dziewicze, płonące ciało, lecz jakby żywe szczęście, ucieleśniony zachwyty. Tracił rozum, odślaniając ustami precudowne, niewinne łono, pełne radości i upojenia. Wydierał jeden jeszcze pocałunek, tylko ten jeden, z ochotą marząc, żeby go za to spotkała śmierć. I oto drogie ręce otoczyły jego szyję, ukochane, żarliwe usta wpiły się w jego usta z cichym, bolesnym szeptem... Cała postać zgięła się, złamała i przytuliła do piersi. Przygarnął ją ze czcią, przyjął do siebie ufną, cichą, posłuszną. Wtedy doznał na chwilę

szczęścia jakby cudzego, rozkoszy niedościgłej, zgoła czystej, zaziemskiej, nieprzemierzonej jak niebo. Pragnął zwierzyć jej, co czuł, nazwać słowem czarę rozkoszy zbliżoną do ust, zawrzeć w nazwie ów niespodziany głos rodzący się w sercu, który go przenikał aż do szpiku kości. Duch jego pracował wtedy, jakby świat ramieniem spychać mu przyszło z posady. Tę samotną i potajemną chwilę rozkoszy z nagłą roztrąciło coś jak uderzenie... Był to głos piszczałki wartownika nocnego.

Helena drgnęła, raz jeszcze na mgnienie oka przywarła do niego w pocałunku ciał i uściśnieniu dusz... Znikła w ciemności. Szelest jej kroków zagłuszył poświsty wichru. Rafał słyszał przez chwilę, jak rozmawiała na ganku ze stróżem nocnym i wabiła do siebie psy. Nie wszystkie jednak do niej przyszły. Kilka z nich ze szczekaniem skoczyło ku Rafałowi, który umykał co siły w nogach. Ledwie, ledwie zdążył przypaść do konia, odwiązać supeł cugłów i stanąć w strzemionach, gdy go opadły. Baśka rzuciła się naprzód jak strzała. Sadząc jelenimi susy wypadła w pole i uszła psom. Długo niosła go w podrzutnym skoku wskroś wichru i śniegów po niewiadomej przestrzeni. Nie ściągał wodzów, nie mógł kierować jej chodami.

Dokoła wrzała rozpetana burza. Całe pole, skroś którego leciał, zrywało się jak oszalałe jezioro. Falami huśtały się sypkie tumany i na kształt bryzgów strzelistych pian wylatywały do góry, ponad konia. Kiedy niekiedy zrywał się jakoby schylony filar, stał chwilę w powietrzu i rozlatywał raptownie jak kupa piasku. Wicher dał zaciekle. Wypadał z gwizdem, jak gdyby z jakichś

szczelin w ziemi. Była ciemność nieprzejrzana, straszliwa, pełna tylko kłębow białawych, wzmagających się wśród poświstu. Co kilka chwil rozlegał się tępy wrzask zawiei, ryk zdławiony jakoby przez pętlicę z rzemienia. Wybuchwały niewiadome siły, chwytaly się w ciemności za bary śmigłe, gibkie, lecące ciała. Śniło się, że grzmocą wzajem pierś w pierś straszne pięście, zduszone gardła charczą i wyrzują krew, że w ciemnych jaskiniach nocy coś zdycha i daremnie prosi o łaskę.

Wierzchówka, puszczone wolno, szła w zawód z wichrami. Osnowa jej grzywy trzepała kiedy niekiedy schyloną nisko twarz Rafała. Teraz dopiero czuł upojenie. Surowymi kłótwami podniecał żrebicę i burzę, żeby obiedwie wyteżały siły. Lećcie, stwory! Co ducha, co mocy! Polotny skok Baški zmienił się w cudny bieg. Dziko parskala. Zdało się, że chce wyrzucić konchy nosowe, że rozwarte jej chrapy zioną krwią i płomieniem.

Nie czuć już było podrzutów, gdy sprężyste nogi odbijały się od zmarzłej ziemi: płała się w tumanach śniegowych jak w rozbującej wodzie.

Rafał, schylony nad jej szyją, nie mógł się jeszcze otrząsnąć ze snu. Miał wciąż w objęciach gibkie ciało cudnej dziewczyny, ruchliwe jak powieka. Przywierał ustami do stromych piersi i w oczarowaniu miłosnym szeptał jeszcze ciche wyrazy. Sumienie w nim zgasło. Cały się zmienił w noc i burzę.

Rozkosz miłości rzuciła na szalę czułości niedawnej miecz swój żelazny. Rozległ się w duszy jej zwierzęcy ryk, skierowany

do wysokich poszeptów i tajemniczych trwóg. *Vae victis!* Podmuchy myśli, jakie nigdy jeszcze nie powstały w jego głowie, leciały teraz na wyścigi z wiatrami.

Kobyła przez czas pewien biegła po niewiadomej płaszczyźnie. Rafał nie wiódł jej wcale. Znienacka pośliznęły się kilkakrotnie jej tylne kopyta. Jechała na zadzie, zrywając się na nogi... Poderwał ją uzdą, wstrzymał i puścił wolnym kłusem. Był w jakimś nieznanym miejscu, na błoniach zarosłych iwiną i chrustami, które przeraźliwie w wichrach gwizdały. Świerzopka brnęła przez dawne śniegi, do piersi jej sięgające. Nogi jej ślizgały się na lodach jakowychś rozległych. Rafał pomyślał, że jedzie bez celu, i teraz dopiero przypomniał sobie, że ulegając klaczy mknie wciąż za wiatrem, więc się od domu oddala. Rozejrzył się na wsze strony badając, czy jeszcze nie świta. Ale mrok był naokoło niezgłębiony. Skreślił tedy bachmankę pod wiatr i pojechał przed się miernym kłusem. Baśka mknęła chętnie, bujała w polach. Stroiła skoki, chrapała czasami, cofała się czując przed sobą urwiste wąwozy, nieraz zapadała w rowy i wyrwy, przedzierała się zaroślami terek i głogu, które w nocy huczały jak lasy.

Rafał, zatopiony w marzeniach, z lekka ją tylko zwracał do wiatru. Wspominanie było dla niego dziełem sto tysięcy razy ważniejszym niż sprawa powrotu. Widział Helenkę, ale dawniejszą, z kuligu i kościoła. Dzisiejszą musiał sobie utworzyć w myśli. Tą właśnie sprawą był zajęty... Jakież były jej oczy, jakie usta w tej minucie? Rozgarniał ciemność i na

samym jej dnie znajdował tajemnicę... Z daleka przylatywały wspomnienia. Wchodziła do serca jej wesołość tak szczerą jak blask słoneczny, minki w czasie tańców na kuligu, udające obojętność lub zamarsowanie i obrazę, a kończące się wybuchem śmiechu. Ciemnoszafirowe, niezrównane oczy, głębokie i dumne, marzące i pełne płomieni, ukazywały się w nocnej ciemności. Przenikliwym, szybkim ruchem uderzały go drgnienia brwi prosto zakreślonych.

W pewnej chwili usłyszał szczególny huk. Zrazu sądził, że jest na brzegu Wisły, ale wnet zorientował się, że Wisła stoi, okuta przez lody. Baśka szła krokiem wolnym, ostrożnym, nasłuchując i chrapiąc niespokojnie. Wkrótce Rafał rozróżnił w tym huku trzask i skrzywienie drzew. Podjeżdżał tedy do wielkiego lasu, a z takiej strony, że wcale nie mógł osądzić, gdzie jest. Było tu zacisznie. Las go zasłaniał od wichru, był więc między nim a domem. Takiej szeroko rozwartej kniei nie było w całej okolicy.

Niewiadome zastępy drzew wołały w ciemnościach. Wylatywał stamtąd to przeraźliwy głos spadających skał, to huk wód, które lecą w bezdenną próżnię z wysokości obłoków. Słyszać było stękanie całych poręb, trzask bukowych konarów i świst siekący różg brzozy, zgiętych do samej ziemi... Nade wszystkim wszakże panował martwy pomruk. Rozdymał się albo zacichał, ale trwał ciągle. Przez chwilę Rafał stał przed tą ścianą niewidzialnego boru i niechętnie rozmyślał, co ma czynić, w którą stronę jechać. Co prędzej chciał co przedsięwziąć

i wracać do swych widzeń miłosnych. Było mu wszystko jedno. Byleby się tylko świt nie pokazywał...

Wtem Baśka skoczyła w bok, jak ciosem rażona. Rafał cudem tylko nie zleciał z siodła. W oczach mu coś zamigotało, tam, w tych leśnych głębiach. Przez sekundę śnił, że to migoce światełko w derślawickim dworze, i radość go owiała. Ale prędej od ruchu źrenicy zmienił się ów sen w postrach gwałtowny, który go przebił na wylot jak gdyby lancą. Kobyła z ryczącym chrapaniem stanęła pod nim dęba, piorunem zwinęła się na tylnych nogach, wyszarpnęła mu z rąk cugle i skokiem z miejsca poszła w przestwór, precz od lasu, za wiatrem, co pary w piersiach. Stało się to tak nagle, że Rafał uczuł tylko uderzenie krwi do głowy. Schylił się, ręce wsparł na łęku, nogi wyciągnął, złożył po boku klaczy... Na pustych polach, wśród tańczących śniegów Baśka kopnęła się w przecwał coraz bardziej chyży. Jeździec miał teraz pełne usta śniegu. Mokre szmaty zamieci chlastały mu twarz, długa końska grzywa siekła policzki. Wicher go do kości przejął. W tym biegu nad biegi słyszał ciągle poza sobą cmokające kłańcanie, jak gdyby zgłodniałych psów.

– Wilki za mną... – wyszeptał.

Włosy mu się jeżyły na głowie i lodowate mrowie szło po grzbiecie. Wtedy cichym a ostrym głosem, przychylając głowę do szyi kobyły, przez ściśnięte zęby mówił jej nad uchem:

– Basia, ratuj, Basia!...

Klacz jakby rozumiała, co mówi. Nie był to już galop, nie cwał. Leciwała nad ziemią we fruwających pianach śniegu

z chyżymi wilkami w przegony. Nozdrzami jej strzelał ostry świst. Wyciągnięta szyja okryła się gorącą pianą. Była jak godzący pocisk...

W jakiejś chwili Rafał zgarnął śnieg z oczu. Dźwignął głowę, wykręcił się na siodle i spojrział w tył. Ujrzał cztery błyski migocące gdzieś w głębi. Gdy tak wzrok natężał, że widział prawie cielska ścigających go wilków, wiatr zdarł mu z głowy czapkę. Rafał schylił głowę i uczył wnet, że ma płomień we włosach, płomień pełgający na szyi, na krzyżu. Leciał mając grzywę ognia na sobie. Bił teraz obcasami kobyłę w zapadłe boki, smagał ją końcami lejców. Rozpacz okrążała jego czaszkę, z wolna ją oplatała jak długie, zimne skręty żmii. Wnet z piersi jego wylatywał krzyk martwiejący na ustach, wnet dziwaczny, głupkowaty śmiech. Klacz przesadzała krzaki, płoty... Drzewa leciały obok, stronami, ze świstem, krzaki miotały w lecącego śmiech urwany jak oklask, chichot diabelski. Tu i ówdzie wierzchówka skręcała nagle pod wiatr i z rozwartymi nozdrzami kopała się w dzikich rzutach przez zakłęste parowy, a zbierając nogi do kupy wypadała z nich lwimi susami. Czasem stękała jak człowiek, czasem coś jak czuły wyraz ze szlochającym krzykiem zionęło z jej pyska. Były chwile, że cmokanie nacichało. Na gołych polach Baśka ubiegała wilki o staje albo i dwa, ale wśród parowów pościg ją doganiał. Gdy do jej uszu doleciał osłuch wilczego cmokania, gnała znowu ze zdwojoną siłą, śmigająca jak ptak, skrzydła orle mający u każdej pęciny, brzuchem rozgarniała śnieg na ziemi.

Rafał utracił rozumienie czasu. Chwilami zdawało mu się, że leci już przez całą noc. W głowie jego utworzył się oziębły i pusty ból, który co chwila wybuchał płatami ognia. Niekiedy ciemność rozdzielała się przed rzuconym spojrzeniem i ukazywało się w jednym błysku widziadło chat, rodzinnego domu, dnia... Za chwilę była to już tylko straszliwa, ciemna otchłań. Nie wiedział już wcale, czy jest ścigany, czy nie. Leciał w powietrzu...

W jednej chwili, nie wiedząc kiedy, usłyszał trzask. Tęczowe ognie napełniły mu głowę i oczy. Magnął kozła przez łeb kobyły, która runęła na ziemię, i zleciał w głęboką zaspę. Przez chwilę leżał na wznak, po szyję zanurzony w miękkim śniegu, bezwładny i prawie rad z tego, co się stało. Wtem buchający parą, włochaty potwór z przeraźliwym sapaniem, jak koń, zwałił się na niego. Rafał uczył wszczepione w siebie pazury i kły. Straszliwa, długa paszcza wżarła się w kozuch na jego piersiach, przejęła kłańcami grubą sukienną kurtę i, miotając łbem olbrzymim, targała w prawo i w lewo. Kły worały się w ciało. Jakoby obuchem siekiery druzgotały mu piersi, ramiona, ręce – ciosy tego czarnego łba. Czynem rozpaczony Rafał chwycił nagimi dłońmi ów czerep za nastroszone grube kudły około stojących uszu. Zdusił żelazne, ogniem zionące gardło. Klęcząc w śniegu, zaczął teraz borykać się, wodzić na śmierć i życie ze zwierzem. Był to pod nim, w objęciu jego stalowych łap, w jego pysku, to leżał na nim. Wkrótce jednak wydał wrzask przeraźliwy, gdy ręce znalazły się w rozwartej paszczy. Lśniące widzenie przeraźliwych oczu wilka ozionęło go mrozem śmierci.

Wtedy obie ręce wydarł z paszczy i zadał w owe ślepia cios zwinętą pięścią. Ale prawa dłoń trafiła w rozwartą paszczkę i wbiła się aż po gardziel. Piorunowym ruchem Rafał rozwarł pięść i wszystkimi palcami, silniej niż sęp szponami, wpił się w to ogniste gardło u podstawy jęzora. Darł go na zewnątrz. Wilk rozwarł pysk, wygiął się jak naciągnięty łuk. Wszystkie cztery nogi wszczepił w piersi Rafała. Pazury zdarły w szmaty, w strzępy kozuch i orały żywe ciało od gardzieli do brzucha. Tylko gruby pas rzemienny kiszki od nich osłonił. Łeb targał się w oszalałym ręku Rafała ze śmiertelną potęgą. Ślepia kołowały.

Z nagłą straceniec usłyszał w głowie swej myśl, pełgającą jasnym światłem, dźwięk krótki jak ostatnie uderzenie dzwonu: klucz. Cichym, złodziejskim ruchem lewej ręki, z cudownym przebłyskiem nadziei mordu w duszy, która jak płomyk ciepły stanęła w jego mózgu, skradł się pomiędzy rozwścieczonymi ruchami nóg wilczych do kieszeni rajtuzów i w mgnieniu oka wywlókł z nich żelazo. Ujął je pośrodku długości. Z góry, co siły w zamachu, potężnym ciosem, chichocąc wbił je w lewe ślepie. Ujrzał, że zgasło. Wtedy podwójnym ciosem w drugie, aż się po dłoń zatopiła krzywa sztaba. Gdy zgasły przed nim straszne kagańce, zaczął bić w czerep, między uszy, w kufę. Ostre końce klucza więzły między kośćmi nosa i w czaszce. Miażdżył ją teraz póty, aż się klucz na poły we łbie wilczym nurzał. Czuł, że zmasakrował kości i że rozwała mózg. Wtedy sztychem spodnim począł bić w brzuch. Rzygająca jucha oblała go wrzącą strugą jak z cebra. Wilk wciąż jeszcze był na nim, wygięty, pazury

łap szarpały go, ale już słabiej, coraz słabiej. Łeb siepał się coraz wolniej. Wreszcie wśród nieustających uderzeń Rafał bez tchu runął na cielsko wilcze. Nie wydobywał jeszcze z pyska prawej ręki, zgiętej skurczem śmiertelnym. Ustał. Bezwładnym już ruchem zgał zwierza, coraz mniej ruchomego. Słyszał, gdzieś obok siebie, śmiertelne rzenie Baški. Słyszał w samej głębi serca i w szpiku kości jęki jej ostatnie, jakoby wołanie o pomoc. Słyszał, jak ją drugi zwierz rozdziera żywą, jak rozrywa jej szlachetną szyję, drze gardziel, jak chłepce płomienną krew i mlaszczącym pyskiem żre dostojne piersi. Nie miał odwagi wstać. Łkał leżąc w gorącej topieli krwi własnej i uchodzącej juchy wilka. Resztkami wiedzy i siły kuł jeszcze raz za razem. Łapy zaczęły drgać bezwładnie, wreszcie opadły. Zbliżył do zdruzgotanej mordy twarz i mówił w nią:

– Znaj pana, znaj pana!... Za Baškę!

Wyrwał z paszczy rękę jakby z cieśni ognistej. Legł na gorącym trupie i spoczął na nim jak w pościeli.

Nierychło, tknięty jakąś błędną myślą, ścisnął w ręce żelazo i dźwignął się z ziemi. Czuł śmierć nad sobą i niewymówiony mróz strachu. Serce ciskało się w nim odległymi, ślepymi i bezdźwięcznymi wybuchy. Chwilami ustawało jak zabite. Zaczął iść wskroś zasy, z krzykiem chwytając w piersi powietrze. Brnął potykając się. Stawał. Zrywał się z kolan i na chwiejnych nogach szedł, uciekał, zmykał od łkającego rzenia kobyły. Usłyszał wietrzny szum i przypadł do drzewa. Objął pień rękoma, obłapił go jak chłop wszechwładne nogi pańskie.

Był to samotny jarząb przydrożny, do pół zadęty przez wiotkie śniegi. Rafał schował klucz do kieszeni, wdrapał się na drzewo i usiadł między dwiema rozwidlonymi gałęziami. Teraz dopiero poczuł i spostrzegł, że piersi jego są nagie i że są jedną otwartą raną. Dopóki leżał na wilku, nie czuł ni zimna, ni bólu. Teraz zakrył się rękoma, skulił, przywarł do drzewa. Rozum jego wydarty był z korzeniem. Cierpiał w sobie jedną jedyną myśl, która nad czymś płakała. Chciał oddalić usta napełnione rozkoszą pocałunków, wdzięczne, uchylone ku niemu wargi. Otaczała mu głową senna łagodność wonnego szeptania, rozkosz dźwięku tkliwych słów, które z ucha nie mogą odlecieć, a z serca nie chcą się oddalić.

Miał przy ustach przecudne kędziory, okurzone dymem zapachu. Duszy jego uchwycił się błąd. Objęło go w pół i za szyję dumanie o tej cudności dziewiczej, którą był pojał tej nocy, i rozkosz mocniejsza niż sama śmierć, przewyższająca samą zatrąę... Bezsilna głowa zwisała i wsparła się o lodowatą korę gałęzi. Ołowiem ciężące powieki kleiło drzemanie, pełne widziadeł. Łoże tajemniczego szczęścia, łoże bezcielesnej rozkoszy odstania się o krok... Wyciągnąć tylko rękę, tylko zawołać... Ale dłonie rąk nie mogą już dosięgnąć. Dłonie spuchłe są i twarde, z grubego lodu. Palce nie mogą się zginać. Ogień buzuje się w piersiach, jęzorami oplata żebra. Z piersi wyrasta jarząb. Gruby pień wrósł w nie wszystkimi korzeniami, między odkryte kości i żyły, w rany głęboko porozdzierane. Pień rozwidla się w górze na konary o barwie stali, ze strony wiatru

oblepione puchowym barankiem śniegu. Wysoko, w górze świszczą nagie pręty. Wysoko, w niebie... Ścisk i męczarnia opasują szyję rzemiennym pasem. Powloką go bez sił, bez woli, z ośleptymi oczyma po tej straszliwej ścieżynie, po tajemnym chodniku, który wiedzie do umarłych.

– O, Boże! O, wszechmogący Boże... – szeptają wargi, zwiotczałe i bielsze niżli śnieg.

W zrzędlym, w śniadym półmroku widać zasy, zasy. Jedne jak zboże w sąsiekach, jak słomiane strzechy chałup z kalenicami, jak plewy rozwiane na boisku, jak mogiłki po zapomnianych, starych cmentarzach. Błękitne śniegi porywają się z ziemi, a nieprzejrzane pustkowia dymią od kurniawy.

Rafał zadygotał.

Jakże on widzi te pola? Jakże widzi tarniny krzak zadęty, którego każda igła skowyczy, każdy pręt kurczy się i wyje?

Nierychło, nierychło pojał!...

To dnieje.

Podniósł głowę płonąca w ogniach niebieskich, zielonych, fioletowych, szkarłatnych i jał patrzeć dokoła. Pola! Pola bez końca. Nagłe łkanie wyrwało się z jego ust. Buchnęło jak żywa krew z przerwanej żyły. Ujrzał Baškę. Leżała na boku, rozciągnięta, ze łbem odwalonym bezwładnie. Wilk rozszarpał jej brzuch, wlaź weń ze łbem i przednimi łapami. Czarny jego kadłub, unurzany we krwi, wysuwał się z niej co chwila, wlekąc na zewnątrz śniade i pąsowe jelita. W obłędzie zacieklej zemsty Rafał skoczył na ziemię i wielkimi krokami poszedł w tamtą

stronę. Bielmo zalepiło mu oczy, usta ciskały przekłete wyrazy. Ściśnięte krwawe pięście biły w wiatr.

Już za chwilę począł uciekać w przeciwnym kierunku. Włókł się po zagonach, padał na twarz w lotne zaspy, dźwigał się i znowu wstawał. Za każdym krokiem otwierały się rany jego piersi i skrzepła, zastygła krew znowu broczyła. Świtało. Odsłaniały się pola coraz dalej i dalej. Modra poświata przenikała śnieżną zawieję. Rafał żegnał się z tym światłem ostatnim dreszczem serca. Ciało jego ze drzeniem waliło się na ziemię. Myśli z czaszki uciekły. Widział dokoła siebie tysiące mar, tak samo jak on podrywających się z zagonów i mknących w lekkich śniegach. Chwilami wyteżał wszystkie siły, żeby krzyżeć, ale tylko schrypty jęk z gardła jego wypadał. Stracił wreszcie ostatnie dreszcze woli. Nie wiedział już owo zgoła, czy idzie, czy stoi. Żółte krzyże z równymi ramionami zaczęły występować dokoła. Dzień biały, święty i z końca świata wstający począł gasnąć... Jakoby pokrywa ukuta z ciemności, niezmierzonej myślą, nieobeszłej wyobrażeniem, krąg z brzegi obrąbanymi zawisł nad polami i szedł na jego czoło. Ostatni raz oczy pełne łez spoczęły na widnej jeszcze wstędze światła. Bezmierne obrzydzenie, awersja, wzgarda przyniosły obraz śmierdzącego wilka. Coś czarnego przebijało tam śniegi, wlokło się z wolna... Za nic na świecie walczyć już nie chciał. Nie, nie!

Tymczasem czarna zjawa zbliżała się ciągle, i oto Rafał z podziwem ujrzał parę szkapiąt, tak małych, że wielkie ich łby i chude tułowia ledwie było widać między zaspami. Za

końmi sunęły gołe sanie chłopskie, a na poprzecznej listwie przodka siedział skulony chłop w wielkiej rogatej czapie i żółtym kozuchu. Wiatr poddymał kołtuniaste grzywy i ogony zbiedzonych, włochatych źrebiąt i zasypywał je śniegiem.

Rafał wołał na woźnicę stojąc na miejscu, ale tamten nie słyszał wcale, gdyż magierę wsuniętą miał na uszy i głowę owiazaną szmatami. Konający ostatnim rzutem sił, z wyciągniętymi rękoma posunął się ku niemu i włókł za saniami z wołaniem coraz cichszym. Konie szły noga za nogą torując sobie drogę ku opłotkom, na których Baśka załamała się była i zginęła. Z dala poczuwszy wilka konięta dźwignęły łby i zatrzymały się w miejscu, pełne niepokoju. Chłop stanął na sanicach i wpatrywał się w dal. Wtedy Rafał przyczołgał się do niego i runął nań z boku.

Ujrawszy półnagie widmo, od stóp do głowy staplane we krwi, zagrodnik z wrzaskiem cisnął powrózki lejców, bat i uciekał w pole. Dopiero ubiegłszy kilkadziesiąt kroków, opamiętał się i ostrożnie zaczął przyglądać.

Kiedy po długich namysłach wrócił do zestrachanych koni, znalazł Rafała leżącego w poprzek sanic bez duszy.

Mary

Ogień trzeszczał i strzelał żywo na kominie, dym kłębamii wywalał się spod okapu na izbę i grubą, gęstą warstwą wisiał pod stragarzem. Pierwszy raz otwarte na chwilę oczy Rafała ujrzały przed sobą rogatą głowę krowy i błyszczące spokojnym jaśnieniem jej oczy zwrócone w stronę ognia, grube, białe wargi, ociążale miamlące strawę... Wyżej nad krową ujrzały okno zabite deskami i ogacone ściółką leśną, małą szybkę którą szron tak powlókł, że wyglądała jak wprawiona tafelka lodu. W kącie, daleko, za dymem, ktoś na wyrku stękał i niemowlę z krzykiem popłakiwało.

Zaraz wszystko to wciągnął w siebie dym. Wielkim kłębem zniżał się, zniżał coraz bardziej, sięgając niemal głowy, to znowu chłonał niewidzialną czeluścią sam siebie, magał okrągłe półzwroty, cofał się, chwiał, odchodził. Gdy błysk ognia padł w jego czarne przepaście, coś rozwidniało się w nim i świetliste widma płynęły.

Rafał słyszał, że obok komina ludzie mówią, ale dusza jego, jakby ów dym rozproszona, słyszała tylko wycia wichru. Chata, z kołków, zrzynów, chrustu, z gliny i ziemi uklepana, drżała, gdy w nią bić wzięły rozjuszone podmuchy. Nawał wichrów siekł ją i prał, podważał liche jej przyciesi, próbował zruszyć węgły, pędził dokoła kwicząc przeciągle, tłukł w nią stumilowymi skrzydłami i wszczepiał między belki żelazne swoje pazury.

Zdało się, że ta kurna zagroda stanęła na wiatrowisku, gdzie się zbiegają z czterech stron świata zamiecie, chery, zawiewy i chachaice.

Słychać było, jak krokwie nad dymem trzeszczą i prężą się przeciwko burzy, jak gonty skrzypią a zardzewiałe gwoździe skowyczą, wyważane ze swoich szczelin. Co pewien czas świszczące, szumnolotne wybuchy zamieci parły wszystek dym w jeden kąt izby albo napełniały nim całą budowlę. Za chwilę ciągnący dech wysysał go szczelinami. „Zły”, dmąc w wielką gwizdę, sypał w okienko jak gdyby suchym piaskiem.

Rafał słuchał.

Głośny jego oddech podwajał, potrajał swą szybkość. Obląkana krew wydarła się ze swych upustów i niestrudzonymi ciosami gruchotała serce. Myśl, myśl ostatnia, samotna, przelatywała upierzona strachem nieskończone pola albo zmieniawszy się w czucie bryły kamiennej, potrzaskanej na złomy, wirowała w przestworzu bez końca. Głowa stała się głazem lecącym w przepaść jakby w ciasną, ognistą studnię. Płochliwe skrzydło złudzenia kurczyło się co minuta... Oto schylone kłęby dymu, a z nich patrzą twarze nieznane, mordy zwierząt, wysnuwają się pająki wielkie jak wiązy, z nogami dłuższymi od żerdzi...

Dźwigał wtedy bezsilną głowę z szeptem bezdźwięcznym warg. Usiłował spojrzeć w okienko, bo Baśka rży. Baśka rży... Daleko, daleko w zaspach... A nim wzrok do szyby przyleciał, porywał go ze sobą wiatronogi lot jakoby sen w czasie burzy

na szczycie masztu, sen pełen trudu, w którym nie ma czasu na pochwycenie tchu z powietrza. Leciał tak po przestworzu ośmy i przerażenia, u boku śmierci. Aż oto dobrotliwy, łaskawy i miłosierny wylew potu jakoby wodą zlał jego czoło, ręce i nogi. Przyszedł nań na wzór anioła miłośnika, pokropił spalone ciało hizopem, tak samo jak obfity deszcz ratuje od śmierci zgorzałe ziele.

Serce uciszyło się i wytchnęło na krótką miareczkę czasu. Wtedy uciszało się wszelkie uczucie. Cisza i spokój...

Słyszał głos mówiący:

– Jeden żołnierz z naszych stron był i w piekle, i w niebie... A to tak było. Ten żołnierz szedł od wojska, a służył siła lat pod niemieckim królem. Przelazł brodami bez Wisłę i miał jeszcze przechodzić bez wielkie lasy, bez Golejowskie. No, dobrze. Wchodzi do tego lasu i patrzy: stoi dziad staruszek, a prosi go o jałmużnę. Żołnierz pada: – „Mój dziadku, idę od wojska, przesłużyłem siła lat, a dostałem od króla ino trzy dukaty, hale niech ta, dam woma jednego”. A we środku tych lasów Golejowskich zdybał drugiego dziada na drodze, i ten go znowu prosił. Tak ón znowu to samo powiedział i dał mu drugiego dukata... A jak już wychodził z lasu, tak znowu zobaczył dziada. Wtedy ten dziad wstaje i powiada: – „Cóż ty, żołnierzyku, chcesz ode mnie za te trzy dukaty? Czy Królestwo Niebieskie, czy skrzypki i torbę?” – „A jakież to, dziadku, macie skrzypki, że ta aże za Królestwo Niebieskie obstoją?” – „Takie mam skrzypki i taką torbę, co jak zawołam: *Chinaj do śnapsaka!* – to ci samo

wpadnie, co ino chcesz...”. Tak ten żołmierz powiedział, że woli skrzypki i torbę. Ten dziadek dał mu toto. Ha no, żołmierz idzie, idzie, aż przyszed do wielkiego miasta, do Krakowa. Włazł na rynek i słyszy, jako ludzie gadają, że w tym mieście zbudował król spaniały zamek, ale w tym zamku nik mieszkać nie może, bo kto tam nocować przyńdzie, to mu zara cosi łeb urwie. Król ogłosił, że jakby taki się znalazł, co by tych diabłów wypędził, toby mu dał swoją córkę za żonę. Żołmierz powiedział, że ón się podejmie to zrobić. A i poszedł. Siadł se, obstawił się dokoła święconą kredą, wzion te skrzypeczki i nic nie pyta, ino gra. Hale, o straszna godzino! O północku drzwi się otwały, i do tego żołmierza pakuje się dwonastu diabłów. Żołmierz nic nie pyta, ino gra, a diabły proszą go tańczyć. Ón gada: – „Nie mam ta ochoty, hale jeśli chceta koniecznie, to pójdę, ale mi, psiekrwie, musicie pierwej przynieś wór pieniędzy”. Lucyper wyprawił kilku diabłów – i przynieśli wór. Hale żołmierz gada: – „Za taki mały woreczek nie opłaci mi się z wami tyńcować! Przyniešta jeszcze jeden”. A jak widział, że już ma dosyć pieniędzy, jakże nie zawrzaśnie: „*Chinajta*, psiekrwie, do *śnapsaka!*”. Tak wszystkie diabły bach do torby! Żołmierz wtedy związał torbę śnurem, buchnął w nią piercią, i wszystkie diabły rozlały się w maź, że ino łby zostały, a jednego takiego łba czterech chłopów nie mogło potem udźwignąć...

Burza biła we drzwi i okna kłębami śniegu. Skostniałe jej łapy zgrzytały po szybce, a głos rozjuszony skowyczał. Chorego obejmował sen. Budziło go tylko dalekie, dalekie w huku

wichrowym wołanie... Ujrzał przed sobą starca pomiędzy dwoma rumakami, które się wspinały jak tygrysy. Straszny dziad o twarzy jakby wykutej z piaskowca, o długich siwych kudłach, rozczesanych na ciemieniu we dwie strony, trzymał je u pysków i szedł krokiem żelaznym. Rafał uczył w ręku rzemień uźdźienicy. Starzec siadł na koń i ukazał się na nim w całej swojej wielkości. Rafał uczył strzemień pod podszwawą i z dzikim śmiechem skoczył na siodło. Piersi mu pękały od szalonego tchu i słowo wędło na wargach. Schylił się do widma z szeptem:

– Zawieź mię, zawieź...

Nie mógł wymówić nazwy. Zapomniał, jak się to zwie. Widział tylko w głębi swych oczu, czy w mrocznych czeluściach nocy, bladą twarz... Przytulił do siebie ten widok, pochłonał go duszą tak, jak woda chłonie trupa topielicy. Poczęli teraz obaj z dziadem wiać i świstać polami, polami, polami, z najprędzszym wichrem w przegony. Zmienili się w kamienne bryły z piaskowca, lecące na obłąkanych koniach. Ręce ich stały się grube, opuchłe jak u przydrożnych figur, oczy nie widziały nic, nawet ciemności...

Jakaż to dobroczynna siła dźwignęła głowę cięższą niż góra? Jakaż to władza poruszyła skały rąk? Ślepe oczy widzą...

Siedzą ludzie na niskich pieńkach dokoła komina. Chłopy kudłate w kozuchach. Baby w wełniakach przędą i skubią pierze. Czerwony blask pada na ich zamyślane twarze, posepnie wsłuchane w głos starego chłopca, który coś mówi. Zgarbiony dziad mówi:

– Gádá do mnie ten Franek Dyląg, że mu gwer nie wypalił. A tu ogień gęsty, kule pierą raz kole razu. Tak ja mówię sekretnym sposobem: – „Kulę wyjm, ciśnij na ziemię i zadepcz w piachu nogą”. Ale się zląkł: – Zobaczy, pada, kapral, to mię puszcza bez żywą ulicę. – „No, rzekę, jak ta chcesz!”. Ogień szedł, a on precz gwer nabija. Wtem zawołali: *Ruht!* – to niby na odpoczynek. Mnie feldfelbel pozwolił z glitu wyjść. Wyszedłem ja z glitu, a tu akuratnie wtedy Francuz nastąpił, sam ich najpierwszy naczelnik dalej w nas! Zawołali ognia dawać! Dyląg złożył się i wypalił. Wzieno mu gwer ozerwało. Zabił i siebie, i kolegę, co kole niego stał. Ja wracam na to miejsce, gdzie gwer ostawił, widzę, Dyląga już nie masz: inny żołmierz stoi. Tamtych zabitych w tył wywlekli. Nasz glit odstąpił, a inne na to miejsce przyszły. Patrzę, mojego Dyląga, choć już z niego ino zimny trup ostał, rozciągnęli na ziemi i bili tego laskowymi kijami w plecy, w brzuch, po łbie, dla postrachu innych...

Głowa Rafała zsunęła się znowu na wiązkę słomy, okrytą zgrzebną płachtą. Łzy gorzkie padały z oczu na Dyląga trup krwawy, łzy płomienne, nie wiedzieć czemu płynące.

Głosy rozmówców oddalały się wciąż i słyhać je było jak przez grubą ścianę. Jeden mówił:

– Za tamtego, za króla, chłopca choć do wojny nie gnali. Pan z panem szedł bić się we światy...

– A tyś, chłopie, zdychał wedle zagona, jako ta krowa i koń...

– Tako i dzisiaj jak i za tamtego, za króla...

Dym burymi kłęby walił w izbę i wisiał nad głowami. Co

chwila zsuwał się aż na ubite klepisko.

Wiosna

Ziemia sandomierska kąpała się w majowym poranku. Okno w narożnej izdebce Rafała było otwarte, i zapach wiosenny, gwar ptaków, dalekie szczekanie psów we wsi przylatywały do niego. Ledwie je słyszał i ledwie widział. Od chwili do chwili ciskał nim niezwalczony, nerwowy płacz. Piersi jego rozrywał ból fizyczny, a ciężki ucisk gniótł je jak głaz.

Po długiej chorobie, która go przez marzec, kwiecień i część maja trzymała u drzwi śmierci, Rafałek wychudł do cna i szerniał. Ale dopiero gdy zaczął przychodzić do zdrowia, zrodziła się druga choroba: męczarnie duszy. Oto poprzedniego dnia powziął od sióstr wiadomość, że z jego winy Helenę wywieziono do Krakowa czy do Warszawy, do Paryża czy do Berlina, że padło jakieś podejrzenie, jakiś domysł. Była to rzecz oczywista, że stracił ją na zawsze. Wiedział o tym aż nadto dobrze mocą tajemnych przeczuć, mocą uczuwania w półśnie, w drzemaniu, nieomylniejszą od rachunku. Stał się teraz brzydki jak trup. Nos mu się zaostrzył i wysunął naprzód. Zapadłe oczy płonęły w swych dołach, jakby się miały do znaku wypalić. Nie sypiał w nocy, a jeśli we dnie popadł w śnienie, miewał widzenia, których potęgi, plastyki, dotykalności nie sposób wyrazić słowami. Było to drugie życie, bardziej rzeczywiste, bardziej istotne niż na jawie. Tam się rodziły pewniki, trwogi, nadzieje, decyzje, stanowiące życie

ducha. Rzeczywistość była tylko jałowym, suchym, nędznym obszarem tęsknoty. Tam i ją widywał. Uczuwał jej obecność wśród drzenia ciała... W dymach błękitnych słyszał jej głos, śmiech-wesele, nadchodzące kroki, a budził się do tej straszliwej prawdy, że tego wszystkiego wcale nie ma, nigdy nie będzie, że to był sen.

Teraz o tym świetlistym poranku od pierwszego świtu, od pięciu godzin chodził po swej izbie tam i z powrotem, tłukąc się od ściany do ściany. Na podłodze zaczerniały tu i owdzie czarne krople spadłych łez. Były tak bolesne, tak spod serca, że je omijał, bał się na nie nogą nastąpić, jak na rzeczy, w których samoistne tkwi życie. Spotykając martwe przedmioty, oczy jego cierpiały jak od ułucia noża, a myśli zamieniły się w zazdrość. Zazdrościł skibom ziemi, kamieniom, zagonom, dalekim przykopom i rowom ich losu. Leżeć, spoczywać bez bólu, nie czuć... Ale spokój na wieki, zda się, odleciał. Wbrew woli, na przekór wszystkim wysiłkom zazdrość przeistaczała się w bezrozumną „zaciekłość”, w dziką pasję rozdierania ran własnych, w chuć nieustanną uprzytomniania sobie niedoli.

Wszystko pomagało mu w tym z szyderczą usługą. Ojciec wypędził go z domu, zezwalając na przebywanie w nim tylko do chwili wyzdrowienia. Osobliwie kiedy rozeszła się po dworach plotka-domysł, tłumacząca przyczyny nocnej wycieczki Rafała i katastrofy z kobyłą, stary cześnik popadł w stan dzikiej, zajadłej wściekłości. Dom cały drżał z trwogi. Przypomniano sobie straszny stosunek cześnika do starszego

syna. Przypomniano sobie ów sądny dzień, kiedy to ów starszy, młody podówczas oficerek, dopiero wypuszczony z korpusu kadetów, w sprzeczce z ojcem o świeżo ze stolicy przywiezione nowinki, gdy ten zagroził mu bizunami i kazał wołać parobków, położył dłoń na rękojeści szpady... Matka i córki chodziły teraz na palcach i usiłowały tyle już wyrobić, wygłaskać, żeby młodszy mógł przyjść w domu do zdrowia. Rany z pokąsań wilczych zabiżniły się, a straszna jakaś choroba, która z tego wynikła, gdy go na pół martwego znaleziono w chłopskiej lepiance dalekiej wsi, wreszcie przeminęła.

Ale wówczas dopiero zaczęło się piekło. Starzec drżał. Skrzywione jego wargi miały przeraźliwe wyrazy, ręce ciskały w przechodzących co się zdarzyło. Wszyscy mieli krótko i węzłowato zapowiedziane, a osobliwie matka, że skoro tylko „wyrodek” będzie mógł stać na nogach, ma się z domu wynosić na cztery wiatry i więcej nie pokazywać na oczy aż do dalszego rozkazu. Stał już na nogach i tego też dnia miał po śniadaniu odjechać z domu. Matka słała go skrycie do owego starszego brata, który mieszkał daleko, w leśnej okolicy, gdzieś w pobliżu Małogoszcza. Biedna matka wiedziała, że i tamten syn jest ciężko chory, pragnęła tedy, wysyłając do niego młodszego, ratować jakoś obudwu. Powziąć zresztą wieść jakąś... Sama nawet pomyśleć, nawet zamaryć nie mogła, żeby tam pojechać. Owszem, musiała udawać, że do tej chwili nie przepuściła mu w sercu. Udało się tyle przynajmniej przez podstarościego, pańskiego zauszniaka i faworyta, wyrobić,

że wyznaczono fornalkę, najlichszą, rzecz prosta, i najlichszą bryczkę do wywiezienia Rafała.

Cześnik zgadywał, dokąd to powędruje wypędzony z domu. Może nawet w tajemnicy przed samym sobą pragnął także powziąć wiadomość o tamtym, o pierworodnym, o ukochanym niegdyś, który, niewidziany od tylu lat, za światem... pono umierał. Wieść tylko głucha, obojętna, z dziesiątych ust, jak pies milczkiem kęsający, dobiegała ucha i jadowitym zębem wieczną w sercu rozdarła ranę. Stary kutwa błąkał się co dzień miedziami, po dołach, po łąkach, rolach od świtu, a kiedy stawał na progu domowym i kiedy zaczynała się naokół panika, rzucał zawsze wrzaskliwe, drżeniem wszystkich kto żył przejmujące pytanie, skierowane nie wiedzieć do kogo:

– Czy ten złodziej nocny, czy ten gach jest tu jeszcze?

I tego dnia Rafał słyszał już ów krzyk, ale nie zwracał nań uwagi. Męka jego wewnętrzna była po stokroć, po tysiąc razy głębsza od wszystkiego, co go ze strony ojca spotkać mogło.

Żal mu było matki. Ale był to żal drugi, daleki, jakby przybłąkany... Słuchał jej próśb, zaklęć, cichych, szeptanych skamlań, słów wyłowionych z morza łez, zaczerpniętych z nocy bez snu. Odpowiadał z przymusem, boleśnie, naprędce skomponowanymi kłamstwami. Coś przyrzekał, zaprzysięgał głębokim, najuroczystszym szeptem. Załatwiał rozmaite czynności, brał, wiązał, układał sekretnie znoszone posyłki dla Piotra – brata, którego prawie nie znał. Notował jakieś lekarstwa, uczył się na pamięć pozdrowień, błogosławieństw,

słów-talizmanów, które zawierały wszystką od początku do końca matczyną miłość. W tej samej chwili wstrzymywał pod powiekami łzy krwawe, dusił w sobie szlochanie rozsadzające piersi, albo z całej siły woli krzywił usta w sposób cudaczny, w wesołym, niby to młodzieńczym uśmiechu.

W czasie tych właśnie rozmów z matką i siostrami, gdy był zmuszony zajmować się swoją podróżą, cierpiał najbardziej. Myśli, porzucone przez chwilę, mściły się, czucia nieszczęsne tysiącem wściekłych rąk szarpały go za włosy. Czasami jednak przychodziły nań chwile przedziwne. Zatapiał się w najwyższą ekstazę miłości: upadał na twarz przed szczęściem utraconym. Schodziło nań coś nadziemskiego i nadludzkiego: zapomnienie o sobie. Wówczas, w czasie tych mgnień błogosławionych, choć łzy lały się z oczu, nie bolało nic a nic serce. Widział wprawione w duszę swą i patrzące wskroś ciemności błękitne oczy z dziękczynieniem.

Pograżonemu w tak zasepione marzenia dano znać, że konie na gumnie czekają i że czas już jechać. Wytarł oczy i nie oglądając się za siebie szedł z izby. Matka, płacząca z cicha w sieni domu, dała mu znak, że ojciec nie chciał go widzieć przed odjazdem.

Mając przed oczyma tylko sen swój wieczny, młody wygnaniec ledwo zrozumiał, co do niego mówią. Pożegnał matkę, siostry – niby to czule, i szerokim krokiem ruszył na gumno. Stamtąd wyprawił go w świat podstarości.

Para starych, wychudłych szkap, odwieczna dropiata kobyła

i gniady, ślepy wałach, leniwo wlokąc gnaty, na których tylko skóra wisiała, wyciągnęły w pola rozeschniętą bryczkę. Naokół, wzdłuż i wszerz płaskich wyżyn i okrągłych, lekkich wzgórków, zbożne niwy rozciągały się jak okiem sięgnąć. Opar gorący migotał. Suchy i ciepły wiatr chwiał miękką ruń jasnego żyta, ciemnej, łanami rozestanej pszenicy, ledwo wychodzące z szarej roli pióra jęczmienia. Dech wielkiej przestrzeni wiał z tych dorodnych pól, odślonionych ku niebu, w pieszczotach słońca. Rozległe wąwozy, czyli błonia kierujące się ku dolinie Wisły okryte już były darnią zieloną. Strużki i poniki łąkowe stały się żółtymi szlakami jaskrów, a suchsze wzniesienia zasiało nikle, błękitne albo białe kwiecie. Poprzeczne parowy, co się zbiegają ku każdemu rozdołowi, świeciły w słońcu jasnożółtymi placami i żebrami szczerzej gliny. Gdzieniegdzie uczepiła się ścian tych uroczych rozpadlin koleczasta tarnina albo krzak dzikiej, powikłanej jabłonki. Obiedwie tego dnia białe i różowawe kwiat okrył jakoby komżą świąteczną. Niskie dołki między polami napętnił żyjący połysk gałęzi. Białe brzozy stały tam po małych zboczach. Dotknięte żarem wiosennego ognia pławiły czuby swoich gałęzek w powiewach, omglone młodymi liśćmi. Oziminy spływały ku nim cudnymi zgięciami zagonów, jakoby głosy przerozmaite a wysokie jednego chóru. Chaty, gnieźdzące się w załamaniach parowów albo przylepione do wyniosłych ścian z gliny, odbijały jasnością od zieleni sadów. Już czujny modrzew, tam i sam stojący, okrył ramiona cudnością zieleni, jakoby tuwalnią pajęczą. Już krzywe, grubaśne pnie wierzb nad

mokradłami puściwszy nowotne różgi stały w nich nikiej świece jarzące się od wielkiego blasku. Jeszcze tylko olchy martwo smutniały w jasnej przestrzeni, a czarne kępy rokicin rzucały mrok na zieloną murawę. Zdało się, że nawet nędzne lepianki zakwitły na wiosnę. Dachy ich, wielobarwne od słomianego poszycia, na kalenicach przegniłego, jak stary aksamit złociły się na słońcu. Wikłowy płótek pleciak, snując się od jednej zagrody do drugiej, sam jeden tylko utrzymał szarą barwę zimy. Zataczał się krzywo i martwo, wspierał na wierzbach... A dokoła niego wszędzie już radosny jar okrył szarą nędzę ziemi. Od zetknięcia prętów z wietrzykiem wytryskały liście. Nawet na niebie kwitły całkiem nowe, nieznane, jare i zadzierzyste, śniade obłoczki.

Jedną z wąskich, mylnych drożyn sandomierskich sunęła bryczka wlokąc za sobą chmurę szarego kurzu. Zapadała na dno głębokich, zimnych wąwozów, wdrapywała się na szczyt płaskowzgórza... W jednym miejscu Rafał obejrzał się poza siebie i objął widny z dala dom i okolicę. Wpatrzył się w tę stronę rodzinną i w tłumie myśli bezładnych uczuć dokuczliwy żal. Żal ten uściśnął jego duszę, jak obcy przychodzień z nieznanego kraju, i znikł. Wzmogły się po jego odejściu wszystkie gorejące uczucia i nowy ich żywot się zaczął. Rafał czuł, że nic sobie poradzić nie może, oprócz tęsknoty nic nie zyska, a jednak, ujrawszy siniejące w dali na horyzoncie aleje w Derśławicach, radośnie westchnął. Droga jego nie tamtędy wiodła i furman miał już skrócić na lewo, gdy panicz rzekł:

– Wincenty... czy to my... tego... na Derśławice jedziemy?

– Gdzie zaś! Na Bazów, na lasy Golejowskie.

– Słuchajcie, jedźmy tamtędy... na Derślawice.

– A i po cóż my, tyłośny świat! Jak się wielmożny pan dowie...

– Nie dowie się!

– Hale, ón się ta nie dowie!... Będę baty brał.

– Wincenty! Dostaniecie ode mnie strawne i jeszcze kieliszek wódki. Dowiedzieć się nikt nie dowie... Jedźmy tamtędy!

– La Boga świętego, po cóż my, paniczku, na Derślawice? Tu droga jak strzełił... Zapowiedział podstarości, jak i co mam robić...

– Na moje słowo!

– No, jużci jakbym leżał pod gankiem...

Z rezygnacją zawrócił i pojechał w stronę Derślawic.

Była to ta sama droga. Na rozstaju stała figura. Ostre zapachy młodych pól teraz ją owiewały, cierpkie kwiatki przydrożne, żółte i siwe, słały się wiankiem u jej podnóża. Rafał zwrócił na nią oczy pełne łez. Całe życie przeszłe i przyszłe, wszystko, co było i być mogło, wydało mu się niegodnym jednego oddechu tamtej godziny. Na samą myśl, że ta droga, w marzeniu milion razy widziana, przebyta, uproszona w snach i widzeniach, już do celu nie doprowadzi, że jest jedną z wielu dróg nędzy człowieczej, czuł, że nie miłość ma w sercu, lecz tylko pragnienie śmierci. Zachwycających spojrzeń nigdy już ujrzyć nie można, urok jej obecności komu innemu się udziela – oto wszystko. Zarazem rozważał cichą, kryjomą, badawczą myślą, że wioząc w sobie śmiertelnie chorą, na pół umarłą duszę, nie umrze

teraz, lecz dopiero po nieskończonych latach. Przebywał z wolna wszystkie szczeble tęsknoty aż do ostatniego. Było to ciężkie utrapienie ducha. Dźwigał bowiem w sobie wroga własnego i jej szatana kusiciela, wiekuistego zdrajcę i obłudnika: zazdrość. Wszystka robota ducha upadłego na siłach nie miała już podniet.

Ostatnim sensem wszystkich wysiłków było słowo: stało się.

Nadaremnie otaczał się fosami, rowami i bastiony rozsądku, jak obłąkany, który by toczył walkę na pięści z samym sobą. Wszystko rozsypywało się w proch i przemieniało w nęczę.

Zaszumiały nad jego głową derśławickie aleje. Olbrzymie lipy z prawieków, nadwiślańskie topole o cielskach na poły wyschłych, ledwie gdzie u szczytu okryte młodymi liśćmi, z cicha szemrały. Rozlegał się w całym ogrodzie gwar ptaków budujących gniazda. Głosy wywielg, srok, zieb, trznadłów kryły się w mokrych gęstwinach. Droga, zniżając się na dół, zaprowadziła wkrótce przed kuźnię. Rafał kazał tu stanąć i zalecił furmanowi, żeby obejrzeć stan podków końskich. Zdziwiony Wicek zlął z kozła i zaczął ze złością podnosić kulasy jasnokościstym szkapskom. Okazało się, że istotnie zdarte żelaziwa ledwie się trzymały u kopyt. Rafał nastawał, żeby je poprzybijać nowymi hacelami.

Gdy kowal zabrał się do tej roboty, zeskoczył z bryki. Ociężale zbliżył się do sztachet ogrodu i stanął u przełazu, wspartego na dwu słupkach. Ujrzał dwór, sad, wysokie nad nim lipy... Samorodna altana pod baldachimem starego bzu pałała zielenią darni okrywającej ziemną ławkę. Wybujałe zarośla

jaśminu i dzikich róż zakrywały ją i tworzyły żywe ściany. Widząc to miejsca oczyma, Rafał ścisnął sobie gardło, żeby nie łkać głośno. Stojąc tak długo, kąsał się własną wściekłością, smagał każdym spojrzeniem oczu. Na rabatach przed oknami domu świeciły się kwiaty, ozdobione niezgasłymi kolorami. Okno wyśnione było otwarte i dwie jego połowy wonny wiatr z lekka kołysał. Białe ściany domu uroczyście i tajemniczo milczały w rozkwitłych koronach wiśni i jabłonek. Pnie drzew czereśni stały dalekim rzędem, rozwidlone u samej prawie ziemi, powikłane w konary, ze zwieszonymi gałęziami. Stara na nich kora pękała niby przyodziewek zetłały, rozłazący się to tu, to tam. Uliczka mokra jeszcze, brunatna od wilgoci, biegła popod białe różgi, w ustronia odległe, w klomby dzikich wielkodrzewów, w cienie. Długie i subtelne liście wiśniowe i grubsze śliwin lśniły się jakoby miodem powleczone. Ostry zapach kwiatów, śpiew niezliczonych ptaków, raszek, kosów, wywielg nad tym ciemnym, szerokim dachem, wszystko to ścigało teraz i szczyło serce widokiem swoim.

Skrepowany czarownicymi więzami nie mógł ruszyć się z miejsca. Wdychał jeszcze zapach tego ogrodu i pochłaniał go oczyma na zawsze... Oglądał widome drogi szczęścia i słodczy pełne cienie osłaniające święte jego szaty... Tylko szczęścia samego już nie było. Ulegał złudzeniu, że widzi siebie idącego z Heleną w stronę niewysłowionej altany. Głowa styka się skronią z jej głową, a dokoła szelest i gwar wiosenny. Kwietne się sypią puchy, biało-różowe śniegi rozkwitłych wiśni i jabłonek. Z ran,

do żywego zadanych drzewom przez obcinanie gałęzi, sący się aromat oskoły...

Czuł w sercu szczęście tamtego dnia i nadziemską mocą wyobraźni przenosił je całe, olbrzymie jak świat, aż do tej chwili i miejsca. I nagle jeden podmuch wietrzyka wszystko w proch rozbijał. Zlatywało na ziemię jako kwiat czereśniowy. Dom był pusty, niemy. Ramy okienne chwiały się sennym kołysaniem, a szara, wypełzła od dżdżów okiennica zgrzytała do taktu z ich melodyjnym płasem, zgrzytała z cicha starczym, zjadliwym, przemądrzałym śmiechem zardzewiałych zawias. Nie ma, nie ma, nie ma... – naigrawał się ten starości głos wyiębły. Okrutny wyrok rozległ się w głowie, jakoby głos dzwonu, który śmierć zwiastuje. Zasklepiona od balsamów wiosennych rana rozdarła się na nowo. Ukazywała się spod złudy uczuć, spod miękkich wielobarw kwiatów, z głębi prochów i dymów wonnych rzeczywistość chropawa, istotny, szorstki byt i wszystka jego głupia nędza. Wlokło się z głębin cienistych mądre, liczące straty i zyski rozczarowanie. Ze ściśniętymi zębami, z oczyma pełnymi ognia prosił się o cud powtórny, o widok drogiej postaci tylko przez mgnienie oka, o złudzenie widoku... Daremnie...

Trzeba było wracać na bryczkę.

Już kowal załatwił się z podkowami, a Wincenty chrząkaniem dawał znać, że czas w drogę. Rafał zawarł powieki i z obojętnością wręczył rzemieślnikowi należne cwancygiery. W trakcie tej czynności rzucił ukośne spojrzenie na kuźnię, na

wygryziony u wejścia żłobek... Nie obejrzał się, gdy bryczka ruszyła z miejsca, klekocąc wyschłymi sprychami, i nie odwracał głowy, gdy mijala długi ogród. Miejsce to miał w sobie, zamykał je pieścizotliwie w duszy swej na siedem zamków.

Boczna droga, na którą z gościńca skręcili, powiodła ich w lasy. Jechali wolno w poprzek pól otoczonych borem, później znowu lepszą drogą, aż do Staszowa. Po kilkogodzinnym wytchnieniu, którego szkapska nieodzownie potrzebowały, ruszono dalej. Zmierzch zastał ich na granicy jakichś łąk bardzo rozległych, wśród których stały się wody stawów, daleko jak gdyby jeziora błyszczące. Nigdzie, jak oko sięgło, nie było widać ani wsi, ani nawet chaty. Kępy lasów stały tu i owdzie nad owymi łąkami, które już kwiecie zaciągnęło. Po nadrzeczu czerniały smugi olch, wyniosłych brzostów, kępy drzew liściastych, czyli, jak mówił furman Rafałów, żywych. Przypiaskowa, to znowu bagnista droga szła brzegiem lasu. Konie wlokły się noga za nogą, utykanego, w sposób coraz bardziej niepokojący, aż wreszcie zgoła ustały. Nie skutkował ani bat, ani biczysko, ani kłucie, ani głąskanie i posiepywanie za kantary. Zwiesiły stare łbiska dwa żywe trupy i z wlepionymi w ziemię oczyma pograżyły się w sposób zupełny, obojętny na wszystko, nie wyłączając cierpienia i nie wyłączając śmierci.

Rafał tknięty został widokiem tych koni. Zsiadł z bryczki, obejrzał zwieszane czerepy i zdecydował, że trzeba w tym miejscu nocować. Fornal wydobył zaraz worek z chudym obrokiem, odprzągnął szkapska i urządził im żłób w przodzie

wózka, a sam chętnie wziął się do miętoszenia żuchwą partyki razowego chleba oraz skiby sera zzieleniałego od starości. Rafał nie był głodny. Ciało jego, rzekłbyś, przestało istnieć. Dusza, rozpłomieniona, w udręczeniach, spaliła je na węgiel. Zaczął chodzić nad łąką w pobliżu bryki tam i sam, dusząc w sobie wszystkie szaty miłosne i zawierając je w sercu, które się szarpało i biło ślepymi ciosy.

Z dala, nad łąkami, dogasała zorza. Niknące zglisko jej lśniło jeszcze przez czas pewien na wodach nieznanych, na latoroślach łóz, które z wielkiej odległości oko ujmowało jak gdyby promienie świetlne, na szczytowych liściach wyniosłego białodrzewa, sokor i wiązów. Gdy tak przygasało, że tylko ceglasty brzask po nim został, Rafał polecił służącemu nazbierać suchych patyków i rozniecić ognisko. Wnet wzbił się w górę pióropusz sinego dymu, i małe jadowite płomyczki zaczęły pożerać suche igły jałowcu.

W małym kręgu ogniska Rafał, stojący z dala, widział bezmyślnie, cielesnymi oczyma, zwisły nad opałką łeb naręcznego konia, wyschlą czaszkę z ruchomymi powyżej orbit dołami. Surowy i zimny czerep nasuwał się jako kształt cierpienia, jakoby jego wizerunek i obraz prawdziwy. Po niewoli wzrok znowu przywierał do zgastych końskich oczu, do ich siły wyczerpanej, do oczu przeżytych, a tak niedościgle mądrych, tak udręczająco wielomównych, że w ich wyrazie mieścił się cały jakiś świat, alfa i omega bytu. W mowie tych źrenic żalonych, które przymusowo widziały płomień ogniska, bo je raził i nękał,

można było wysłuchać słowa, i Rafał ostrym zmysłem cierpienia zaczął słyszeć wzdychanie ich z ciemności:

– O śnie wieczny, śnie wieczny!

Na pograniczu cichego lasu i łąk, od wilgoci łąk, od wielkiego bogactwa traw pachnących we dnie i w nocy, śnie wieczny...

O dobrotliwy spoczynku kości znużonych!

W świętej ciszy nocnej, pod rosą z niebios zstępującą, w południa, w słońcu, co pali aż do zgnicia wszelkiego truchła, pod ulewnymi deszczami, które bez wytchnienia pracując obmyją, co się ostoi.

O puchy miękkich traw, które przyniesie wiatr wiosny! Kwiaty, mające się z nas urodzić... Błogosławione nasionka, którymi proch nasz zapłodnią ptacy i motyle...

Wewnątrz łądyg, w tkankach badyli krążyć będzie nasza krew i nasze ciało.

O woniejąca rodzino nasza, bracia i siostry! Dzwonki polne, maki, bławatki, bratki łąkowe... O usta nasze i oczy umarłe... W was będzie łkanie naszych piersi, w was bicie serc, w was płomień miłosny naszych żył...

Rafał odszedł. Rozgrzany piasek jeszcze nie ostygł. Nogi z lubością zatapiały się w nim, a torfiasta w głębi ziemia głucho dukała. W dali rechotały żaby. Chór ich tworzył melodię kołyszącą, senną. Niekiedy z jej głębi dawał się słyszeć przeciągły, głuchy, cudzy pobrzęk. Wówczas mimo woli nasuwał się na oczy odległy widok. Wznosiła się z bagien olbrzymia głowa porośla tatarakiem, grzybieniem i skrzekiem, opleciona

chwasty wodnymi, wywracała do gwiazd rozbłyskujących w niebie przejrzyste, jasnobarwne oczy. Śniło się, że leniwym ruchem dźwiga błoniastą rękę i niesie do ust piszczałeczkę, wykręconą z najmłodszej różgi wierzbowej, która się w ciągu poprzedniej nocy urodziła. Lepkie żabie palce przebiegają po dziurkach ligawki, i leci w zroszoną dal przygrywka żabiego chóru. Leci, błąka się, ginie między wysokimi drzewami...

W pobliżu czerniał iglasty bór. Nieruchomy, nieżywy, bez głosu stał ciągnąc z łąk i wsysając w siebie ciemność najgęstsza. Z dalekości, z zarzecznych pagórków, które w nocy dawno zginęły, dolatywało czasami żywe naszczekiwanie psów. W innych momentach wybijała się na wierzch cisza. Ledwie-ledwie mąciło ją suche trzaskanie płonących igieł, brzęk niewidzialnego komara. Czasem koń głośniejsz chrupnął albo dmuchał nozdrzami z umysłu, żeby odwiać sieczkę i snadniej wargą trafić na nieliczne ziarna owsa. Od dalekich białodrzewów, z łona wód, spośród rokicin, iwiny i tataraku nadciągnął powiew szelestny, wiatr zwilgły, nasiąkły ożywczą wonią, rozszerzył się po suchym gołoborzu i obudził szum leśny, szum czarny, gęsty od tłustości żywicznej, parny, ciężki i gnuśny. Ale za chwilę z suchych piasków uciekał i znowu cisza przyplywem niepostrzeżalnym wracała na dawne miejsce.

Rafał wyciągnął drugi worek z obrokiem, rzucił go wzdłuż bryczki i położył się na wznak. Patrzył w niebo rozwartymi oczyma. Miał jeszcze w sobie osłupienie i niemoc nabytą w chorobie. Od gwiazd sypał się w ciemność nocy pylny

brzask, srebrny posiew światła. Białe smugi pary, mgławice obłoków, nieskupione jeszcze pierwociny chmur cicho i sennie przepływały między gwiazdami. Ciałka ich mleczne nikło jaśniały od brzasku-poświaty gwiazd, by nieco dalej posunąwszy się w otchłań, rozwiać się w niedościgłą dla oka formę, stać się niebem.

Noc była parna. Migały z rzadka szybkie i bezdźwięczne, suche błyskawice, które lud zowie zwiastunkami pogody. Zostawały po nich w oku tylko prześliczne, niebieskawe wizje fioletowych lasów, wsi usypiających między sadami, pól zielonych. Wzrok i myśl zatapiały się w nieprzeniknioną noc, szukając nadaremnie widzianych przez chwilę zarysów.

Fornal usnął jak kłoda w pobliżu gasnącego ognia.

Kiedy Rafał leżał beczynn timer, rad, że nic nie czuje, że nawet nie wie, gdzie jest i co się z nim dzieje, w pobliskiej kępie olszyny rozległ się dźwięk... Jeden, po nim drugi, trzeci... Młodzieniec zerwał się i usiadł. Słuchał tonów słowicznych, całował je z radosnym uśmiechem, przyciskał do serca wszystką mocą duszy, wszystkimi siłami ciała. Z wolna te dźwięki metaliczne, tony pierwotne, tak lekkie, jakby je wywoływało dotknięcie strun cytry przez różnobarwne pióro pawia, poczęły zapadać w niego, lecieć wskroś, jak ostry krzemień przelatuje głębiny wody. Wówczas posłyszał wyrazy... Wyrazy niematerialne, nazwy-pieszczoty, pogłaskania, dotknięcia pełne czci, pocałunki oddane duszy przez duszę wpośród ukłonów aż do ziemi i wpośród dymów wonnego kadzidła. Wyrazy nowe, o których

nic nie wiadomo, czym są: czy miłością, czy nienawiścią, czy litością, czy wzdargą i potępieniem. Usłyszał całe dzieje swojej miłości w owych poświstach precudownych, lecących jakoby brylantowe strzały w jasny lazur aż do samego zenitu, w zagięciach dźwięku, który w boleści na dawne miejsce powraca jakby niewolnik w jarzmie z krzyżem zgiętym, poszarpanym batem siepacza, w strzelistych pniach samotnych, pełnych siły i dumy, w dźwiękach wolnych, oszalałych z zachwytu, najpotężniejszych na ziemi, niedościgłych. Zdawało mu się chwilami, że to w nim samym, sobie samemu śpiewa ów niewysłowiony złotostron i że to on sam wyrywa z niego zdrętwiałymi palcami owe krzyki duszy, przeciągłe, długie, padające jakoby ptaki zabite u jakiegoś kresu boleści. Posłyszał imię kochanki, nazwę jej włosów, barwę jej oczu. Złożył umęczoną głowę na jej piersiach trzęsących się od płaczu, przycisnął usta do policzków, do powiek mokrych i słonych od całonocnych łez.

Pierwszemu słowikowi, który tę tonikę zaczął, odpowiedział z dala drugi, tamtemu trzeci... Do tego trójdzwięku przyłączył się czwarty tworząc z pierwszymi akord niewysłowiony. Daleko w gęstwinach nadwodnych śpiewał ostatni.

Były to jak gdyby czaty, nocne wojska uczuć, wigilie czyhające po nocach na samotną miłość, która by się zabłąkała przechodząc tymi stronami.

Skoro tylko dzień zaczęło, zbudził Wincentego i jechał w dalszą drogę. Wypoczęte i popasione konie szły rażniej.

Z prawej i lewej strony widać było wsie i folwarki spalone przed dwoma laty do przyciesi. Stały jeszcze szerokie, czarne place zgorzałej ziemi, których murawa przejąc nie zdołała. Leżały stosy opalonych belek, krokwi na węgiel zetlałych. Rozwarłe paszcze okien we dworach, drzwi powyłamywane, okiennice wiszące krzywo na ostatnim haku, sufity zawisłe nad zburzonymi ścianami, do pół strącone kominy i piecowiska przywalone zeschlým popiołem widać było naokół. Tu i ówdzie wznosiły się na popieliskach domostwa, stodółki, obory. Tam i sam nowy dwór dźwigał się między zwęglonymi lipami, które, jak czarne pochodnie, biły w oczy ze środka zielonych pól. Większość wiosek stała jeszcze pustkowieciem, gnieździła się w budach.

Z południa Rafał minął Chęciny. Stary, strzaskany zamek, baszty czarne, pęknięte, mur trupi unosił się przed nim w powietrzu niby czaszka rozbita. Wjechali w okolice górzystą, leśną i dążyli do miejsca przeznaczenia. Nigdy tu jeszcze Rafał nie był. Ukazał mu się kraj zgoła inny: cichy, zapadły, smutny. Przestrzenie wzgórz bezużytecznych, o glebie czerwonawej, zarosłej sośniną albo jałowcem, piaski na wzniesieniach, sapy nad rzekami. Z traktu skręcili na boczną drogę i wąskim leśnym szlakiem jechali aż do wieczora. Korzenie świerków jak węże przerastały drogę, a gdy się od niej cofnęły drzewa, to otwierała się przed oczyma żółta smuga litego piasku z dwiema koleinami, które daleko, daleko w las się ciągnęły. Dookoła stały smukłe świerki, jak strzały zaopatrzone w bełty dla bardziej chyżego lotu. Zielony, świecący się mech wiosenny otulał rudawosiną ich

korę. Słońce wnikało do głębi lasu i promienie jego przelewały się nie tylko przez gęszcze gałęzi, ale nadto prześwietlały nowe, tegoroczne ich wyrostki. Młode, miękkie, zielonożółte igły były przezroczyste jakoby krople wody. Cień od drzew był na młodych murawach dziwnie uroczy, lękliwy, płochy i czuły. Zdawało się, że niechętnie znosi ludzkie spojrzenie, że istnieje tylko dla siebie, a cofa się i kryje, gdy nań patrzeć. Rafał śledził go spod nawisłych powiek.

Szeptał do niego jak do brata:

– Cieniu, mój cieniu...

Różowe, wiosenne szyszki zdały się topić i rozpływać w ciepłe słońca. Pachnąca żywica wylewała się z nich i zapach jej spływał ku ziemi. Jeszcze się trawa bujna nie puściła w lasach. Zeszłoroczne igły i suche liście zaścielały grunt barwą cmentarną, ale już tu i tam mokra droga w głębokim cieniu lśniła istnym szmaragdem zieleni. Miejscami grunt był twardszy. Tam w gęszczach jedliny dymiły się młode brzoźki niby obłoczki wiosenne. W głębi lasu drzewa się przerzedzały i widać było samotne obręby, gdzie na znacznym obszarze spokojnie usypiały smugi płytkiej, stojącej wody. Warstwy spadłych igieł leżały na jej dnie, rudziejąc żywo jak bursztyn. Dookoła takich zalewisk z wybuchem krzewiła się zieleń borówek, młode, jasnozielone świerczki taplały się w niej jak gąsienia, a jaskry ze wszech stron ramą obejmowały płomienną. Na zwilgłym w pobliżu sapie barwiły się niebieskie kwiatki Matki Boskiej i kępy niezapominajek.

Szkapy szły noga za nogą. Koła bryczki zeskakiwały z korzenia na korzeń albo zarzynały się w głębokim piasku. Wówczas bryczka ledwo-ledwo podawała się naprzód, monotonnie skrzypiąc. Suchy piasek sunął po sprychach jak w klepsydrze. Dla Rafała bardzo miłymi przyjaciółmi były te leśne głębiny. Czuł się tu skrytym ze swoją duszą, niewidocznym i jakby przygarniętym. Tęsknota jego, jak niewolnica na powrozie, znużona długim jarzma uciskiem szła w krajznaczony, patrząc z żalobą na miejsca, które mijała. Po uprawnych niwach sandomierskich, gdzie wyzyskaną była każda skiba aż do przykopy, te zapomniane obszary lasów, rosnące samowładnie, także jak przed wiekami, takie same, być może, jak na zaraniu świata, były bliskie jego duszy, chorej z miłości. Pchało go, żeby wyskoczyć z bryki, rzucić się tu na ziemię i samemu zostać w ciągu długich dni i długich nocy, dotykać rękoma tylko drzew, a ustami kwiatów. Słuchać, jak wiatr sennie przygrywa na gałęziach sosen...

Był na granicy, na samym progu rozumienia przedziwnej mowy owych leśnych, płytkich jeziorek i drzew, które w nie patrzą przez lata, słyszał dźwięk, szept, westchnienie... Wiedział dobrze, jakby był swoim własnym profesorem, że jeśli teraz głosu owego nie zrozumie, nie pochwyci go w duszę swoją, to już nigdy, przenigdy nie odezwie się do niego ta mowa. Jechał dalej a dalej, dziwiąc się samemu sobie, uczuciom, które się w nim z wolna przetwarzały, żywym, twórczym głosom świata.

Miało się już pod zachód słońca, kiedy wyjechali z lasów.

Otworzyła się przed nimi jakby ogromna polana, wykarczowana z boru. Rozdzielały ją piaszczyste wzgórza porośnięte karłowatą sośniną, jałowcowe przestwory i uprawne pola. W dali, na krańcu tego obszaru, pod przeciwległym lasem, błyszczał w zachodzącym słońcu ogromny jakiś staw i rzeka, która długą taśmą blasku wiła się w nizinach zarosłych olchami. Miejsce, gdzie znajdowała się bryczka, było pod wzgórzem i całą rozległą dolinę widziało się stamtąd jak na dłoni. Daleko, nad owym stawem, biał się w kępach drzew biały dwór.

– To je Wygnanka, paniczu – rzekł Wincenty, obracając się na koźle. – Tam młody pan mieszka.

– To jest Wygnanka – powtórzył Rafał.

Teraz dopiero przypomniał sobie, że wkrótce ma powitać brata. Nie znał go prawie, gdyż ów brat, poróżniony z ojcem, nigdy w Tarninach nie bywał. Wiedziano tylko o nim, że raniony ciężko, bliski był śmierci i że później osiadł w owej Wygnance. Te wiadomości, Bóg raczy wiedzieć od kogo, jakby od głuchej ziemi, miała matka. Wiedział o tym i ojciec, ale nigdy ani jedno słowo o synu Piotrze nie było wymówione głośno w Tarninach. Rafałowi przyszła teraz do głowy myśl, że i brat może go źle przyjąć... Cóż wówczas? Nie odpowiadał sobie na pytanie, ale miał je wyryte w sercu. Wówczas zostaje... Kraków, Warszawa, Berlin...

Słońce zeszło za dalekie lasy, i stłumiony został ostatni jego promień. Znużone konie wlokły się tak ociężale, że furman co chwila wyrażał obawę, czy aby znowu nie ustaną. Jak na złość,

droga była jak najfatalniejsza. Niezglębione bajoro stało między dwiema długimi pryzmami kamieni, które wyrzucono z roli. Kamionki te osłonięte były kępami tarniny, która już okwitała. Na przypiaskowych gruntach widać było mizerne pióra żyta i owsów. Gdy zmrok zapadł, w owym dalekim dworze wybłysły światła w trzech oknach. Rafał dziwnego doznał ściśnienia w piersi. Patrzył w te okna, których wydłużone odbicia widać było w połyskliwej wodzie stawu – i nie mógł od nich oderwać oczu. Była to pierwsza chwila, w której ciągu nie cierpiał.

W nocy już przywlekli się nad brzeg wody. Drożyna, podarta przez wiosenne ulewy, zniżyła się za groblę i szła między gajami olszyn, w bród przecinając strumienie, które płynęły z upustu i młyńskich pogródek. Koniska same ją znajdowały w ciemności. Cały ten obszar przesiąkły był wodą i napojony jej ciekawym, nęcącym, uroczym szelestem. Mrok pełen był wieczornego oparu. Zarysy drzew, krzewów, kęp i gąszczów wynurzały się i ginęły w ciemnicy. Wyżej nad poziomem stawu srebrzył się białawy, rzadki tuman. Serce Rafała biło niespokojnie. Rozglądał się w ciemności jeszcze niezupełnej i zapoznawał sercem z tajemnicą tego zakątka. Widział przed sobą ciągle na wzgórzu świecące przez gąszcze drzew owe trzy okna. Minąwszy czarną, litą masę młyna, bryczka zwróciła się w górę i stanęła przed zamkniętymi wrotami.

Naokół nie było żywej duszy. Wincenty zaczął wołać, ale nikt nie nadszedł, więc sam odniósł na bok wrótnię. Dziedzinec wciąż się dźwigał ku górze, aż do dworu. Bez turkotu, bez

szelestu prawie zajechawszy pod cień ogromnych drzew przed gankiem, Rafał nieśmiało zeskoczył z bryczki i wszedł do sieni. Gdy stukał w ciemności, poszukując wejścia, drzwi otwały się przed nim i człowiek wysokiego wzrostu zapytał w sposób wskazujący niezwyklego jąkałę:

– Któż ta?

Rafał nie wiedział, co ma odpowiedzieć, gdyż nie brata miał przed sobą. Zapytał wreszcie:

– Czy pan kapitan Olbromski jest w domu?

– W w... w... domu. A któż ta?

– Brat.

Ów człowiek odsunął się i Rafał wszedł do pokoju. Gdy się znalazł za progiem, ujrzał brata wychodzącego z sąsiedniej izby. Kapitan Olbromski był wysoki, szczupły i nieco naprzód pochylony. Miał twarz bardzo piękną, zupełnie wygoloną. Długie włosy z czoła w tył zaczesane spadały aż na kołnierz jego białego surduta. Gdy rozpoznał Rafała, uśmiech głębokiej radości, prawie zachwytu, prawie szczęścia ukazał się na jego twarzy. I w sercu Rafała coś drgnęło na widok tej postaci, którą z dzieciństwa ledwie-ledwie jak przez sen pamiętał. Kapitan przycisnął go do piersi i bez słowa, długo całował w usta. Gdy go wreszcie posadził przy stole, jeszcze długo, zasłaniając oczy od blasku świecy, patrzył na niego w milczeniu.

– Sam przyjechałeś? – zapytał wreszcie przyduszonym głosem.

– Sam.

– A mama, ojciec żyją?

– Żyją, proszę brata.

– I zdrowi?

– Zdrowi.

– A siostrzyczki: Zofka, Anusia!

– Zdrowe...

– Zdrowe...

– Mama tu do mnie za tobą nie przyjedzie?

– Nie.

– Nie przyjedzie... Ale ty zostaniesz dłużej, prawda? Nie zaprzecz! Prawda? zostaniesz?

– Zostanę.

Kapitan położył rękę na rękę Rafała i ścisnął ją mocno. Po chwili odwrócił się do służącego, który stał przy drzwiach, ze słowami:

– Michcik, zajmiesz się końmi panicza i pomyśl o wieczerzy.

– We-we-dług... – mruknął tamten szcęknąwszy przy tym zębami, jakby chciał ukąsić coś zawieszony w powietrzu, wykręcił się na pięcie i poszedł.

Gdy zostali sami, kapitan Piotr spoglądał za nim we drzwi przez czas niejaki, a potem zwrócił się do Rafała z zapytaniem:

– Czy ojciec dobrodziej, czy... nie kazał powiedzieć mi... To jest...

– Nic a nic! – rzekł Rafał prędko i zaczerwienił się, jak gdyby go schwytano na uczynku kradzieży. Czuł w sobie niesłychane jakieś wzburzenie, niedoświadczane nigdy. Pierwszy raz w życiu

stał w obliczu czegoś, co było niby nim samym, a było razem obce, wyniosłe, dostojne.

Piotr powtórzył jak echo:

– Nie, nic a nic!

W dźwięku tym brzmiało tyle krwawego cierpienia, że Rafał znieść go nie mógł. Czuł, że musi złagodzić to, co powiedział.

– Jakem wyjeżdżał – zaczął tonem objaśniającym – to nawet nie widziałem jegomości, bo był właśnie... w polu.

– W polu był... – uśmiechnął się starszy.

– A tak, wyszedł...

– I nie pożegnał się z tobą?

– A nie, bo nawet... muszę powiedzieć...

– Mów ze mną śmiało. Ja cię nie będę sądził surowo... – uśmiechnął się Piotr. – Musiałeś coś tatuńciowi przeskrobać.

Rafał wyszczerzył się cynicznym, niemiłym śmiechem, który ukazał wszystkie jego zęby.

– A rzeczywiście...

– Mówże śmiało!

– Jegomość tatuńcio kazał mi precz jechać z domu! Tyle że mi dał ślepego wałacha i kobyłę Margolę do wywiezienia, jak trupa na mogiłki.

– O! I za cóż to?

– A bo zajeździłem wierzchówkę.

– Zajeździłeś kobyłę... I za to tylko?

– A no... mówię bratu.

– Cóż to za kobyła takiej ceny?

– „Baśka”, co to żrebica po Popielatce.

– Nie widziałem jej... Dawnom już w domu nie był. Ale nie martw się, Rafciu. I ja wyjechałem, a raczej wyszedłem, bez pożegnania, prawie psami wyszczuty. Dawne to rzeczy... Myślałem, że ojciec przysyła przez ciebie...

Kapitan wstał i począł chodzić z kąta w kąt izby. Rafał wodził za nim oczyma i z nadzwyczajną ciekawością wchłaniał w siebie jego figurę, sposób mowy, każdy ruch, gest, każde skrzywienie twarzy. Nie mógł sobie dać rady z uczuciem nieporozumienia, jakie go ogarniało na widok postaci tego brata. Nie mógł na to przystać, że ów brat tajemniczy, który poza dom rodzinny gdzieś na świat się wyniósł szeroki i stał symbolem rzeczy okrytych milczeniem, grozą, rzeczy wielkich i straszliwych, mieszka oto w tak nędznym starym domu. „Toż to jest on? Piotr?” – myślał przypatrując mu się ukradkiem. Ale jednocześnie, gdy zniknęła owa gruba zasłona, usunęła się razem jakby zaporą dzieląca. Nienasycona ciekawość i coś innego jeszcze, nowego, bliskiego, miłego, kazało mu zapomnieć o wszystkim na świecie. Oczy mu się świeciły jak dwa ognie żywe.

Piotr stanął przed nim. Zaczął mówić:

– Widzisz, braciszku... Jesteś jeszcze bardzo młody i nie powinieneś może wiedzieć o tym wszystkim, co ci wyjawilem. Ale... któż wie, co się stanie jutro. Chciałem ci otwarcie powiedzieć, dlaczego tak dawno u was nie byłem, żebyś nie myślał źle o moich sentymentach dla rodziny.

– Nie, gdzież tam!

– Tak było ze mną... Oddał mię ojciec do szkoły kadetów. Nie byłem w domu bardzo długo, bo na lato zwykle zabierał mię do siebie jeden przyjaciel ze szkoły. Przyjechałem do Tarnin pierwszy raz, gdym już był gefrejterem. Miałem głowę naładowaną myślami... Nie wiem, czy mię będziesz rozumiał...

Eks-student przybierał miny jak najbardziej odpowiednie, choć w istocie nie był pewny swego.

– Już w szkole, uważasz, zaczęła się była komocja w umysłach. Dużośmy czytali... *Uwagi nad życiem Jana Zamoyskiego*, *Żywot Chodkiewicza*, to były jakby światła pochodni w noc ciemną. Dam ci te książki... Na opresję kmiecią, na kurs sprawy publicznej krwawym patrzaliśmy okiem. Każdy zaufał w szpadzie i na nią poprzysiął. Wierzyliśmy, że cała Rzeczpospolita na naszym leży ramieniu i że to my ją wydzwigniemy. Gdym wrócił do domu i zaczął rozmawiać z ojcem, porwała mię desperacja. Ojciec stał po stronie i w szeregu tych, których na śmierć nienawidziłem. Kazał mi tak postępować, tak nawet myśleć jak on i oni. Nastawał, żebym się zaparł samego siebie. W jednej rozmowie zelżył mię, w drugiej zagroził...

– Wiem, wiem... – jęknął Rafał.

– Słyszałeś o tym w domu? – pytał Piotr schylając się nad nim.

– Słyszałem.

– Mama ci mówiła?

– Mama, Anusia...

Piotr oddychał szybko i ciężko... Policzki mu pałały. Prędko

chodził po izbie i kiedy niekiedy rzucał wyraz cichy jak oddech:

– Zdeptał mój oficjerski honor. To nic! Ale duszę wszystką nogami... W strasznym gniewie, w dzikości wzburzenia... gdy parobków... krzyknąłem, że się nie dam... wyrwałem z pochwy. Boże mój!...

Usiadł prawie bez tchu. Siedział tak, chwytając oddech pierśmi przędko i z trudem. Mówił jeszcze:

– Nocą wyszedłem. Tyle już lat! Gdyśmy z Braćwawszczyzny pod Grochowskim dniami i nocami ku Połańcowi... z dała widziałem naszą stronę... A potem... żeby też słowo!

– Ojciec nic o bracie nie wiedział, i my to samo...

– A i cóż mieliście wiedzieć? To co o każdym. Na Szczekocińskim placu... skłuły mnie bagnietami Prusaki... Krew mię uszła... Leżałem między trupami. Ten oto żołnierz, coś go widział, wrócił się po mnie w nocy, znalazł mię półżywego. Na rękę wyniósł... Leżałem po dworach w Krakowskim, a jakem wreszcie wstał, w gruncie rzeczy... nie było już po co...

Strzepnął palcami i rzekł przędko:

– Och, nie mogę... gadać!

Po chwili jednak zaczął znowu:

– Przyszedłem tu z tym żołnierzem, skąd on rodem. Wziąłem w dzierzawę tę oto wioszczynę i tak siedzę. Ziemi tu mało, więc karczujemy jałowce. Smutek mię zagryza... A z domu... żeby też słowo!

Rafał, pobudzony przez szczególne uczucie, zaczął mówić o domu, rozwodzić się o wszystkim, co zaszło i zostało

w pamięci. Piotr zatrzymał się znowu przed nim i pałającymi oczyma rozniecał w nim swadę. Porozumiewali się za pomocą dźwięków urwanych, zdań ledwie zaczętych, okrzyków, naśladowań głosów ludzkich i zwierzęcych. Piotr pytał się, jak chłopiec, o drzewa przed domem i w ogrodzie, szczególnie o pewien stary brzost w dole sadu, o konie i psy, o sprzęty w domu, o pola, drogi, o parobków i chłopów. Oczy jego i usta śmiały się teraz tak samo jak oczy Rafała. Stali się teraz zupełnie podobni, byli jak jeden we dwu osobach. Czasami, wśród powieści o czymś domowym, przerywali sobie cichym okrzykiem, jakimś ledwie początkiem śmiechu, i niby na skrzydłach lecieli do czegoś innego. Piotr zadawał pytania o stare ciotki, o rezydujących niedołęgów, a o każdego i każdą dowiadywał się jednym jakimś ruchem naśladowującym, jednym charakterystycznym zmrużeniem oka, albo samym bezsłownym dźwiękiem głosu. Niekiedy w środku żywego śmiechu twarze obudwu krzepły jakby zmrożone, gdy przesunęło się jakieś bolesne, bez słów wiadome wspomnienie, jakaś klęska znana i wiecznie, pomimo wszystko, żywa i wielka.

Michcik nakrył stół małym obrusikiem i ustawił talerze, a oni tego nie dostrzegli prawie. Wieczereż więcej niż biedną spożyli prędko, nie zwracając uwagi. Michcik posłał Rafałowi na sofie obitej zieloną skórą i stojąc przy drzwiach niekiedy pomrukiwał.

– Idź spać, stary... – rzekł do niego Piotr nie przerywając rozmowy.

Żołnierz znowu wyjąknął swoje: „Według!” – i odszedł.

Świece spaliły się w blaszanych lichtarzach. Piotr wyszukał i zapalił nowe. Dopytywał się, pomimo wszystko, głównie o ojca. Zadawał tysiące pytań o jego zdrowie, chciał osiąść wszelkie szczegóły o tym, jak też wygląda.

Rafał, brnąc w opowiadaniu, tracił z oczu granice, których dotychczas nigdy nie przekraczał. Pierwszy raz w życiu był tak szczery. Sam nie wiedział, kiedy mu przyszła myśl, żeby powiedzieć Piotrowi prawdę o nocnej przygodzie, o walce z wilkiem, żeby wyznać miłość dla Heleny. Wtem niespodziane uczucie, jakby jej rozkaz, zaleciło mu milczenie.

Piotr słuchał wszystkiego z oczyma szeroko otwartymi. Po dziesięć razy kazał sobie powtarzać szczegóły. Od jednej sprawy rozmowa skakała do zgoła innej. Nie spostrzegli się, kiedy blask świec pobladł i sprzęty bardziej widocznymi się stały. Przez otwarte okna wpływał chłód rzeźwy. Gałęzie i pręty ich, pławiny z liśćmi ledwie rozwiniętymi, szedziwe od rosy nadrannej, bez ruchu leżały w pustkach okiennych, snem nieprzepartym objęte. Kiedy niekiedy wszakże jakaś gibka różga nowotna zadrżała niby od przenikającego chłodu, i nagle kroplisty deszcz z niej się sypał szeleszcząc w dwójnasób przestraszająco, jak zwykle we śnie... Kiedy niekiedy zimny i zwilgły wietrzyk nadwodny wieszał się między gałęziami hiszpańskiego jaśminu i tulił w mokre liście, żeby pod dachem ich na śliskiej, ledwie zrodzonej odnóżce usnąć na chwilę, wytchnąć pożywnym drzemaniem nadrannym. Z mglistej daleczyzny wynurzał się łagodny, miękki głos kurki wodnej.

Dniało.

W ramach okien rozpościerał się cichy błękit, a w nim ciemnymi smugami zarysowywać poczęły dalekie wzgórza i pasma leśne na równinach. Wysoko, na bezchmurnym niebie, jak lilia świeciła się ostatnim blaskiem gwiazda poranna – zwiernica. Już zorza rdzawą łuną zza świata idąc obejmowała rąb ziemi. Piotr rzekł:

– Nie widziałeś nawet, Rafuś, jak tu jest u mnie. Chodź no zobacz. Już świta.

Stanęli obaj w otwartym oknie.

W dole, tuż za płotem ogrodu, widać było skroś gałęzi uśpiony staw. Z wód jego białoniebieskich, jak stal zsiniała od ognia, dymiły się mgły cudnobarwne. Pokrewne ziemi i niebu, opuszczały wodę dla nieba, oddzielając się od niej z żalem, jak dusza, kiedy rzuca własne swe ciało. Ale nim odeszły, stały nad nią, jak gdyby w modłach utopione. Zdało się wtedy patrzącym, że ta chwila trwać winna wiecznie, że ona to jest wiecznością, że taką właśnie jest nieskończoność. Ale światłość z dala nadchodząca pokropiła hizopem cienie, i na jej wszechwładny znak woda samotna została w dole, a mgły porzuciły jej łono. Zwijały swe cudne, powłóczyste szaty, rozszerzały przezroczyście skrzydła i mdlejąc, wijąc się z żalu, ginęły w błękanie. Tam gdzie jeszcze świt nie dotarł, w głębiach olszowych, siostry ich błękitne śniły wczoraj zaczęty, głuchonocny sen. Drzewa wśród nich były inne: jasnoniebieskie miały liście, a pnie ich zdawały się wyrastać ze śnieżnego obłoku. Dalekie mielizny piasku na

płytkim wybrzeżu wody były różowe jak policzki zbudzonego dzieciątka. Za stawem, na płaskim wzgórku, stała nieruchomą tarczą szmaragdowa oranina, lśniąca zasiewem jarego żyta, które już w niwę żyjącą własnym żywotem zmieniać się poczęło.

Piotr objął Rafała wpół lewą ręką. I Rafał nieśmiało ogarnął brata również ramieniem. Zamilkli. Nieruchomo przetrwali owo świtanie patrząc się w cudne wody, w niewysłowioną barwę niebios, która z wolna płonąć zaczynała, w żywe jej odbicie na nieruchomych odmętach. Było tak cicho, że wzajem słyszeli, jak życie w każdym z nich płynie...

Samotny

Przeminęła wiosna.

Rafał spędził ją w Wygnance. Brat Piotr zostawił mu zupełną swobodę. Wygnanka leżała za borami, z dala od szerszych dróg, w pustce zupełnej. Roli tam było niewiele, i dopiero kapitan, wzięwszy wioskę w dzierżawę, począł wyprawiać i obsiewać nieużytki. Tuż za stawem, na wzgórzu, rozciągała się duża przestrzeń bezpłodnego pastwiska. Ta gleba, zarosła jałowcem, wrzosem, brzezina, a pachnąca macierzanką, była, widać, przed wiekami orana, gdyż znać po niej było wyraźne bruzdy i zagony.

Gdy Rafał przebywał ją po raz pierwszy, zdybał Żyda z krzywą nogą, który kilofem, mającym niejaki podobieństwo do niego samego, wydierał z ziemi jałowce. Rafał wdał się ze starcem w rozmowę i dowiedział od niego wielu szczegółów. Żyd nazywał się Uriasz („ale to tylko na papierze”), „naprawdę” zwano go Uryś. Był z fachu szewcem, ale robił także i inne roboty. Jak kilof do Urysia, tak znowu Uryś z całej swojej figury podobny był do drzewa, do wierzby, do pnia z krzywymi korzeniami. Sękate jego ręce okryte były dużymi plamami piegów, jakby zastygłą żywicą. Broda i pejsy tak spłowiwały na słońcu i w czasie pluchot, że przypominać mogły bardziej mech drzewny niż ludzkie włosy. Odzienie gałęńskie upodobniło się całkiem do kory.

Teraz, gdy pan kapitan zaczął trzebić pustki, jego do tej roboty

najmuje. Dawniej, przed dwoma laty, pan kapitan czasami przychodził na nowinę i własną ręką darł jałowce. Ale pan kapitan i wtedy nie miał potrzebnej siły, a jałowiec ma korzeń długi jak ludzka bieda. Nie. Nie miał siły. Może miał dawniej, pewnie miał, ale teraz to już całkiem nie ma. Jak można mieć siłę po tak wielkiej słabości! Teraz już ani razu nie przychodzi na rolę. Pan kapitan jak wolnym krokiem przybył, to on lubił usiąść na kamieniu i patrzeć, jak Uryś pracuje. On nie dlatego przychodził, żeby tę robotę dopilnować... To nie jest taki człowiek, co drugiego pilnuje... Urysia nie trzeba pilnować. On siadł na kamieniu, podparł głowę na rękę i patrzył. On patrzył, on milczał. Ale za najmądrzejszą mowę obstoi takie niemówienie, jeśli człowiek tak patrzy na człowieka. Z przeproszeniem panicza, czemu taki chrześcijanin nie urodzi się na żydowskiego rabina? Dużo się trafi mądre rabiny między zakonnymi, ale najmądrzejszy rabin między rabinami, sam magiet, nie będzie taki mądry jak pan kapitan. On wszystko wie ze swego rozumu. Jego każde słowo można sprzedać za gotówkę, jak najlepszy towar.

Parę razy to on się odezwał nie o te karczowanie, nie o zarobek, nie o jadło i napitek, nie o tutejsze, ale o tamte życie... Uryś nie pamięta, nie umie powtórzyć, co on powiedział o tamte rzeczy, o samym Adonaj, ale od tej chwili, kiedy kładzie śmiertelną koszulę i zacznie mówić pacierze, wie mocno, że on mówił czystą prawdę. On nie mówił, jak zawsze mówi – bez urazy – goj do Żyda, on nie mówił nawet jak Żyd do Żyda. Raz to

on przyszedł, długo milczał, a w końcu zapytał się Urysia o tamte życie, o wieczność... Co to jest, jak człowiek umrze? Czy Uryś wierzy w Jahwe? Niech mu powie... Uryś się bardzo przeląkł, Uryś dygotał, ale powiedział mu prawdę. A potem on mówił takie wielkie słowo do najbiedniejszego Żydka z Wygnanki, że Uryś dopiero zobaczył jego rozum. To żyto ozime, co je tam widać, to kapitan sam wsiadł, ale tamto jare to już siał Michcik. Gdzie to kto widział, żeby taki szlachcic siał albo karczował? On się przepasał płachtą i sam siał. Urysiowi jest bardzo przyjemnie, że on karczował tę nowinę, a pan kapitan ją zasiał.

Piękny owies rósł tam na nowej ziemi, jak dzikie ziele. Wśród jasnego zagaja wybuchały gęsto czarne, wyniosłe jego kępy o piórach szerokich, rozwiewnych i mieniących się w słońcu.

Rafał nie był tak łaskaw na Urysia jak brat Piotr. Opuścił go ze śmiechem i tylko czasami, z głębi brzozowego gaju, który wśród pól dawniej wyprawionych pozostał, przypatrywał się nieraz jego, twardej pracy.

W tym gaju, w rozległych łąkach, w dziewiczych i niedostępnych rokitach nad stawem, przepędzał dni albo i wieczory, pogrążony w gnuśne marzenia. Zdarzało się, że nieraz pół dnia przeleżał na wznak w dąbrowie, patrząc w niebo, w obłoki sunące wskroś lazuru. Zdarzało się, że długie godziny trawił skurczony na kępie wśród wiklin i tataraków, niby to czatując na kaczki. Dopiero głód pospolity wrywał go z marzeń i pędził ku domowi. Często opłątany przez swe myśli tak rozwlekłe, że były prawie niczym, nie słyszał dzikich huków

Michcika powołujących go na żołnierski obiad. Innym razem przychodził w dobie całkiem niewłaściwej, pewny, że się stawia w terminie.

Jedyną rzeczywistością było dla niego to, co wrzało w sercu.

Dlatego taką radość sprawiała mu każda chwila samotności. Widoki stawu, zakrętów rzecznych, łąk w czerwcu, gajów i dzikich odłogów miały dla niego powab niewymowny. Ich życie, opuszczone przez ludzi, czarowało smutkiem swoim własnym, tamtejszym, przed wiekami osiadłym, a tak duszy znajomym! Trafiały się w ciągu tych dni chwile zdziwień prawie bolesnych, a jednak samą radością będące, skąd miejsca te posiadały coś z niego samego, jakąś część z głębokości jego duszy, jakimś cudem stały się widowym obrazem niepochwytanego sekretu miłosnej nocy.

Były tam czarne olchy nad wodą... Nie, nie olchy. Były czarne, z krwawymi pniami przeczucia nad wodą błękitną i ruchomą, zmienną i słabą, których widok rozdzierał duszę smutkiem okrutnego rodzaju. Były młode dalekie brzoźki... Gdy Rafał zwracał stęsknione oczy ku ich wierzchołkom srebrzącym się w słońcu, ku sypkoszelestnym listeczkom, ku białopiennym ciałom, które się wstydliwie kryją w przejrzystą szatę, słyszał w głębi siebie jak gdyby obietnicę tajemniczą, wyjawioną przez głos obcy, głos pełen łaski miłosnej. Nie umiałby nikomu powiedzieć, czemu patrząc na widok czarnych rokit, gęstym zastępem wiecznie posepnijących nad wartkim nurtem rzeki, sam w sobie narzekał błakając się w poprzek

wszelkich ustaw rozumu.

Gdy nieraz leżał na suchych pagórkach, otaczających niskie łąki nadrzeczne, zatopiony w ciszę niezgruntowaną, i gdy w nim budziły się i rosły marzenia o szczęściu, serce męskie i myśl wspaniała, wysoko pod chmurami dawał się słyszeć chrzęst skrzydeł bujającego bekasa, jakoby śmiech szyderczy, pełen złych zapowiedzi. Osoba Heleny znikła z jego wyobraźni, nawet wspomnienie o niej wypęzło. Została się w duszy próżnia niejasna, usadowiona poza obrębem wyobrażeń, przez którą płynęły strugi łez...

Kapitan Piotr spędzał te dni w zupełnej również samotności. Od rana Michcik wynosił mu obszerne karło pod lipy na dziedzińcu, skąd było widać całą okolicę, i ustawiał je na kobierczyku. Kapitan spędzał tam dzień cały, sennymi oczyma patrząc w przestwór. Błada jego twarz, otoczona bujnymi włosami, bez ruchu spoczywała na dłoni. Częściej wszakże wsparta była bezwładna głowa o tylną poręcz krzesła, i oczy zwrócone w niebo. W konarach odwiecznych lip grały roje pszczoł. Pachniał odurzająco subtelny, złotolity kwiat lipowy. Z rabat kwietnika, gdzie stały rzędem wątle balsaminy, goździki i kępy bratków, biła woń rezedy.

W dali za stawem widać było łąki okryte jeszcze trawami, które dopiero kosić zaczynało. Od młyna, nieruchomego w tej porze roku, dolatywał ciekły szmer wody cedzącej się ze stawideł, który w zupełnej głuszy coś wiecznego powiadał. Gospodarstwo prowadził Michcik. Pod jego przewodem

wychodzili ludzie na pańskie, on pilnował parobków i dziewczuch folwarcznych, doglądał koni i bydła, stodół i spichlerza, spiżarni i kuchni. Sam także gotował obiady.

Wieś, złożona z jedenastu chałup, świeciła na czerwonym, kamienistym wzgórku nędzą swoich przegniłych dachów i ścian zmurszałych.

Jednego dnia w końcu czerwca, zaraz po obiedzie, Rafał siedział w cieniu lip obok brata; miał za chwilę wyruszyć na dalszą wędrowkę. Strzelba stała obok niego, torbę miał pod ręką. Czekał tylko, żeby południowy upał nieco zelżał. Wtem psy drzemiące dźwignęły łby i poczęły naszczekiwać. Za budynkami, na drodze, dał się słyszeć turkot i wkrótce w tumanie kurzawy stanął przed wrotami jakiś pojazd. Za chwilę wpadła na dziedziniec para kusych kasztanów w lśniących szorach z herbami, zaprzężona do wolantki suto plutowanej. Z powozu wyskoczył na ziemię smukły młodzieniec. Rzucił na ręce lokaja płócienny kitel i z pięknym ukłonem zbliżał się do siedzących.

– Książę Gintuł – szepnął do brata kapitan.

Rafał z oniemiałym zachwytem przypatrywał się nieznajomemu panu. Zapomniał oddać ukłon, a języka w gębie. Nie mógł oczu oderwać od jego kostiumu z ciemnego sukna i lśniącego obuwia. Książę Gintuł podszedł z uśmiechem do kapitana i serdecznie ścisnął jego rękę. Piotr wstał, ale przybyły osadził go zaraz na dawnym miejscu, a sam siadł na brzegu podanego krzeselka. Gdy zdjął kapelusz, Rafał miał możliwość

podziwiania jego prześlicznych jasnych włosów, które w lokach spadały, i wdychania zapachu wódek, którymi piękny pan był zlany.

– Mości kapitanie, przybywam powtórnie dowiedzieć się o two zdrowie, choć mógłbym gniewać się do woli za wstręt, jaki żywisz, a co gorsza okazujesz. Wszak nie oddałeś mi wizyty w Grudnie... – mówił książę.

– Nie mogłem w istocie być w Grudnie. Sił mam coraz mniej... – tłumaczył się kapitan.

– Czy istotnie tak źle się czujesz?

– Źle się czuję. Upadek sił.

– Ach, to niedobrze! A jakież są symptomata twojej choroby?

Bo na oko...

– Najbardziej widoczne symptoma to bicie krwi do piersi, do gardła, z czego częste krwotoki. Felczer z Włoszczowej krew mi puszczał kilkakroć, ale i to nie przyniosło zdrowia. Czuję po każdym krwie puszczeniu jeszcze większy sił ubytek.

– Czemu nie wezwiesz mego lekarza z Kielc, jak cię prosiłem?

– Alboż to lekarz może siły wrócić?... *Quand la poire est mûre, elle tombe...* No, a u księcia pana co nowego słyhać?

– Nic nie słyhać. Nudzę się.. Poluję, czasami trochę szaleję, a nade wszystko nudzę się... Często przychodzisz mi na myśl, stary towarzyszu.

– Dziękuję.

– Przemineło wszystko! Jak nocny sen przeszło w dziedzinę śmierci. Nie ma nic. Pamiętasz nasze kadeckie czasy? Lekcje

na szpady u Martina Dechamps? A Chillet i francuszczyzna przymusowa? A Kreys pocziwina z niemieckim? A stary tancmistrz Davigni?

– Davigni... – powtórzył kapitan jak echo.

Uśmiech smutny jak łza spłynął z jego oczu i zawisł na wargach.

– Śliczna młodość nasza... Posłuchaj! Czy nie chciałbyś innej wziąć ode mnie wioski? Puszczę zastawem, którą zechcesz, na warunkach powszechnych, ale dogodnych, a w weselszym gdzieś miejscu. Bliżej Grudna i świata! Chciałbym częściej być z tobą, Piotrusz. Tu pusto w tych lasach i piaskach, jakoś posepnie i nieswojo.

– Być może, ale, jeśli wola księcia, nie chciałbym się stąd ruszać. A że czynsz płacę do skarbu grudzieńskiego *accuratissime*, więc – dodał z uśmiechem – nie masz racji eksmisji. Zresztą pilnie karczuję pustki jałowcowe, staw szlamuję i zarybiam, łąki osuszam. Rowy...

– Zgoła jak ów Cincinnatus.

Ordynarna, niczym nieokryta ironia wionęła przez twarz pana, gdy to mówił.

– Cincinnatus – rzekł Piotr oschle i równie szorstko – nie osiadłby był...

Książę otarł czoło wonną chustką. Chowając ją do kieszeni, schylił się i znacząco powiedział:

– Jestem mocno przekonany, że *basis* twojej choroby – to nie bicie krwi, tylko... myśli. A na to istotnie ani felczer, ani lekarz

najzawołanszy nic nie pomoże.

Piotr podniósł na niego oczy znużone i rzekł z niechęcią:

– Nie. Już zastaliło się serce. Myśli ustały.

– Jeśli tak, to czemuż tu siedzieć w głuszy? Czemużbyś się wzdragał patrzeć w życie i poić nim, pókiś młody? Czytam w tobie jak w księdze. Te same tłamsisz w sobie zaskórne myśli, jak wówczas, gdyś mię na lekcjach Łęskiego, Hubego, Steynera albo później nocami w namiocie pozbawiał snu. Pamiętam straszne twoje rozmowy...

– Nie wiedziałem, że były tak straszne... – rzekł Piotr i zaśmiał się szyderczo długim i ostrym śmiechem.

Oczy księcia omgłiła duma i wzgarda. Mówił z wolna i grzecznie:

– Dziś już mowa twoja nie potrafiłaby wyrzynać na mym sercu owych bolesnych hieroglifów.

– Bo też i obiektu samego rozmowy nie masz. O czymże tu mówić? Najlepsza, co każdy z nas uczynić może, to milczeć. To jest *sors* takich jak my...

– No, śmiać się jeszcze przynajmniej pozwól. To naturze ludzkiej nie wadzi... Cóż u licha! *Il n'y a si misérable qui ne puisse se consoler dans ses malheurs...* Kiedy wstecz patrzę, czy wiesz, czego najbardziej żałuję? Oto tego, że przez czas tak długi śmiał się tak mało, że tak długotrwanie był sensatem!

– Dobrze mówi nasze chudopacholskie przysłowie: „Wolno panu, jako panu”.

– No... pewnie. Toż pamiętam, że kiedy nas z korpusu, dla

braku kawalerów do tańca, zapraszano na pokoje królewskie, tyś mię zawsze odmawiał i sam... za nic, choć obaj ślicznie tańczyliśmy. Powiedz, czemuśmy się wtedy nie bawili? Czemu nie poznawaliśmy dworu, świata, cudnych kobiet?

Rozmowa urwała się. Książę chłodził się, z lekka pochylając kapelusz. Oczy jego z natarczywą uwagą spoczywały na twarzy Piotra, który siedział patrząc w ziemię z taką grzeczną obojętnością, jakby przed chwilą rozmawiał o upale albo o szemraniu pszczoł. Po długim milczeniu książę rzekł twardo i sucho:

– Jest to sztych nieodbity. – Wreszcie cóż począć! Żadnej rady, żadnej, żadnej! Ziemia tylko pod stopami została, niebo nad głową. Słońce i nam świeci. Podnieść oczy winni jesteśmy – i żyć. Piotrze, mówisz, żeś wziął determinację po dojrzałszym namyśle, a mnie się widzi, że wciąż krzywo myślisz.

– Wszakże to nikomu szkody nie przyniosło i dziś nie przynosi.

– Tobie przyniosło szkodę! Zabiło w tobie dzielne, przyjemne, czynne uczucie.

– Wdzięczny jestem księciu za wyrażoną kompasją... Ale, jak sam mówisz, cóż począć? *qui ne sait nager, va au fond*. Ja należę do bardzo złych pływaków. O jednego też mniej. I to wszystko. Niech inni podnoszą głowy – i żyją.

– Nie chciałbym mieszać się i wchodzić w twe życie... Tylko... Na jednej ławce siedzieliśmy, w jednym glicie stawialiśmy w szkole i w polu. Widziałeś mię przy sobie

w bitwach. Przecież sam dobrze wiesz, jak cię kochałem... – wybuchnął.

– Mości książę...

– Wiem, co mówię! Nikt nie był bardziej niż ty gotów do hazardu życia. Ale też... Gdy teraz na ciebie opuszczonego tutaj patrzę, zda mi się, że spełniam zbrodnię. Dlaczego jesteś taki? Tak inny? Smutny? Czego chcesz? Cóżemy mogli czynić więcej? Staliśmy oko w oko, pierś przeciw bagnetowi, na grobli, w opłotkach Chebdzia... Tyś zrobił swoje nie gorzej od Żółkiewskiego...

– Milczałbyś oto waćpan! – rzekł Piotr grubiańsko i ordynarnie. – Żółkiewski nie odszedł żywy z placu honoru. Waćpan nie wiesz, czy jak? Dał głowę. Tak jakby ją kazał wbić na spisę dla wiekuistego przestרחu pokoleń. Nie wyprzysięgał się pod mieczem swego Boga.

– Bo też i było o co karku pod cios nadstawić. Ale ty, mospanku, wspomnij tylko, coś za dni swych widział. Była to pospolita rzecz Żółkiewskiego? Te stada ludzkiego była z szablami u boku, którymi na sejmikach rąbało każdą głowę mądrzejszą. Gdy sobie wspominam owe bandy jurgieltne, owe pyski ryczące na rozkaz, owe puste, nikczemne, golone łby, które miały władzę stanowić – żal się Boże! – prawa... wyznaje, wyznaje...

Na twarz Piotra Olbromskiego wydobył się uśmiech spod serca, coś jak przykre tchórzostwo. Książę ciągnął dalej:

– Toż pamiętam aż do tej chwili sejmiki. Sejmiki! –

powtórzył głosem najbardziej zjadliwym, jaki tylko być może.
– Mój ojciec... kandydował. Wyszedłem był wówczas ze szkoły i na owe sprawy patrzyłem ze czcią, jako na rzeczy święte. Towarzyszyłem ojcu. Pomnę, gdyśmy przejeżdżali obok podmiejskiego błonia, gdzie się mieściło obozowisko panów braci, równych wojewodzie... Nigdy nie wyjdą z mej pamięci owe namioty na drągach okrytych brudnymi płachtami, budy z gałęzi, żerdzi i darniny, gorejące ogniska, gdzie zarzynano woły naszego kontrkandydata i pieczono ćwierci na rożnach. Beczki piwa i miodu, kufy gorzałki – cha, cha! – stały tu i owdzie, a dokoła nich taczała się z garnkami, ze szklankami, z dzbankami i skorupami w ręku istna horda tatarska, zwana partią naszego antagonisty. Chude szkapska wałęsały się tu i owdzie, łudząc do reszty, że się jest w obozowisku kipczackim. Panowie bracia w kapotach, w opończach, burkach, w butach wysmarowanych dziegciem albo i bez butów, ujrzawszy nas jadących poczęli coś wniebogłosy ryczeć i wyrwać z pochew szable. Tegoż dnia wzięli się do rabunku sklepów żydowskich, do wybijania szyb, odrywania okiennic...

– Po cóż to wskrzeszasz, mości książę?

– Po to, u licha, żebyś nie płakał nad rozwiązaniem praw onego bydła, twojego raj. Prawo to musiało być rozwiązane.

– Ów raj był waszym, magnackim. Sam to mówisz.

– Mój ojciec przepłacał, żywił, rozpajał swoją bandę, to prawda, ale w jakimże celu? Żeby walczyć w sejmie o dziedzictwo tronu. Zaiste czynił to wbrew własnemu

interesowi. Boć jeżeli kto, to pan mógł się czuć dobrze na tej drodze otwartej, która go wiodła, jeśli chciał, aż na tron.

– Dawnom to już wszystko rozważył i na jedno przystał.

– Temu właśnie, na coś przystał, zaprzeczam.

– Już nic nie zmieni tego, co w sobie zamknąłem.

– Siedząc w samotności, wśród śniegów i lodów, myślałem i ja także dniami i nocami. Myślałem głównie nad tym, że w samej istocie rzeczy przestałem być sobą, panem. Nie przewyższałem otaczających niczym a niczym. Ja ich – niczym! Jeśli chcieli, gardzili mną. Gdy byli nastroszeni wspaniałomyślnie, maczali koniec palca w wodzie i zwilżali moje zgorzałe wargi. Wówczas powinienem był wielbić ich, gdyż mogąc nie uczynili mi nic złego. Nie ratowała mię nawet rodowa duma, bo gdym w nią z rozpaczą bił pięściami, wydawała nie dźwięk miedzi, nie szczęk stali, nie wzgardę wszystkich, czym była przez wieki, tylko jęk twoich długich, mądrych wywodów. Wtedy to olśniła mię ta myśl, którą czczę teraz. Znalazłem w sobie skałę i na niej stanawszy uczułem moc w duszy i siłę w oczach. Przestałem być niewolnikiem i oczy moje nabrały blasku. Ujrzałem życie, ujrzałem je całe. Trzeba w sobie mieć wszystko, trzeba samemu dumną głową przewyższyć wszystkich, mieć w sobie młodą siłę, mocniejszą niżeli śmierć. Trzeba w swoich wnętrznościach nosić potęgę lwa szalonego, a o resztę wcale nie dbać. Powiedz no, waszmość, zaprzecz, jeżeli możesz, czy kiedy czułeś się bardziej człowiekiem niżeli wówczas na stepie podolskim, kiedyśmy właśnie tak czuli? Nic, tylko – my! My – to świat! Reszta

niech posłusznie milczy. Takież w tych samych miejscach był i twój Żółkiewski, kiedy króla i całą Rzeczpospolitą na ręku piastował. Byłóż co w twoim życiu lepszego niż owe noce nasze hulaszcze czasu kampańców pod Braławiem, powroty do obozu nad ranem z nocnych patrolów? W cóż się obróciły troski nasze, męki, *vulnera, vincula, exilium*? Nic z nich dla duszy. Tylko strupy hańby, wypomnienia zniewag budzą i dziś jeszcze po nocach. Tęskny w dumaniu nawrót wiedzie do tych rozkosznych futorów okolonych sadami wiśniowymi, które się tały w przestrzeni stepu. Do rozkosznych miłostek, do hucznych pijatyk, dzielnych harców! Gdy nam powiedziano radosne słowo powrotu, pierwsza moja myśl była: inne życie. Już mię surowe twoje obowiązki nie zmamią. Słyszysz waćpan?

– Słyszę dobrze.

– I nie myśl, żeś spodłał. Nie! To, co ty śnisz, to jest złudzenie, błąd za długi. Ze wszystkiego najgorsze jest to, że się sam zabijasz. Jedno jest złe na świecie – to śmierć. Wszystko, co jest życiem – jest dobrem.

Piotr obojętnie milczał.

– Gdy wróciłem – mówił książę – zastałem wszystko daleko lepiej, niżem sądził. Warszawa pusta – to prawda. Pusta i opuszczona jak stary cmentarz. Dziedzińce pałaców trawą zarosłe, okna wybite albo zasłonięte. I moje tam własne gniazdo takie samo. Ale za to materialne interesy nigdy tak nie stały jak dziś. Byłóż kiedy zboże w takiej cenie albo ziemia? Uszom własnym wierzyć nie chciałem, gdy mi komisarz wartość

kluczków przedstawił. Samo Grudno dwa razy tyle jest warte, a w trójnasób powiększyła się moja fortuna, osobliwie w Prusiech Południowych.

– W Prusiech Południowych... Skoro tak, to może i mnie łatwiej będzie odegrać rolę Cincinnata na twój koszt, mości książe... – rzekł szybko Olbromski.

Oczy jego świeciły się jak płomyki, a lica pały barwą ceglastą.

– Z ochotą... O cóż to idzie?

– Żołnierz, który mię z pola wyniósł na rękę, jest twój poddany, z twej wioski rodem. Służy teraz u mnie za huzara, za kucharza i podstarościego. Chciałbym mu się odwdzięczyć, a nie mogę, jakbym pragnął. Otóż...

Książę Gintuł patrzył mu w oczy ze skrytym złym uśmiechem.

– Uwolnić „obywatela”... jakże mu tam?... z poddaństwa, zrównać ze sobą, podnieść, uszlachcić...

– Niestety! nie tylko jego. Pragnąłbym zratować całą tę wioskę. Jest to włość nędzna i bardzo biedna. Pańszczyzna w takich warunkach... Właśnie wygotowałem na piśmie plan, obliczenie...

– Czyż możesz wątpić? Z największą gotowością każę rozpatrzyć wartość i jakość ich ziemi, znieść pańszczyznę, skoro sobie życzysz, oczynszować. Jedno tylko: majątek nie jest mój własny, mam braci i siostry nieletnie, toteż rada opiekuńcza będzie musiała potwierdzić moją decyzję. Dłużej to potrwa. Ale

będę w tym.

Olbromski dźwignął się z krzesła, jakby się chciał schylić do nóg księcia. Rafał, który z dala, bez ruchu, stał obok płotu przypatrując się tej scenie, uczuł na widok tego gestu pokory brata wściekły w sobie gniew i taki poryw dumy, jak nigdy jeszcze w życiu. Coś w nim wybuchnęło jak słup ognia. Nie mógł zrozumieć, skąd ta słuźalcza czołobitność w zimnym i wyniosłym oficerze, nie pojmował radości, która na twarzy brata jawnie się paliła.

Uczucie sympatii jego w tej sprawie było po stronie księcia.

Piotr, tak na poły stojąc z rękoma opartymi na poręczy krzesła, wołał:

– Michcik, Michcik!

W głosie jego było coś niebywałego. Oczy miał szeroko rozwarte i pełne łez. Rozchylone usta śmiały się wszystkimi zębami. Po chwili zwrócił się do księcia i prześliczną chudą ręką ścisnął jego kolano z szeptem:

– Dzięki tobie mam... mam na tej ziemi... jeszcze jeden dzień...

Michcik zbliżył się wyprostowany, z dłońmi wzdłuż bioder.

– Do nóg panu dziedzicowi!... Pan kapitan... książę... darował ci...

Zaledwie żołnierz zdążył schylić się i objąć kolana książęce, nowe uczucie zaświeciło w oczach Piotra. Ks. Gintuł z całej siły odtrącił chłopca. Wzrok jego był pełen gniewu i szyderstwa.

– Nie znoszę tych scen czułych! Wiesz chyba waćpan... Nie

jestem stworzony do bukolik. Szczególnie po tym wszystkim... Oto w tej chwili najbardziej żywo uczułem nienawiść do tego wszystkiego, czymś mię waćpan przejął swego czasu. Mam nieprzełamany wstręt do tych szlachetnych słabości, do owej dobrej niemocy, której tyle lat uczyłeś mię nie bez skutku. Zaprawdę, wstrętna to jest rzecz. Wierzaj mi, waszmość.

– Nie rozumiem... Zgoła nie wiem...

– Mówię – ciągnął książę porywczo – że moja zdrowa, wielka, silna rasa, a i twoja, przypuszczam, otrząsa się jak po emetyku, po owych ckliwych cnotach... Dusilem się zawsze, dziś ci otwarcie powiem, w owym powietrzu sejmu, a teraz to już do cna... Przekładam potęgę ducha, wolę, siłę, dumę, królewskość takiego prymasa Ponińskiego nad wasze ckliwe sentymenty...

– Cóż to za nierozważne słowa!...

– Gdym teraz patrzył na twoje oczy szczęśliwe aż do śmierci, zapalone po dawnemu, bo teraz już zagasty, najwyżej uniesione, jak tylko to być może, uczułem w sobie twoje właśnie dawne oczy, uczułem w sobie owe słabe i godne wzgardy obszary ducha, któreś zepsuł, zatrzał niskimi wzruszeniami. Takie szczęście należy się czemuś innemu. Takie wzruszenia winny poprzedzać dzieła Warneńczyka, Chodkiewicza, Sobieskiego... Cóż by człowiek był wart, gdyby ciągle chodził w twoich kajdanach obowiązku względem maluczkich, w dybach litości względem słabiusieńkich, współczucia względem cuchnących? Jakiż to czyn można wówczas wykonać? Powiedz... Czy można? Ty się tak radujesz, żeś chłopca wyprosił z poddaństwa, jakbyś góry

dźwignął z miejsca.

– Istotnie, moja radość nie ma granic.

– Z tego, żeś nie jego dźwignął, bo on zostanie sobą, tym, czym jest, ale żeś sam na dół zeszedł z wyżyny, na padół, na nędzny jego padół. Ty sam, który jesteś świat, zamiast iść ku wyżynie, zamykasz swe aspiracje w świeteczku Michcika czy kuchcika. Jemu samemu krzywdę czynisz, bo go dźwigasz, niesiesz na sobie. Wolę jego, siłę, potęgę ducha skazujesz na los wozu, który koń ciągnie.

– Słowa, słowa.

– Nie słowa. Gdy teraz spojrzę w świat, w mój świat, ogarnia mię duma, że do niego z krwi, z mięsa, z kości, z każdego włókna należę. Co za ludzie! Każdy inny, każdy odmienny, każdy sam w sobie jedyny na świecie, każdy zaiste – pan. Gdzież był kiedy na ziemi świat podobny? Samuel Zborowski, Łaski, Radziwiłły!... A Czarniecki? a Sobieski? Kto każdemu z nich kazał czynić to, co czynili? Wszystko ze wspaniałego serca... Każda do Rzeczypospolitej droga zawałona trupami ich, po dzikich polach pamiętki, od Warny po Wiedeń szlak drogi. Wyście to znieważyli pamięć tego świata, mędrkowie. Co gorsza, wyzwoliliście motłoch, żeby się ośmielił rękę podnieść na pany.

Twarz Olbromskiego targnęła się i prawa ręka zaczęła niecierpliwie szukać, macać koło siebie.

– Jesteś chory... więc milknę... – rzekł książę.

– Zraniłeś mię...

Tyle tylko Piotr wyrzekł, ale wzroku od księcia nie odwracał.

Oczy jego przybrały dziwny wyraz, który Rafał widział już ze drżeniem. Patrzyły jakoby wystygły popiół, w którym ani jedna już iskra utrzymać się nie może. Jeśli się roznieci, to zagasa po krótkim, po szalonym drganiu w sypkiej martwicy. Księżę rzekł patrząc mu prosto w oczy:

– Dowiódłbym ci, gdybyś zdrowie miał lepsze, że te twoje palladia były jak owa żaba Lafontena.

– Nie mów już więcej do mnie, mości panie... – cicho wykaszłał chory.

Księżę Gintuł leniwym ruchem dźwignął się z krzesła i rzekł przez zęby ściśnięte:

– Zdałbyś mi waćpan rachunek z takiego rozkazu, gdybyś oto mógł stać na nogach.

– Rachunek! – piorunującym głosem zawołał Piotr. – Rachunek zdać jeszcze jestem gotów! W tej chwili... Michcik!

– Toż widzisz chyba swój stan, że zabiłbym cię od jednego sztychu.

– Mam prawo wyboru. Dawaj pistolety!... Są świadkowie.

– Cóż za świadkowie? Nie widzę...

– Brat.

– A... pan brat. No, to pewno twój. Dla mnie łaskawie zostawisz „obywatela” Michcika.

Olbromski milczał dziwnie. Rzekł jeszcze z cicha:

– To żołnierz...

Wtem głowa jego upadła na poręcz. Twarz stała się blada jak masa gipsowa. Na wargach pokazała się krew, a pot kroplisty na

czole. Ciało poczęło drżeć. Suche oczy z wolna oglądały daleką przestrzeń.

Michcik, który stał ramieniem oparty o pień lipy, zbliżył się do swego pana i zaczął do niego coś mówić jakając się tak bardzo, że ani książę, ani Rafał nie rozumiał słowa. Po pewnej chwili, widać, kapitan dał znak schyleniem powiek, bo Michcik wsunął pod niego ręce, wziął go jak niemowlę i niósł do domu. Piękna głowa Piotra zwiśla na jego ramieniu. Rafał szedł za Michcikiem, sam nie wiedząc, co czyni. Książę pozostał na miejscu. Nie spojrział nawet za odchodzącymi. Gdy żołnierz wszedł do pierwszej stancji i był na jej środku, niespodzianie ostrym i dzikim głosem czegoś wrzasnął raz i drugi. Rafał przypadł do niego.

Michcik z wolna, ostrożnie upuścił Piotra na sofę stojącą pod oknem. Chory ukląkł na niej bezwładnie, siadł na nogach. Barki jego osunęły się na ramę otwartego okna, a głowa jak lity kamień odwaliła się i głucho wsparła o futrynę. Rafał zajrzał z przerażeniem w tę twarz. Ujrzał dolną wargę przygryzioną przez odkryte zęby górnej szczęki, uśmiech nieopisany zawarty w tych ustach – i oczy. Nieruchome przezrocyste źrenice patrzyły w staw czy pola. Patrzyły łagodnie i ciekawie z żałosnym przymileniem. Zdało się Rafałowi, że brat zapatrzył się w coś, jak to bywa czasu smutku, w barwę daleką, że się zaśłuchał w szmer ciekącej wody, że się może wmyślił w tajemnicze westchnienie serca, na rozstajne drogi zbłąkane... Ale oczy Piotra, patrząc tak w odłogi, zmierzchły, zastygły i skostniały.

Wątle jego ciało leżało bez ruchu jak porzucona przez wędrowca oponcza. Michcik troskliwie wsunął rękę pod bezwładną głowę i chciał złożyć zmarłego na sofie, ale Rafał oderwał jego rękę. Uczuł w sobie nagle tak niezgłębiony ból, jakby mu wilk rozszarpał piersi i wydzierał serce.

– Niech sobie patrzy... – zdołał wyszeptać.

Przyszła nań świadomość, że może zmarły brat jeszcze widzi ziemię i wodę. Może słyszy ostatni raz szelest liści i całuje go w mrokach ostatnim dreszczem serca...

Nabożna trwoga odezwała się w nim jak głos surowy, mówiąc w głębi ducha, że nie wiadomo, co w owej chwili odchodzący czyni, nie wiadomo, czy nie żegna się z polami, z pracą swą, czy się nie modli...

Odstąpili tedy obaj ze czcią i, z dala stojąc, modlili się sami w cichości. Ale wnet chłop począł łkać i stękać. Bił się w piersi twardą pięścią żołnierską. Sylaby, urywki słów pacierza wyłamywały się z jego warg szerniałych, jakby straszliwa, zaciekła groźba, jakby pozywanie na sąd i zaprzysięganie wobec życia. Wtem usłyszeli za sobą szcęk klamki.

Księżę Gintuł wszedł do izby. Cicho zbliżył się do zwłok kapitana, schylił się... Po chwili syknął jak po sparzeniu, strzepnął palcami i kazał Michcikowi położyć zmarłego na sofie.

Wkrótce zwłoki odziano w owo codzienne ubranie, gdyż nawet wojskowego munduru nie było. Szpadę tylko ze srebrnym feldcechem, zdjętą znad łóżka, położono mu u boku, a mały portret dowódcy na piersiach. Dwoma wytartymi miedziakami

przyciśnięto oczy...

Książę Gintuł siedział w zamyśleniu na krześle i przypatrywał się nieboszczykowi. Rafał wyszedł do drugiej izby, która zmarłemu za sypialnię i kancelarię służyła. Przysiadł tam na kufrze. Obiegły go teraz myśli innego porządku. Zaczął rozglądać się w rzeczach i uczuł łakomą żądzę posiadania rozmaitych sprzętów brata. Przede wszystkim rzucały się w oczy przybory myśliwskie, rzemienie, baty, dobre siodło... Pod oknem mieścił się stolik do pisania z szufladą zamkniętą na klucz. Ta właśnie szuflada zajęła imaginację Rafała. Ubierając zwłoki Michcik wyrzucił był z kieszeni klucz od tego stolika. Rafał widział ów klucz wypolerowany od częstego użycia, lśniący stalowym połyskiem, i czekał chwili właściwej, żeby go chwycić. Bał się jednak poruszyć, lękał głośniej odetchnąć... Na samą myśl, że książę Gintuł pocznie z nim rozmawiać w taki sposób jak z bratem, że zada jakieś pytania, czuł przestрах i chęć ucieczki. Tymczasem żądza zagarnięcia klucza i otworzenia szuflady, ciekawość, co też tam być może, paliła go i podrywała z miejsca. Wtem do izby wszedł znowu Michcik z parobkami w celu wysunięcia sofy na środek. Spostrzegłszy klucz na ziemi, podniósł go i oddał Rafałowi mamrocząc i wskazując gestem, że to jest klucz od stolika. Rafał natychmiast wysunął szufladę. Nie było tam nic ciekawego.

Trocha pieniędzy i papiery, przeważnie oficerskie, jak szarże, ordynanse, rozkazy, plany, mapki piórem rysowane i listy. Był także osobny zeszyt z grubego papieru, oprawiony w zieloną

skórę, w którym kilka pierwszych stron było zapisanych ręką zmarłego.

Wszystkie te papiery Rafał złożył systematycznie, związał sznurkiem i postanowił zatrzymać dla siebie. Pieniądze wyspał do kieszeni z niemałym zadowoleniem. Był tak zajęty gromadzeniem spadku, otwieraniem szafy i kuferka, a nade wszystko rozpatrywaniem rzemieni, że ledwie spostrzegł, kiedy książę wyszedł i odjechał. Wówczas zlustrował dom cały. Niektóre rzeczy wspomniałomyślnie darował Michcikowi, inne parobkom, kilka przeznaczył w myśli dla matki i sióstr. Zajęcia tego rodzaju zabrały mu cały czas aż do zmierzchu.

Ściemniało się, kiedy z kościoła w Grudnie, odległego o wiorst kilka, przywieziono, widać na polecenie księcia Gintułta, świece kościelne i babę-trupiarkę. Wnet zapalono świece osadzone w wysokich czarnych lichtarzach i ustawiono je dwoma rzędami obok ostatniego posłania mieszkańca tego domu.

Wóz odjechał z powrotem. Słychać było klekot jego kół, oddalający się w głębie mroku... Michcik urządził Rafałowi łoże w spichlerzyku, zupełnie pustym w tej przednówkowej porze. Rozłożył tam wiązkę siana świeżo zwiezonego z łąki, zaściął je pościelą. Ale Rafał nie myślał o spoczynku. Siedli obadwaj z żołnierzem we drzwiach spichrza, jeden na wysokim progu, drugi na klocku drzewa, który za stopień służył, i nie mówiąc do siebie patrzali w noc. Jarzące światło biło z okien dworku. Umilkło wszystko, nawet psy nie szczekały w wioskach

sąsiednich.

Zrazu, po zachodzie słońca, panowała ciemność zupełna. Nad wzgórzami, które za dnia widać było w głębi horyzontu, wisiały teraz ciemne osłony nieruchomych chmur. Tylko woda słabo lśniła od poświaty gwiazd błyszczących w zenicie. Około północy nad owymi spiętrzonymi chmurami ukazał się brzask wschodzącego księżyca. Zarysowały się brzegi ciemnych obłoków i wyniknęły niezliczone ich pokłady, a między jedną a drugą bryłą jakoby poprzeczne doliny w niezmiernych górach. Dalekie przestrzenie, otchłanie i wysokości ukazały się oczom w tej odległej jakoby ziemi. Złoto-biała obwódka, zrazu niejasna i pełna lęku, poczęła się na szczycie obłoku. Wkrótce stała się świetlista i silna niby namiętny, daleki, daleki śpiew... Pierwszy nadmierny jej błysk zważył się na cyplu i rozpędziwszy ciemności zleciał w głębokie doliny między chmurami. Wówczas przedziwna łuna rozświetliła gnuśne obłoki, ukrytą ziemię, lasy, pola, pustkowia i wszystkie tajemnice nocy. Wolno wypłynął księżyc na firmament bez skazy. Skroś rozległej powierzchni stawu strzeliła pręga ognista, drżąca, jakoby droga daleka, droga grubym szczerozłotem wysłana do onego przedwiecznego kraju gór. Solenna cisza nocy stała nad tym szlakiem, płonącym w nocnej głębi. Olchy wybujałe schylały się ku niej spod nieba, patrząc weń przerażonymi gałęzmi. Nadbrzeżne wierzby, stojąc w promieniu księżyca, odbiły w wodzie wizerunki swych pniów strupieszających z zielonymi głowami. Ani jeden wietrzyk nie dotknął wody, ani jeden powiew nie udźwignął schylonych

mieczów tataraku. Chwilami lustrzaną toń rozdzierały ostre skrzela grzbietowe okonia. Wrzynały się jak piła w złocistą drogę. Kiedy niekiedy plusnęła płotka igrając z radosnym blaskiem księżyca. Cieszyła się, gdy szły od niej wolno, rytmicznie i jakby przez sen kręgi lekkie, nicestwiejące, obciążone grubym, falistym złotem, i znikąca w żywiole ciemności. Widać było muchy wodne na szcudlastych nogach z wielkimi stopami, deptące jedwabną głębinę, i daleki, daleki kwiat lilii wodnej, nieruchomo śpiący na brzegu szerokiego liścia. Kropla rosy nocnej świeciła się w złotym kielichu lilii jak żywa gwiazda.

Czasem z zarośli, z szuwarów, z gąszczów olszowych wydobywał się nieuchwytny głos, echo radości, rozkoszy, rozpaczki, walki, głos nie wiadomo czyj... Czasem zlatująca woda wydała dźwięk głębszy, który przepłynął okrąg i coś mu nakazywał czy głosił. Słuchacze nastawiali uszu, żeby pochwycić jakowyś szmer spod fal... Ale już wówczas cisza była wszędy aż do następnego momentu, kiedy znowu we śnie westchnie woda...

Rafał wyjął z kieszeni książeczkę oprawioną w zieloną skórę z wyciskany złotym brzegiem, otworzył ją na pierwszej stronie i przy jasnym blasku księżyca czytał pismo brata.

„Został poza mną ojciec i poza mną została matka. Jestem sam i sam idę, podobnie jak same jedne odchodzą za bramy cmentarne zwłoki człowieka.

Oto w mrokach nocy kołatała się głowa moja po wezglowiu, a w niej wałęsały się myśli, niby kroki

obłąkanego człowieka, idąc i powracając od ściany do ściany, bez końca, po izbie nędzy i nicości.

Najlepszy towarzysz i ostatni przyjaciel, sen, błąka się bosymi nogami dokoła mojej pościeli, schyla się nad ciągle trzeźwą, nad nieustannie otwartą źrenicą i, wzdychając boleśnie, odchodzi, z cicha szumiąc sukniami cieńszymi niż włókna pajęczyny.

Zeszła na mnie straszliwa niemoc: fizyczne cierpienie duszy. Zamieniłem się w byt obcy samemu sobie, nieistniejący w naturze, zbłąkany w zewnętrznym świecie. Jestem jak świat sobie samemu nieznany, przemierzły dla rozumu człowieka. Jestem jak świat, który by się stał samym tylko i dla swego celu istniejącym cierpieniem.

Ty się ze mną pozostań!

Jako cel mojego krzyku byłeś wówczas, gdy w dniach utrapienia ludzie poczęli zostawać za mną, jedni z obojętnością zdrową dla nich, a twardą dla mnie jak rzemienny bat, a inni ze współczuciem przystającym, gdym się nie spodział, a inni z miłosierdziem, które wylewa krynice dobrych łez, ale nie ma siły wyteńczyć kroku, i ci wreszcie, ostatni, którzy szli za mną trop w trop na górę udręczenia, dopóty aż się na poły umarli, bez sił i tchu, u stopy mojej wiecznie idącej, twarzą w proch walili ślad mój całując.

Odrza spadła na moje oczy, błędzące po ziemi z cypliska góry udręczenia. Ten cudny świat mojej młodości zmienił się w wydmę piaszczystą. Boli mię szelest liści, nęka zapach kwiatów, dokucza mi widok zorzy porannej i zorzy wieczornej. Usłyszałem cichy szelest godzin nieżywych.

Usłyszałem cichy krok rozpaczającej idącej ku mnie...

Ratuj mię, o Przyjacielu duszy mojej!

Miałem Cię koło siebie wśród świstu ołowianych kul, wpośród trzaskania granatów z żelaza, pomiędzy błyskiem schylonych bagnietów, w szczękę szabel i lanc pędzącej konnicy, gdy oszalałe żrebce trzęsą się i stękają, a zdrowy i tęgi żołnierz dygoce na całym ciele.

Gdy góry ołowiu zwały się na moje piersi, a ogień zapłonęły we włosach, uczułem Cię w oczach pełnych żółtej ciemności, jako światło przychodzące.

Gdy myśl niewymówiona, sama siebie stwarzająca, jedyna, straszna strasznych żywota: – Oto umieram! – przebiła na wskroś moją głowę, poznałem Cię, o Bracie, stojącego w głowach moich...

Tyś wezwał chłopca z szeregu, który w popłochu uciekał, żeby się twarzą w twarz przeciwko idącej śmierci obrócił. Tyś włożył w jego piersi męstwo nadludzkie, na jego rękę udźwignąłeś mię z ziemi.

Tyś to uczynił, któryś jest Bóg, czyli Miłość.

Czemużeś przed wiecznością zamyślił ten uczynek, a wtedy go wykonał?

Czemużeś się uniżył aż do ran moich wylewających krew zropiałą, aż do wzdrygnięć i tchórzliwych skuleń ciała, do wstrętnego cierpienia, do przestachu rozsiewającego milczenie, do potu zmazującego czoło i do nikczemnych łez?

Czemuż skinieniem błogosławionym oddaliłeś śmierć, a jednym chłopskim spojrzeniem i jednym pogłaskaniem uciszyłeś wszystką burzę męczarni?

Ty wiesz, Ty jeden wiesz, jak było żywym pierśmiom oddychać powietrzem, a zbudzonym oczom patrzeć na świętą wolę dusz w łykach.

Ty wiesz, że lepiej by głowie mej było na skrwawionych kościach w pospólnym dole...

Dzisiaj, gdy uspokoiony leżę beczynn timer, tylko senne i nędzne przeczucie mówi mi o Tobie. Jestem jak uciszona woda stawu, w której odbiło się niebo z jego wichrzatymi chmurami i z jasn timer otchł timer lazuru. Ale jak przemija odbicie chmury w toni stawu, tak ucieka przeczucie z duszy mojej, i tylko ciemność bardziej okrutna niż kiedykolwiek przenika ją aż do samego dna.

O, Boże, którego stopy dotkn timer żrenic timer i ustami spalonymi przez męczarnie, ukaż raz jeszcze trzeźwym oczom powszedniego dnia bytowanie Twoje.

Wyrwij z piersi przebiegłe zw timer pienie i chytry rozmysł, które się unoszą w kole widnokręga, a wracają nie do mózgu, lecz do serca, i wał timer się w spracowane, cięższe od głazu, na podobieństwo westchnienia.

Wyrwij z serca westchnienie, które w nim leży cięższe od głazu, i daj mu odpocząć u stopy Twojej, jak w dniach płomiennych pozwolił timer odpocząć krzykowi rozpaczy.

Ty, który mocen jesteś uczynić to, coś uczynił, wyrwij z serca niewiern timer myśl i wlej w nie błogostawion timer potęg timer ciszy i zaufania.

Niechaj się raz jeszcze rozraduję w mił timer jednej, pospł timer z Tob timer, niech wyznam na łonie Twoim krzywd timer m timer i niechaj zazna serce moje wiecznego spokoju na Twoim sercu, któryś jest Bóg, czyli Mił timer...”.

Drzewa w Grudnie

Cały dzień następny zeszedł na załatwianiu spraw dotyczących się pogrzebu. Michcik ruszył do miasta Włoszczowy po trumnę, a Rafał do proboszcza w Grudnie. Tam jednak wszystko już było zadysponowane przez księcia. Rafał dowiedział się tylko, że zwłoki mają być tego jeszcze dnia przeniesione do kościoła. Wrócił tedy do Wygnanki i zajął się wysłaniem listu przez umyślnego do rodziców. Nim napasiono konia i nim się sam goniec odpowiednio najadł a wypytał o drogę, nim wreszcie Rafał list obmyślił i wystylizował, miało się już ku wieczorowi. Deszcz, który zaczął być padać około południa, lał strugami. Michcik, przemokły do suchej nitki, wrócił z trumną i ułożył w niej na wieczny spoczynek ciało swego pana a towarzysza.

Ledwie to wszystko było załatwione, wpadło na podwórze ze sześć pojazdów, kilka bryk, bryczek i wozów. To książę Gintuł z całą swoją rodziną i dworem przybył dla asysty w czasie przewiezienia do kościoła zwłok kapitana. Rafał był tak oszołomiony mnóstwem tych niezwykłych figur, że ledwie zdołał wyleźć ze swego spichlerzyka. Przed oczyma jego wyskakiwały z karet, bastard i powozów młode i stare, prześliczne i paskudne kobiety, wspaniali panowie... Wszyscy z przybranym wyrazem najgłębszego uszanowania wchodzili we drzwi niskiego dworu. Był także proboszcz z organistą i służbą kościelną.

Dzień się już kończył, więc hajduki, służba leśna, stangreci

i lokaje zapalili smolne kagańce. Przy blasku posepnych płomieni, ze śpiewem kościelnym wyniesiono trumnę. Wśród dziedzińca stał prosty, czterokonny wóz, wysłany słomą i okryty wielkim kobiercem. Na nim ustawiono i przymocowano powrozami trumnę. Ksiądz zakasawszy poły sutanny ruszył przodem. Za nim szli ludzie z pochodniami. Tuż przy trumnie brnął ksiązę Gintułt, za nim owe piękne i brzydkie panie. Szaty ich brudziły się, a nogi tonęły w błocie rozmięklej drogi. Mimo to żadna do powozu nie wsiadła. Dopiero za tą wspaniałą czeredą szedł z dala onieśmielony Rafał. Przy nim Michcik. Gdy orszak pogrzebowy mijał wieś, wychodzili z chat chłopci w brudnych koszulach, w zgrzebnych wystrzępionych portkach, baby we wstrętnych krótkich spódnicach, kołtuniaste, półnagie dzieci. Wszystko to z otwartymi ustami dziwowało się patrząc na wspaniały pochód, a dopiero gdy ognie były już daleko, wioska ruszyła się i postępowała w dali od pańskiego orszaku. Za nią droga zniżała się między dwie lesiste góry nad rzekę i brzegiem jej ciągnęła. Był to w owej chwili szlak błotnisty, porznięty wyrwami, a tu i owdzie zawalony mnóstwem kamieni. Mimo to wszyscy wytrwali w pochodzie. Ubłoceni do kolan, w nocy już zbliżali się do Grudna. Deszcz nacichł, choć szemrał jeszcze.

Gdy orszak zbliżał się do alei grudzieńskich, Rafał szedł tuż obok pańskiego tłumu. Ośmielił się. Głowa jego była pełna niedorzecznej pychy z tego tytułu, że to on właśnie, na którego nikt uwagi nie zwraca, jest rodzonym bratem tego, komu takie honory czynią. Pragnął w jakiś sposób dać znać

o sobie, zwrócić uwagę... Odzywał się półgłosem do Michcika, pytał go o różne szczegóły, dawał zlecenia. Żołnierz podnosił wówczas głowę i blade, osłupiałe oczy wlepił w niego, coś tam mamrocząc. Na twarzach większości pań i panów malowała się szczerą wściekłość, gdy trzeba było brnąć w poprzek bajorów nigdy niewysychających. Szczególnie jedna podstarzała dama, zachlapana, z rozkreconą fryzurą, zmokła, rzucała naokół takie spojrzenia, że mogłaby nimi zabić najsilniejszego. Książę Gintuł szedł sam na przedzie, z głową podniesioną. Przebywał najgłębsze bagna nie wiedząc o tym, zatopiony w myślach.

Nareszcie droga polepszyła się. Szła w górę, ku kościołowi stojącemu na szczycie pagórka. Po obu stronach szerokiego traktu stały przedwieczne lipy, nadwiślańskie topole, graby, klony, dęby i buki.

Teraz, gdy w ich wnętrza, wrywając się z kłębow siwego dymu, padały migotliwe blaski pochodni, zdawały się być podwójnie wielkimi. Konary, gałęzie, różgi, czuby ich sięgały do czarnego nieba, a liście szemrały w chmurach. Była nieskończona potęga w owych widłach, odnogach, trój- i czterozębcach, w splotach gałęzi wyteżonych ku niebu, w owych jakoby barach, piersiach, plecach, ramionach i rękach, które coś dźwigają...

Ale nade wszystko – była potęga w ich szeleście.

Jedno z tych prastarych drzew, ogromna płacząca brzoza, zwieszało się całym kadłubem nade drogą, a korona jego, bogata w ogrom liści, schylała się ku ziemi jak kudłata głowa

chłopa-starca. Gdy wóz otoczony latającymi blaskami wjechał pod nie, zaszemrało... zaszemrało... Wyszedł z jego głębokiej czeluści sykliwy, przestraszony szelest, półszept, zbudzonych ze snu i zdumionych liści...

Rafał zląkł się i zadrżał.

Ach, jakże straszny, jak nieopisany głos był w tym szeleście!

Ale wnet gwara schylonego drzewa została się w mroku, korona jego cofnęła się i ukryła. Teraz inne przemawiały z wysoka. I dziwna rzecz! Jedne wchłaniały w siebie wieść o widoku, wlokącym się u ich korzeni, z zimną wzgardą, inne z obojętnością najgłębszą, z obojętnością świadomą swej głuchej i ślepej siły, a były przecie i takie, co płakały jak żywy, czujący człowiek. Serce Rafała dźwignęło się i podniosło ku owym drzewom. Ogarnął spojrzeniem wyniosłe gałęzie... Pnie zielone jak trawnik od dawnego mchu, albo obwieszane mnóstwem drobnych gałązek, jakoby dziady zgrzybiałe, obsiadłe przez prawnuki... Pnie pokryte splotami sznurów kory, zbruzdzone, o barwie deszczu i szarugi... Rózgi chwiejące się pod niebem...

Wtedy nagle pojął, że już nie żyje dobry brat Piotr. Z mozołem przypomniał sobie chwilę, która przed nim jak chybka mysz uciekała, chwilę, gdy patrzył na bezwładne oczy brata. Dusza jego wcieliła się w ów moment, weszła tamtędy w niewiadome, tajemne, nikomu nieznanne powiaty...

Wtem ktoś na jego ramieniu lekko oparł rękę. Rafał otrząsnął się i ujrzał przy sobie księcia Gintułta. Młody pan przypatrywał mu się uważnie.

– Wszak nie myślę się – rzekł – waćpan jesteś bratem zmarłego kapitana Olbromskiego?

Rafał ledwie zdołał wydusić z siebie głos:

– Tak jest.

– Proszę mi powiedzieć... waćpanowie macie jeszcze rodziców żyjących?

Znowu:

– Tak jest...

– A czy waszmość dałeś im znać?

– Tak jest.

– Żałuję, że to mi nie przyszło na myśl. Trzeba było lepiej poczekać.

– Zaczekać z pogrzebem na rodziców?

– Zaczekać... z pogrzebem...

– O, rodzice prawdopodobnie nie przyjechaliby na pogrzeb – wypalił Rafał.

– A to dlaczego?

– Bo są wiekowi... A zresztą.

– A zresztą co?

– A zresztą... mieszkają daleko.

– Tak. No, a waćpan po pogrzebie dokądże masz zamiar udać się? Czy do domu?

– Nie, broń Boże!

– Nie? I... broń Boże?

– Proszę księcia pana... my obadwaj z bratem nieboszczykiem...

– Cóż takiego?

Rafał zająknął się i teraz dopiero ujrzał w głowie głupstwo, które niósł na języku.

– Proszę waćpana po pogrzebie do mego domu – rzekł książę uprzejmie, patrząc zresztą gdzieś daleko. – Chciej uważać Grudno za dom własny... Zupełnie jakbyś był u brata. Zabawisz, dopóki zechcesz, odjedziesz, kiedy zechcesz...

Odchodził już, gdy wtem wrócił się jeszcze i dodał z uśmiechem:

– Możesz to napisać, jeśli wola, rodzicom, że miałem z Piotrem rachunki pieniężne. Winien mu jestem. Waćpan tu staniesz jako sukcesor? Nieprawdaż?

– Tak, mogę... – wybąknął Rafał.

– A więc właśnie, będziemy się rachowali... Zostań tedy w Grudnie.

Książę przywołał do siebie skinieniem jakiegoś podstarzałego szlachciurę, wskazał mu Rafała i wydał jakieś zlecenia.

W tej samej chwili pomiędzy drzew na szczycie wzgórza wyłamał się dźwięk dzwonu za umarłych. Żelazne serce uderzało w bok spiżowy. Ciosami coraz mocniejszymi wyczyniało ze srogich dźwięków, z martwego głosu przerażające miamlanie, słowienie tej nazwy, która mocniejsza jest nad dzień i noc, nad przestrzeń niedościgłą myślami ludzkimi, nad słońce, księżyc i gwiazdy...

Dworzanin

Pałac grudzieński leżał w głębi starego parku. W końcu siedemnastego stulecia jeden z książąt Gintułtów założył był tę siedzibę na wzór francuski. Z biegiem lat rozrost wielkich drzew zniszczył dawną symetrię ogrodu, a tu i owdzie gaje młodej leszczyny wtargnęły nawet w ulice, gracowane niegdyś z pilnością. Pałac, przebudowany na fundamentach starego zamczyska, otaczały zbiorniki spleśniałej wody. Mury jego były kilkułokciowej grubości, szczególnie na dole, gdzie pozostały izby sklepione jak w więzieniu i okna zakratowane. Grube, ukośne szkarpy, niby potworne nogi, grzęzły w podstępnych wodach starej, głębokiej, obmurowanej fosy. Piętro dopiero, z korynckimi kolumnami i architrawem ozdobionym sztukateriami, było dziełem czasów nowszych. W chwili kiedy Rafał zobaczył pierwszy raz ten dumny pałac, ściany były mocno zdrapane, figury otłuczone, kolumny czarne i ogołoczone jak słupy wiorstowe. W głębi parku kryły się tu i owdzie między drzewami murowane i drewniane domki, ozdobne i kształtne. Jeden, z takich marszałek przeznaczył młodemu samotnikowi na mieszkanie.

Była to chatka o jednej izbie, z wejściem w stylu gotyckim i oknem jak w kaplicy. Nade drzwiami stało w niszy popiersie Wenus z zielonymi oczodołami i utraconym nosem, osłaniającej wstydliwie łono zapleśniałe i mchem wilgotnym porośłe. Tuż

ciągnęła w gąszcze szeroka, błotnista droga. Nad dziwnym domkiem wznosiły się sokory, lipy, a za oknem zwieszała aż do ziemi gałęzie przecudna, wyniosła brzoza. Wprost z tegoż okna widać było głęboką aleję, która dokądś, jakby w ziemię, zanurzała się i kryła. Rafał nie mógł od niej oderwać oczu. Nigdy nic podobnego w życiu swym nie widział. Bardziej niż pałac, niż przepych książęcego dworu przemówił do niego magnackim urokiem ten szpaler. Kiedy młody samotnik pierwszy raz wszedł tam, z cicha stawiając nieśmiałe kroki, otaczał go lęk rozkoszny w swej natarczywości, prawie bolesna żądza poznania tajemnic tego miejsca, przywłaszczenia sobie wiadomości o tym, co tu było.

Głębokie marzenia wypływały z cieniów tych drzew i, przemieniając się niemal w kształty, w osoby prześlicznych kobiet, niemal w figury dziewic z cudnymi włosami, cicho idące po twardej, gliniastej ziemi, znikwały od uderzeń zimnego rzutu oka. Drzewa nad tym ciennikiem i w głębi parku, z dala stojące głuchym, dumnym, uprzywilejowanym zastępem, zdawały się nie rosnąć, nie wznosić, nie dźwigać z tej ziemi, lecz na skrzydłach lecieć ku niebu. Śliskie, pręgowate pnie grabów o barwie zmił strzelały w górę, wyginając się wężowo jak gibkie i zwinne race, które pod chmurami rozpryskują się w deszcz liści, w płomyki konarów.

Prawdziwie w chmurach były ich wierzchołki. A lipy! Lipy, z których każda miała kilkaset lat, o pniach zakutych w kolczugi grubaśne, powleczone ze strony północnej siwą patyną mchu.

W jednym miejscu stał dąb zwany „łabędziem” dla kształtu pnia wygiętego jak szyja ptasia. Ogromna dziedzina jego zasepionych konarów, gałęzi, prętów i liści rozepchnęła knieję brzoź, sokór, brzostów, topól i lip. Oczy ze czcią i pokorą spoczywały na jego pniu, bulwach, gnatach, sękach, jakichś potwornych ranach i bliznach.

Do tej alei spływało z góry światło zielone, jakby do groty lodowca Rodanu.

Pierwszą noc Rafał spędził wśród uczuć najdziwniejszych. Położenie w liczbie uczestników tego dworu nabawiało go trwogi i niepewności, a zarazem ten cały rozhlukany, a tak nowy świat ciągnął ku sobie z nieprzełamaną siłą. Dopiero nad ranem usnął snem twardym. Gdy się obudził, znalazł koło swego łóżka tackę z przyborem do kawy i z bułkami. Kawa była wystygła, ale Rafał pochłonął ją żarłocznie. Obawa trzymała go na miejscu, więc przed samym sobą udawał, że jest senny, znużony, choć pragnął zetknąć się z owym światem, ujrzeć go i poznać. Kiedy tak wahał się i namyślał, oszklone drzwi uchyliły się i wsunął przez nie głowę kozaczek w suto szamerowanej liberii. Spostrzegłszy, że Rafał nie śpi, wszedł do izby i rzekł:

– Pan marszałek kłania się i prosi do obiadu...

– Do obiadu? – krzyknął śpioch z przerażeniem.

Chłopiec uśmiechnął się chytrze i dodał:

– Zaraz będą podawać.

Rafał wyskoczył z łóżka i zaczął się gorączkowo ubierać. Wkrótce był gotów i z niecierpliwością tysiiąc razy szarpał na

sobie, poprawiał, obciążał i czyścił zniszczone odzienie.

Widział w oddali, naprzeciwko pałacu, stoły zastawione pod cieniem dębów tak grubych, że ledwie czterech ludzi objąć by zdołało ich pnie, a tak rozłożystych, że rzucały cień na ćwierć dziedzica. Uwijało się tam kilkunastu lokajów w liberyjnych frakach, kozaków w pąsowych kabatach z galonami i herbowymi blachy, biegali pacholki i kuchciki. Wkrótce ozwał się dzwonek, i z rozmaitych stron, a przede wszystkim z pałacu, pociągnęło ku stołom kilkadziesiąt osób.

Chłopak, zahukany w domu i szkole, wprost drżał na myśl, że ma się złączyć z tym obcym mu tłumem, ale jednocześnie prostował się i przybierał pozę „równego wojewodzie”. W pewnej chwili głośno otworzył drzwi i poszedł śmiało ku stołom. Nikt na niego uwagi nie zwrócił. Panował tam gwar jak w ulu. Słychać było śmiechy, okrzyki i wesołą rozmowę, przeważnie w języku francuskim prowadzoną. Usłyszawszy te dźwięki ledwie zrozumiał Rafał ścierpł w głębi. Za chwilę zbliżył się już tak, że zaczęto zwracać na niego uwagę. Ten i ów rzucił okiem i ani myślał przerywać rozmowy. Jednej twarzy znajomej! Od grupy do grupy Rafał posuwał się dystyngowanymi półzwroty, z uśmiechem głupio-niedbałym, prezentując swój wyszarzany kostium. Ani jednej twarzy znajomej!

Miejsca zajmowano z hałasem, wśród wesołych śmiechów, spojrzeń wiele mówiących i żywej rozmowy. Rafał błyskawicznie przeczuwał ostatnią chwilę, która miała nadejść za mgnienie oka: stojący sam jeden zostanie poza krzesłami! Cóż wtedy?

Krew mu uderzyła do głowy... Zostać między lokajstwem... Czy z powrotem wracać do swej kryjówki?

Głowa mu pękała z rozpacz: nie widział już nigdzie miejsca wolnego! Wreszcie, gdy owa ostatnia chwila nadeszła i gdy w rzeczy samej ze stojącymi włosami i oczyma krwią zalanymi szedł omdlałym krokiem poza plecami osób siedzących, ktoś się podniósł przy drugim końcu stołu i jął go wskazywać lokajom. Rafał odetchnął. Wkrótce siedział już na krześle i zatopił oczy w talerzu. Słyszał tylko huk w głowie i bicie serca. Nierychło podniósł łyżkę do ust. Zrazu tak miał wzrok zmacony, że gdyby naprzeciwko siedział znajomy, nie byłby go poznał. Kiedy się nieco z położeniem oswoił, zaczął wodzić oczyma po tłumie. Przede wszystkim uderzyła go obecność kobiet o rysach jakby cudzych, twarzach ciemnych, smagłych, oczach czarnych i płonących, kobiet bardzo pięknych i porywających ku sobie. Damy te były wystrojone i mówiły po francusku, toteż Rafał domyślił się, że to muszą być owe „emigrantki”, na które tak wyrzekała kołtuniasta szlachta po dworach. Obok jednej z Francuzek, a najpiękniejszej, bokiem do niej siedział książę Gintuł Oczy miał utkwione w twarz tej sąsiadki, a na wargach uśmiech, który Rafałowi wydał się szczególnie sympatycznym. W bliskości siedziały siostry księcia, podobne do niego bardzo, szczególnie trzecia, ostatnia z brzegu. Była to jeszcze dziewczynka, jeszcze nie panna, lat może szesnastu. Przynajmniej robiono z niej młódkę.

Miała włosy jasne, tak jasne jak ziarno dojrzałej

sandomierskiej pszenicy. Przecudne, subtelne rysy, proste a wykwintne, drgały ciągłym śmiechem. Oczy szafirowe, czyste i ogromne jak firmament, otwierały się ze zdumieniem, wlepiły bez ruchu w twarz starszego brata, z którym nieustannie szeptem rozmawiała – i oto dawał się słyszeć wybuch śmiechu tak niepowstrzymanego, że cały stół wpadał w wesołość, sam nie wiedząc czemu. Chuda Angielka, siedząca obok tej ślicznej blondynki, zwracała wówczas swą długą głowę i na chwilę śmiech paniński przycichał. Obydwoje, brat i siostra, przybierali uroczyste miny, żeby za chwilę zwrócić na się oczy pełne wrzątku wesołości. Jeden jakiś wyraz, dźwięk cichego słowa wyrywał nową kaskadę, nowy, jeszcze bardziej głośny wybuch. W pewnych momentach, gdy śmieszka najbardziej zanosila się swym przecudnym cha-cha-cha, ksiązę Gintuł odwracał z trudem oczy od swej sąsiadki i wesołe, wilgotne od wzruszeń źrenice zwracał na rozbawioną siostrę z szeptem:

– Eli...

Nie wiadomo wszakże było, czy potępia tę zbyt głośną wesołość, czy tylko prosi uprzejmie zebranych, żeby piękna jeszcze długo mogła się tak śmiać bez przeszkody. Ale nie tylko brat księżniczki miał w oczach ów szczególny wyraz. Wszyscy, na kogokolwiek Rafał zwrócił ukradkiem spojrzenie, byli zajęci jedną jedyną sprawą – właśnie owym radosnym weselem dziewczęcym. Na pozór wiodąc między sobą stateczne rozmowy, wszyscy mężczyźni, widać to było w ich twarzach, myślami i uczuciami krążyli obok prześlicznej. Dla jednych było

to skrytą rozkoszą, dla innych skrytą boleścią, a dla wszystkich oderwaniem się od spraw, którymi na pozór żyli. Nawet starzy ludzie nad czymś głęboko dumali. Odraza i głuchy na wszystko zabójca-żal marszczył ich czoła. Cóż warte było życie całe? – mówiły te zmarszczki: – po co istnieć tyle lat, skoro się wiek swój cały spędziło bez tego, co jest wszystkim, bez niej? Na twarzach młodzieży leżała bladość męki. Rafał uczył, że jest w jakimś zamkniętym kole, które sekretnie дума i z rozpaczą śni. Jakoby muzyka niedosłyszalna, tajemnicza, przepływała wskroś tego grona potęga, władza, tyrania piękności. Każdy ruch dziewczątka odbijał się w oczach patrzących jako uniesienie. Ruchy te były niewysłowione. Odzwierciedlało się w nich wszystko życie duszy. To, co każdy człowiek chowa w zamkniętej skrzyni, u niej stało w oczach, w ustach, na czole, w drgnięciach brwi i ust. Była samym weselem i dreszczem szczęścia, a biegł od niej na ludzi smutek i udręczenie.

Rafał nie widział wcale, kto siedzi przy nim. Jeszcze nie ukończył zanoszenia z sakramentalnym namaszczeniem zupy do ust, gdy wtem gruby głos zaskrzeczał tuż nad jego uchem:

– A cóż u Boga Ojca tak asan wodzisz za tą łyżką oczyma, jakbyś się bał, żeby ci jej ręka do ucha nie zaniosała?

Młodzieniec podniósł oczy i ujrzał obok siebie długie oblicze z włosami i wąsiskami zwieszającymi się z niego jak z buńczuka.

– Jesteś asan, jak słyszę, bratem onego, Panie mu ta świeć, filozofa z Wagnanki, Olbromskiego.

– A jestem.

– Pięknie u Boga Ojca brat waści gospodarzył na tej wioszczynie, nie ma co mówić!

– Jak to?

– A tożem patrzył, bo obok niego na Polińcu od lat siedzę. Chłopów, farmazon, rozpuścił, rozamorował, że mu na pole wychodzili jak z łaski, i koniec końców do garnka nie miał co włożyć.

Rafał wrzał wszystkim od niewymownej złości, która nie mogła wydobyć się na zewnątrz. Milczał z oczyma wlepionymi w pusty talerz.

– Cóż asan milczysz? Prawdę mówię, choć i gorzką.

– Ja nie wiem, czy to prawda.

– Nie wiesz. No i pewnie. Wąsów asan całych nie masz, to skądżebyś miał znać się na całej prawdzie! Ale nie o to idzie... Słuchaj no, mości panie, gdzież to zamierzacie podziać owe graciny nieboszczyka ze dwora, choć ich ta tyle, że by żydowska koza uciągnęła? Zabierzecie toto w Sandomierszczyznę? Widziałem tam chomąta, siodło, rzemienia fornalskiego coś niecoś. Kiepskie to wszystko, ale jakby niedrogo, to bym kupił. Mówili mi tu, że to niby asan dysponujesz, jak i co.

– Zabierzemy do domu.

– A to zabierajcie wnet, bo ja w tych dniach dwór zajmę.

– Waszmość pan niby?

– A ja. Cóż się wasanu nie widzi? Ja, Chłuka z Polińca. Tak wasan napisz do swoich, że Nikodem Chłuka z Polińca bierze onę Wygnankę od księcia w dzierzawę. Folwark gałgan, ale że to

blisko... A i o te chomąta się spytaj, to bym kupił, jeśli niedrogo, młynek bym to samo kupił, a nawet i te szkapska...

– Ja napiszę, a teraz wszystkim się opiekuje Michcik.

– He, opiekun! Faworyt... Dawno ja na tego draba mam chrapkę. Czapki gałgan nie zdejmuję ze łba przede mną. Folwark waści brat rozpaprał, chłopą zepsuł na nic...

– Folwark nieboszczyk rozpaprał! A ziemię to kto darł spod jałowców?

– Widzicie, jaki to asan masz rezon w potrzebie! A nawet powiem: prawdę ci się udało chwycić za uszy. To jedno ten nieboszczyk, Panie mu ta świeć, zrobił. Chłopa zepsuł na nic, ale to do odrobienia, to ta już moja rzecz. Co zaś do ziemi, to nie można powiedzieć: wyprawił ziemi niemało! Gdzie dawniej, jak ludzie zapamiętają, trznadle się jeno gziły, teraz owies jak mur.

– A staw to nie brat wyszlamował? Młyn puścił, upust wystawił, rowy porznął?

– Nawet i to, powiedzmy, prawda.

W chwili, gdy się ta rozmowa toczyła, zabrzmiał znowu upajający szczebiot śmiechu księżniczki. Szlachcic Chłuka przerwał frazę, który miał wyrzucić, i wiechy swych wąsów zwrócił w stronę „jasnego” końca stołu. Sapał długo i tłamsił w sobie jakieś wzdychania, a w końcu rzekł do Rafała:

– Ta się śmieje, hę?

– Jakaż to piękna bardzo! – zdradził się młodzik.

– Pewnie, że piękna.

– Co to za włosy!

– A i to, powiedzmy, prawda. Świeci się bestia człowiekowi w ślepiach, jak ten miesiąc po nocy.

– A jakie to oczy!...

– Waść byś jej dał radę – chy! Jezus ci Maria!

– Co też to waszmość pan!... Wstyd doprawdy...

– Asan mi powiesz! Znam ja się na was, dryblasy! Myślałby kto, że się do korda porwie, tak się przecie zsierdził, a ślepie mu ogniem zioną jak czubatemu diabłowi.

– Kto to jest taki? – cicho szepnął Rafał.

– Jakże u Boga Ojca, to asan książęcą łyżką książęcą zupełnie zawijasz, a nie wiesz tego, kto to jest taki! Toż Gintułtówna, młodego siostra, najmłodsza. Elżbieta jej. Ależ dzieucha! Że się też to pod szlachecką strzechą nie urodzi taka... Już by o nią dziesięciu czuby se powyrywało i ślepie na nic podbiło. Tu będzie wyczekiwała na swego, aż ci osmętnieje z tego, jako wierzba u drogi. Wtedy przylezie wywłoka abo i zgoła Francuz...

– Księżniczka Elżbieta... – powtórzył Rafał z przedziwnym upojeniem wewnętrznym i z drobiazgową uwagą, jak gdyby przywłaszczał sobie na zawsze śliczną melodię, przypadkiem w smutku zasłyszaną.

Do samego końca obiadu Rafał siedział jak na szpilkach. Mnóstwo myśli kłóciło się w jego głowie i przemknęło bardzo wiele postanowień. Nikodem Chłuka kładł mu w głowę Bóg wie jakie wiadomości i głośno wyrzekał, kiedy Rafał ledwie piąte przez dziesiąte rozumiał. Skoro ruszono od stołu, marszałek dworu skinął na Rafała, przywołał go do siebie i oświadczył, że

książę życzy sobie z nim mówić. Wezwał zaraz jednego z lokajów i polecił mu zaprowadzić młodego panicza do gabinetu, gdy się tam książę uda. Sporo jednak upłynęło czasu, nim ta chwila nadeszła. Książę, otoczony gronem pięknych pań, poszedł na spacer do parku i znikł między drzewami. Rafał wyglądał jego powrotu z głębi swej izby, nie spuszczając oka z głównego wejścia pałacu.

Nareszcie, a miało się już ku wieczorowi, wyfraczony sługus wszedł do stancji z grubiańskim prawie zawiadomieniem, że książę jest u siebie. Rafał poszedł za nim przez szereg sal, z których jedne były mozaikowane, purpurowe ze złoconymi gżemsami i z pysznymi stiukami na stropie, inne w barwach ciemnych, adamaszkowe z listewkami, albo bładoniebieskie. Przechodził jak we śnie obok wielkich obrazów, z których spoglądały na niego nagie kobiety, otwierały się krajobrazy zupełnie wyrwane ze snu, walczyły dziwaczne chimery, uctwowali bogowie... Oszołomiony przepychem naczyń i mebli, które zdawały się być stworzonymi dla świątyni, brązowych żyrandolów, wielkich porcelanowych waz, lustrzanych okien, pięknnością podłóg wysadzanych marketerią z hebanu, cytryny i żółtego bukszpanu, skromnym i niespodzianie przyjemnym pięknem drzwi i odrzwiów z mahoniu, olśniony widokiem grup marmurowych i kominków z rzeźbami, usiłował zachować na twarzy wyraz doskonałej obojętności, jak gdyby te rzeczy, pierwszy raz widziane, wcale mu obce i dziwne nie były. Tymczasem, gdziekolwiek zwrócił oko, spostrzegał

coś, co przykuwało do miejsca, chwytalo za ramiona, wabiło ku sobie, jak kobiecy uśmiech, a nieraz jak pocałunek. Niewymowna rozkosz zastępowała tu drogę na każdym kroku. Rafał czuł bolesną, aż do zemsty podniecającą mękę-uwielbienie. Straszna praca, niewysłowione katusze tworzenia ideału piękności w twardym kamieniu, w drogocennym drzewie, pot wysiłku i łzy wiecznego zawodu artystów, gnanych przez przymus, przez ciężką pańszczyznę twórczości, ogarniały go postrachem. To niedościgłe nigdy piękno, wyrwawszy się z powrozów pracy, czekało tu w utajeniu od dawien dawna, czyhało w obrazach, w porfirowych stolikach, we drzwiach tajemniczo okutych, w próżnych krzesłach, w wąskich, skromnie przepysznych kanapkach, tęskniąc za uwielbieniem tyle nocy i dni. Kiedy niekiedy dostrzegał w ogromnych lustrach swą postać w wyszarzanym ubraniu z werdragonowego sukienka, i wówczas niewymowna awersja do własnej postury, rozpaczliwa wzgarda dla swych rąk wiszących jak bijaki cepów, nóg, głowy, ślepiów i nosa oblewała go całego ukropem.

W pewnym małym saloniku, stosunkowo skromnie urządzonym, służący kazał Rafałowi oczekiwać. Gdy grube łydki fagasa przestały migać na posadzkach, a szelest jego pantofli oddalił się zupełnie, Rafał usiadł w głębokim fotelu i zasunął się w siebie, zagrzebał się sam w sobie. Spojrzeniami sięgającymi do dna przejrzał wszystko, co dotychczas wiedział i widział, czym był, co się z nim działo, co na świecie znaczył. Śmiech podnosił się z jego piersi, śmiech przemądrzały i bezlitosny. Nie

wydobył się na wargi, tylko jak fala wzdęta przez wichur krótko zahuczał i ustał. Ociężałe spojrzenie weszło w głąb tego szeregu sal, cicho, sennie drzemiących w rozkoszy. Naokół było cicho jak w świątyni.

I oto niespodzianie gdzieś za trzecimi drzwiami rozległ się śmiech, ów jedyny na ziemi... Rafał zakrył twarz dłońmi i słuchał w zachwycie. Liczne, wesołe głosy jak burza zbliżały się, aż wreszcie zabrzmiały w sąsiednim saloniku. Półuchylone drzwi dawały Rafałowi możliwość uczestniczenia w tym, co się tam działo. Jak wiosenne gędziolenie ptaków śpiewały radosne, drgające życiem, zdrowiem, weselem okrzyki najmłodszych sióstr księcia, ich towarzyszek i przyjaciółek. Jedna z nich wołała:

– Koniecznie *jeux de société!* Koniecznie... *Jeux d'esprit* – to nudne. Zupełnie jak lekcja gramatyki.

– Jak to? *Le secrétaire?*

– Nie, nie! *Jeux d'esprit, jeux d'exercice* – to zupełne lekcje.

– Więc dobrze...

– A może by najlepiej – *Jeux de poules*. Co myślicie? Na przykład: *Chnif-chnof-chnorum?* Co?

– Nie, nie! *Jeux de société!* – domagała się księżniczka Elżbieta kapryśnym głosem, roztopionym w śmiechu.

– No, więc dobrze... Decydujemy!

– Zaczynamy...

– Czy są wszyscy?

– Kto się spóźni, sam sobie winę przypisze.

– Bawimy się... Mówcie! Co kto życzy?

– Ja proponuję *Le corbillon*... – ozwał się głos pierwszy.

– Ja *Les propos interrompus*...

– *Monsieur le Curé!*

– *La toilette.*

– Czekaście, czekaście! Tyle żądań... Głosujmy jak na sejmiku.

– Ja chcę koniecznie – *l'Avocat*. Koniecznie, bardzo koniecznie.

– Kto jest za *Avocat*?

– Nie, nie! *Avocat*? – to nieprzyjemne. Lepiej już *La toilette* albo *Combien vaut l'orge*?

– A może by *Le Capucin*? To zabawne. Pamiętacie Kamila w postaci *capuchon*, a Cecylkę jako *la barbe*?

– Spróbujmy naprzód *La toilette*.

– No, dobrze! *La toilette*. Wszyscy się zgadzają?

– Wszyscy...

– Wszyscy!

– *Tout le monde est assis*...

– Już jestem gotów!

– Ja będę *le miroir*... Lubię, żeby we mnie patrzono – cha-cha!...

– Ja *la boîte à rouge*...

– Skryta, skryta buatkan!...

– Ja *la boîte à poudre*...

– Eli będzie *la boîte à mouches*...

– A Kamil – *le flacon!*

– Ach, to wyborne, Kamilek – *le flacon!*

– Cecylka, czekajcie, czekajcie: *Le faux chignon...*

– Gabriel – *le fer à friser.*

Rafał, ogarnięty przez ciekawość, zapomniał, gdzie jest. Śniło mu się, że i on uczestniczy w tej zabawie. Siedząc nieruchomo w swoim fotelu, widział w szczelinie między niedomkniętymi połowami drzwi środek salonu, gdzie śliczne, dorastające panienki z twarzami cherubinów, otulone w lekkie muśliny i gazy, zsunęły szczelnie małe fotele i utworzyły zwarte koło. Nogi ich, ustawione na dywanie, niecierpliwiły się, oczy rozsypywały iskry, z ust sfruwał śmiech, a obnażone ramiona podnosiło gwałtowne drżenie. Dźwięczny głos najmłodszego księcia Kamila rozlegał się jak delikatny rozkaz:

– *Madame demande son fer à friser!*

Ktoś zerwał się z miejsca, a zajęła je osoba stojąca na środku.

– *Madame demande son faux chignon!*

Znowu szelest i śmiechy.

– *Madame demande son miroir!*

– *Madame demande toute la toilette!* – zawołał książę Kamil.

Foteliki rozsunęły się na wsze strony i *tout le monde* z wrzawą, szelestem i śmiechem przemieniał miejsca. Oklaski i śmiechy jak grad obsypały jedną z uczestniczek, która została w kole.

Rafał nie spostrzegł się, kiedy niedomknięte drzwi szybko się otwały. Księżniczka Elżbieta wybiegła z nich i stanęła na progu. Spostrzegła była widać Rafała dość już dawno,

ale nie przestawała śmiać się. Uczyniła to dlatego, jak się domyślał, ażeby dać mu poznać, że ledwie go widzi. Wstał niezgrabnym ruchem, ukłonił się z sandomierską (od strony Klimontowa) elegancją, coś nawet wymamrotał, czego by sam nie umiał powtórzyć raz drugi. Księżniczka przez chwilę na kogoś jak gdyby czekała... Nikt nie nadchodził. Prześliczna, niewiarogodnie urocza, nie śmiała się już. Rysy jej zmieniły się do niepoznania. Twarz przybrała wyraz chłodu i powagi, ale nie wyuczony, nie chwilowy, och, nie! Rafał uczył się tym wyrazem zmiążdżony, zabity na duszy. Uczuł tę instynktowną dumę, wyniosłe, obojętne spojrzenie i, co najgorsza, ów grzeczny, łaskawy, pański uśmiech, gdy z wolna odwróciła się i wyszła do sąsiedniego pokoju, zamykając drzwi za sobą. Przepłynął przed nim widok ślicznej szyi i ramion z lekka odkrytych, wzniesionej głowy, na której każdy włos był nicią lśniącego złota. Wówczas przez chwilę czuł coś bardziej jeszcze niż ów uśmiech cudzego, nieprzełamanego, wrogiego w swych piersiach. Skoczyć ku niej, chwycić rękoma to królewskie, miękkie złoto. Rzucić ją przed siebie na kolana...

Stał obok swego fotela jak na płytach rozpalonego żelaza. Wyszedłby był, wyleciał stamtąd bez czapki, jak wówczas ze szkół, ale na myśl, że może się jeszcze spotkać z tą panną, że jeszcze raz, w taki sam sposób, może jej osobą swoją przerwać śmiech, zepsuć chwilę radości, nie mógł się ruszyć z miejsca. Spojrzał na swe buty, na rękawy kubraka i znowu usłyszał w sobie wybuch dźwigający się z samego dna. Stał tak

długo, wpychając sobie ohydną wzgardę w piersi, gdy wtem drzwi boczne uchyliły się. Stał w nich książę Gintuł. Na ustach miał półuśmiech taki sam jak siostra. Ruchem grzecznym, ale przewidującym chwilę dużej nudy, wezwał Rafała do pokoju, z którego wyszedł przed chwilą, i wskazał mu miejsce. Sam chodził chwilę tam i sam.

– Czy waćpan pisał do rodziców o śmierci brata? – zapytał nareszcie.

– Pisałem.

– Jednak nikt nie przyjechał?

– Nikt.

– A jakże waćpan sądzisz: czy przyjadą później?

– Nie zdaje mi się. Mam zamiar odesłać rzeczy pozostałe po bracie do domu...

– Tak, tak! To będzie najlepiej. Co się da, na miejscu sprzedać. Ja wydam mojemu komisarzowi polecenie, żeby ta sprzedaż... A może już wydałem?... Zaraz sobie przypomnę... A sam nie jedź. Zostań tu lepiej, u mnie. Przyjrzyj się trochę światu, później zobaczymy, jak i co. Nieprawdaż?

Rafał skłonił się pokornie.

– Trzeba tylko – mówił książę zniecierpliwiony i prędkim głosem – ogarnąć się, ubrać po ludzku. Tak nie sposób! Jak to już mówiłem, brat waćpana ma, to jest miał u mnie pieniądze. Pożyczył mi sumę... Weźże je sobie, tę trochę uciulanych dusiów, i spraw odzienie podług mody i naszego tu zwyczaju... To tam marszałek...

Mówiąc to książę zarumienił się z lekka, wydobył z otwartej szuflady biurka sakiewkę ze złotem i podał ją Rafałowi. Chwilę trwało kłopotliwe milczenie. Wreszcie książę, jakby ociągając się, rzekł znowu:

– Brat waści był mi przyjacielem i powiernikiem za dawniejszych lat służby obozowej. Dlatego to dyskursy nasze miały nieraz charakter ostry dla tych, którzy nie znali bliskiego stosunku. Może to i waści wydało się niemiłym, żem dość ostro, dość cierpko przymawiał bratu... wtedy...

Rafał trwożliwie, na poły potakująco, na poły przecząc, coś mruknął.

– Nie trzeba o tym w ogóle mówić z nikim... – z cicha rzekł książę – bo to ludzie zaraz by roznieśli po świecie, jakobyśmy się z nieboszczykiem poróżnili. Sam waść wiesz, że rozstaliśmy się w zgodzie, aczkolwiek dyskutując...

Rafał znowu niewyraźnie potwierdził.

– Nade wszystko nie należy nic mówić rodzicom, unikać wszelkich ekswisceracji w tym przedmiocie. Mogliby w żalu wyobrazić sobie...

– O, ja nie, mości książę...

– Tak, tak – rzekł pan uśmiechając się dziwnie. – Gdy się waść pobawisz i poznasz nieco świata, sam się przekonasz, żem dobrze radził zmarłemu.

Zamilkł i z wolna ślicznymi ruchy zaczął chodzić po kobiercu tam i z powrotem. Przez chwilę zatrzymał się u otwartego okna i patrzył w głąb dzikiego ogrodu.

– Kochałem go... – rzekł cicho. – Już go nie ma na świecie. *Horror, horror!* Niedopowiedziana sentencja, niewyłożony ostatni, najdobitniejszy efekt prawdy, a jego już nie ma. Już go nie ma wcale! Ani nie zaprzeczy, ani tymi oczyma, co to... nie spojrzy. Ani po swojemu nie zmilczy. Garsteczka popiołu i – tyle. Och, Boże!

Podniósł na Rafała oczy szklane i twarz porzniętą nagłymi bruzdami, starszą o wiele, wiele lat. Chwilę tak przyglądał mu się z uwagą, jakby teraz dopiero spostrzegł, że tu ktoś stoi i że go słucha. Uśmiechnął się wreszcie owym uśmiechem wdzianym na twarz jak maska, uśmiechem przyjęć. Czekał.

Młodzieniec zrozumiał, że może nareszcie odejść. Ukłonił się ruchem pewnym, zgrabniejszym daleko bardziej niż poprzednio, i ściskając w ręce garść dukatów w jedwabnej sakiewce, pełen wzruszenia szedł przez wspaniałe sale.

Egzekucja

Życie w Grudnie płynęło jak romans ciekawy, z dnia na dzień przyjemniejszy. Polowania na zwierza w lasach, na kaczki w łądziach, na bekasy, dubelty, kszyki z wyżłami, konne wycieczki całym dworem, harce po błoniach – oto były zajęcia codzienne. Kiedy niekiedy zjeżdżano olbrzymią hurmą ludzi do pierwszego lepszego dworku dzierżawcy, zjadano wszystkie zapasy żywności i, naśmiawszy się do syta z prostactwa, co koń skoczy ruszano dalej. Francuzi i Francuzki goszczący u księcia nudzili się pomimo to wszystko. Wieczorami grywano w karty, nieraz do późna. Siostry księcia Gintułta uczyły się jeszcze i niby to pozostawały pod ścisłym dozorem Francuzic-nauczycielek, ale brały udział we wszelkich zabawach.

Rafał, odziany w modny fraczek, w obcisłe piaskowego koloru ineksprymable, wysoki kapelusz i świecące buty z twardymi cholewkami, uczestniczył we wszystkim na prawach niby gościa, niby domownika. Dopuszczano go z lekka do towarzystwa, ale czasami posłano tu i ówdzie albo wyręczono się nim w potrzebie. On godził się na wszystko. Żył tu, oddychał, upajał się wolnością. Nigdy przez jego głowę nie wionął cień pytania: co będzie dalej? Bez myśli o tym wiedział jedno, że nie wróci do domu z Grudna! Przenigdy! Był tu u siebie, na swej drodze. Szedł naprzód z zadartą głową – i kwita. Każdy dzień, każdy wypadek zbliżał go, łączył, zespalał z nową krainą. A co raz posiadał, tego żadna

już potęga nie byłaby w stanie wydrzeć mu z pazurów. Uczył się form towarzyskich, mowy francuskiej, zwyczajów, reguł życia, zabaw, metod wybryku, kształtów modnego kaprysu, kultury zepsucia. Kochał swoją izbę, ubranie, konia, na którym jeździł zazwyczaj – i księcia. Mniej lubił młodszych jego braci, którzy dość wzgardliwie nań spoglądali, chociaż strzegli się wyjawienia niechęci. Jeden był rówieśnikiem Rafała i ten właśnie był najnieprzystępniejszy.

Przy końcu sierpnia, po żniwach, weszły w modę codzienne prawie jazdy konne. Nad wieczorem siodłano wszystkie konie wierzchowe i kto żyw dosiadał pysznych rumaków. Rafał miał ścigłego gniadego anglika. Łatwo mu było na nim trzymać się w pobliżu księżniczki Elżbiety.

Nie kochał się w niej, och nie! Można by prędzej powiedzieć, że jej nienawdził. Jej radosny, szczęśliwy śmiech odbierał mu sen i duszę całą napełniał zimną namiętnością. Z niewymownym szczęściem byłby pochwycił i na zawsze zapamiętał jakiś w niej szczegół brzydoty, coś, co by napełniło wyraźną odrazą. Ale nie było takiego nic.

Była cudowna. Co gorsza, co nieznośniejsza, myślami jej objąć nie mógł ani ogarnąć wyobrażeniem. Ciągłe była poza jego wiedzą, wciąż coraz bardziej odmienna w swym czarodziejstwie. Jeżeli wyuczył się już jakiegoś jej przymiotu i mógł do woli wyśmiewać z niego w głębi siebie, nagle zjawiała się z czymś innym, czego jeszcze na ziemi nie było, z uśmiechem niebiańskim, półsmutnym, półlitosnym, z jakimś

cichym dumaniem, przez które łagodny mrok płynął jak cień białej chmurki przez lazurową wodę jeziora. Z jakąż rozkoszą byłby ją za to rozszarpał, z jakąż nienawiścią zdusiłby pocałunkami owe zaziemskie troski i radości prawdziwie anielskie! Marzył o niej ciągle. Szedł z nią zawsze przez jakieś knieje, gdzie noga ludzka nie powstała, gdzie tylko ona i on... I tchu mu w piersiach nie stawało na samą myśl o tym, co do niej mówił.

Widział wówczas strach na jej twarzy, przeraźliwy okrzyk z ust jej wyrwał i słyszał go z upojeniem, fruający wkoło głowy. Przy stole nigdy otwarcie nie patrzył w jej stronę, ale w każdej chwili śledził ją tajemnie. Na spacerach starał się być w pobliżu, ale nie udało mu się nigdy przemówić do niej jednego wyrazu. Z dala odpowiadała na jego głęboki i pokorny ukłon. Pomimo jednak, że zdawała się nie zwracać na jego osobę uwagi, skoro tylko się skłonił, spostrzegła ten ruch i z martwą grzecznością, wyniośle, oddawała mu dalekie skinienie głową. Nigdy się nie odwróciła w tę stronę, gdzie był, ale on doskonale wiedział, że cała jej osoba uczuwa jego obecność, że osobliwe cienie przepływają przez tę twarz i że w szczególny sposób widzą jego figurę jeśli nie oczy, to jak gdyby spuszczone powieki. Rzadko kiedy błędzące po tłumie spojrzenie przesunęło się i po nim także. Wtedy czuł gałgańską uciechę, rozkosz kradzieży, tryumf zdobywcy. Zawsze czysty śmiech księżniczki zmieniał się w tonie, kiedy Rafał był blisko, zmieniał się tak samo jak wówczas u drzwi salonu. Nie brzmiał już jak samo szczęście,

lecz złowrogo dźwięczał jak straszny krzyk wzgardy.

Tak było za dnia. Nocami Rafał błąkał się po alei, która od jego domku szła w ogród. Przesycony wariacką ambicją, nadęty żądzami, pełen namiętności wybujałych aż do szaleństwa, piał się coraz wyżej i wyżej. Zuchwalstwo rozparło się w nim tak dalece, że księżniczka, pani przemożna z tego domu, siostra rodzona księcia, stała mu ciągle w oczach. Był tak przeżarty od wewnętrznego ognia, że swe sny i furie poczytywał za rzeczywistość. Ileż to razy czekał w ustroni szpaleru podczas księżycowych nocy, ufając, że ona musi znać jego męczarnie, że takie same czuje i że w to miejsce przyjdzie wiedziona przez ciemnego anioła! A gdy chłodna, sierpniowa noc mijała, gdy oszalały od wewnętrznych szlochań wracał do izby, kąsał poduszkę, dusił się i zanosił od żalu. Kilkakroć tylko gościła w jego głowie myśl, że wszystkie te zajścia ducha są złudzeniem. Może księżniczka wcale nie wie o jego egzystencji. Wtedy zaciskał pięście i zdolen był rwać włosy z głowy. Traf zrządził, że się przekonał o prawdzie.

Księżniczka Elżbieta jeździła konno jak amazonka. Na siodle postać jej o łagodnych i wolnych ruchach przeobrażała się jakby w młodego chłopca z gestami zdecydowanymi, nagłymi, piorunowymi. Angielski źrebiec „Unreclaimed”, na którym jeździła, lśniący kasztan o nogach ze stali a mięśniach z żelaza, szedł przodem w każdym wyścigu. Pod jesień, gdy otworzyły się rozległe ścierniska, urządzano te gonitwy bardzo często.

Pewnego dnia wypadła gromadna wyprawa właśnie w okolice

Wygnancki, gdzie zmarł brat Rafała. Wziął w tej zabawie udział książę i jego siostry. Rafał niechętnie zbliżał się do tych miejsc, które mu przypominały sprawy odrzucone z niedbalstwem. Jechał wszakże w pobliżu księżniczki. Na jednym z pagórków otaczających rozległą płaszczyznę towarzystwo zatrzymało się. Po deszczach dość długotrwałych dzień był jak wiosenny, pełen woni jałowcu, wrzosu i macierzanki. Błękit nieba okrywał się co chwila obłokami iście wiosennymi, które były delikatne i urocze jak włosy dwuletniego dziecka.

Gdy całe towarzystwo zajęte rozmową skupiło się w pewnym miejscu, kilka osób zjechało niżej ku polom. Księżniczka chciała puścić konia i zwracała się z żądaniem towarzyszenia jej to do tego, to do owego z jeźdźców. Ale młodzi jej bracia i kuzyni byli znużeni. Wreszcie dwu z nich puściło w skok wierzchowce. Między nimi Rafał, którego nikt nie wzywał, skoczył niby to poniesiony przez konia. Anglik księżniczki, rozgrzany, odsadzał się coraz bardziej, niósł coraz wścieklej, wreszcie poszedł w lot niepoohamowany. Mężczyźni zostali w tyle. Wpadli na szeroką wyboistą drogę, która prowadziła do brzozowego lasu. Rafał począł smagać swego gniosza i gnał co tchu. Spostrzegł, że księżniczka usiłuje osadzić Unreclaimeda, że szarpie się z nim nadaremnie. Wtedy podwoił ciosy i w lesie, już na gościńcu, zaczął się do niej zbliżać. Ale szybkobiegacz amazonki, choć zdarty munsztukiem, rwał jeszcze skokami, od których błoto na obie strony pierzchało w las. Rafał widział już tylko lśniące kłęby konia, aksamitny kapelusz i złote włosy. Krew w nim kipiała.

W pewnej chwili usłyszał głos księżniczki, jakby wzywający na pomoc. Usłyszał to raz, drugi. Wówczas co mocy w rękę ściągnął konia szpicrutą i w kilkunastu susach dopadł. Zrównał się z nią. Ujrzała go zdumiona, wielkimi oczyma. Ale i on pierwszy raz utopił w nią dziób i pazury oczu. Czuł to, że ją przeszywa potężnym, ślicznym wzrokiem.

– Popręg! – krzyknęła, całą pierśią i ustami chwytając oddech.

Jednym zamachem chwycił cugle jej konia, zdarł go i osadził. Ogiery otarły się o siebie, a nogi księżniczki zarem owionęły nogi jeźdźca. Wówczas czartowskim podbechtaniem wiedziony schylił się i obiema rękami porwał cudowną dziewczynę. Chwilę miał jej włosy na chciwych ustach, a ramiona i piersi na piersiach...

Ale z nagłą stało się z nim coś niesłychanego. Księżniczka porwała się jak błyskawica. Uczuł tylko, że się dźwignęła na siodle.

– *Imbécile!* – krzyknęła przez zwarte zęby i zadała mu przez pysk cios szpicrutą tak niesłychany, że mu się ciemno w oczach zrobiło, a w uszach rozległ się dzwon. Zleciał z konia.

Pierwszym jego czynem, kiedy przetarł powieki, było skoczyć na siodło. Księżniczka Elżbieta znikła. Słyszał tylko za brzozami huk, tętent kopyt jej konia i lepki szelest roztrącanego błota. Wściekły ból od czoła aż do brody w pobliżu nosa targał mu twarz. Rozpacz runęła na niego jak ściana kamiennego domu. Cóż dalej? Ścigać ją i zabić, czy uciekać? Chwilę jechał trupiomartwy, jakby go przed chwilą rozstrzelano. Kiedy noga

za nogą posuwając się naprzód, wybrnął z lasu, zobaczył całe towarzystwo na skraju. Nie było sposobu uciekać. Wówczas zostało już tylko cyniczne, czerstwe męstwo. Toteż wolno podjechał do zbliżającej się czeredy. Obok księcia Gintuła jechała księżniczka. Rafał raz tylko rzucił na nią okiem.

– A wasan skąd przywozisz taką pręgę? – ze śmiechem zawołał książe, gdy się o kilka kroków zbliżyli.

– Wina to siostry księcia pana... – rzekł Rafał.

– Jakimże to sposobem wina mej siostry?

– Kiedy dopędzałem Unreclaimeda, pragnąc wstrzymać... przelatywaliśmy obok drzewa. Księżniczka odgięła gałąź brzozy i łaskawie puściła ją na mnie.

– Otóż i masz nagrodę za galanterię! Tak to fortuna opłaca wysługiwanie się białogłowom!

Księżniczka w milczeniu, ze spuszczonej oczyma, słuchała opowiadania Rafała. Gdy skończył, parsknęła krótkim, wzgardliwym śmiechem i odwróciwszy konia odjechała.

Książe tknął konia obcasem i przysunął się bliżej do kłamcy. Wtedy krew z wolna ustawać zaczęła w jego żyłach. Czekał błądy i zimny jak na śmierć. Przemknęło mu przez głowę widmo ojca. Tymczasem książe natarł nań koniem i rzekł półgłębko:

– Jesteś waćpan cały w błocie zawalany. Przyznaj się: spadłeś z konia? co? prawda?

– Ależ gdzie tam!

– Daj no pokój! Skocz, proszę cię, do Chłuki, wszak go znasz?

– Znam...

– Oczyszć się, obmyj, bo cię wezmą na języki i wyśmieją. My wracamy do Grudna. Powiem wszystkim, że cię posłał na Wygnankę w swoim interesie.

– Słucham księcia...

– Z daleka oddaj towarzystwu waletę jak gdyby nigdy nic i ruszaj. Wróć wieczorem o zmroku. Twarz na noc obłóż wodą...
Adieu...

„Nic nie powiedziała” – myślał Rafał z niewymowną rozkoszą. Zadrzała w nim jak gdyby struna, wyśpiewał się krótki, osobliwy głos i upadł w nicość.

„Nic nie rzekła, ani wyrazu...” – marzył odjeżdżając.

Popędził w przeciwną stronę, ku Wygnance. Gdy się pode wsią obejrzał, już mu kawalkada grudzieńska znikła z oczu. Oстрыm kłusem mijał wioskę.

Chałupy włościańskie ze zmurszałego drzewa, kryte gontem, jak żebracze łachmany wyciągały się wzdłuż, drogi. Najlichsza z nich, krzywa i rozsypująca z siebie próchno, była siedliskiem starego Żyda, Urysia. Sam krzywonogi Żydowin stał przede drzwiami i patrzył w stronę dworu z takim przerażeniem, że nawet pędzącego Rafała nie dojrzał. Inne chałupy były poroztwierane i puste. Dopiero na końcu wioski widać było zbiegowisko ludzi. Z kolein drogi podnosiła się tam kurzawa, a w niej migwały jakieś figury. Krzyk dolatywał. Chargot chłopstwa...

W pewnej chwili przebiegła obok jeźdźca stara jakaś baba, umykająca w popłochu, z bekiem i z głośnymi słowami

pacierza w drżących, szerniałych, wywiedłych wargach. Dalej wpadły pod nogi końskie dzieci czarne, zeschęłym gnojem okryte, a rozpierchłe jak stado spłoszonych wróbl. Gdy Rafał blisko podjechał do końca wioszczyzny, ujrzał w kłębach pyłu huzarów austriackich. Kilku siedziało na koniach, trzymając cugle wierzchowców, z których zsiadli towarzysze. Tamci uwijali się w tłumie pospólstwa. Chłopi tworzyli koło wzburzone, kipiące stłumionym gwarem. Rafał nie mógł się precisnąć, gdyż całe opłotki były zapchane przez lud i konie. Pilno mu było do dworu, ale zmuszony był wstrzymać się, zwrócić uwagę. Siegnął z konia i pociągnął za ramię pierwszego człeczyne z brzegu:

– Ojciec, a co się to tu robi?

Podniósł na niego oczy spod obdartego, zgniłego już kapelusza ze słomy człowiek stary tak bardzo, że był istotnym grzybem.

– Hę – wymiamlał. – Nie słyszę...

– Co się tu dzieje?

– Gádáj, máli gádać, bo nie słyszę...

– Czegóż was tu taka kupa?

Ów stary, trzęsący się dziad trącił w bok sąsiada i wskazał mu Rafała. Sam znowu wlepił w środek koła oczy wygniłe, stuletni pewno mózg i stuletni uśmiech obojętności. Tamten drugi spojrział błędnymi oczyma, jakby go dopiero co zbudzono ze snu. Po chwili ocknął się i rzekł:

– A to, proszę łaski panicza, żołnierze chłopa biją.

– Za co go biją?

– A no... gzekucyja i tyła.

– Ale za co go biją?

– Za to go biją, że, proszę łaski panicza, na pańskie nie chce wychodzić i wieś bontuje. Pada, że my som niby wolne. A tu sam pokazał, jaki to... Cie wy, moi ludzie...

Rafał ruszył koniem, rozepchnął motłoch i wjechał dalej. Ujrzał posępne, głuche i nieme twarze żołnierzy. Wejrzenia ich kamienne stały wkoło jak nastawione bagnety. Rafał stanął w strzemionach i przez głowy otaczających, między wysokimi czapami, zobaczył twarz Michcika. Chłop stał obdarty ze szmat, półnagi, z koszulą rozerwaną, z odkrytymi piersiami. Łeb jego był rozkudłany i osuty kurzawą drogi. Włosy wisiały mokrymi, skrwawionymi strzępami. Z rozbitej czaszki, z nosa, z ust krew ciekła. Wargi miał czarne, oczy podbite i zamknięte, policzki sine od zniewag.

Wlekło się krwawe, wyczekujące milczenie. Tylko dokoła lud wciąż między sobą gadał, gadał, gadał...

– No, Michcik, ostatni raz się pytam... – rzekł jakiś człowiek w urzędowym kaszkiecie.

Chłop milczał.

– Michcik, upamiętaj się na rany Pana naszego Jezusa Chrystusa, bo jeszcze jedna chwila, i klamka zapadnie. Pójdziesz w żołnierze, jak amen w pacierzu. Na oczy więcej tej oto Wygnanki nie obaczysz. Ja ci to mówię, mandatariusz ci to mówi. Pan Chłuka to teraz jest twój prawowity pan. Cóż ty, człowieku? Na panaś swego rękę podniósł? Na pańskie wychodź,

jak Bóg wszechmogący przykazał, daninę oddaj, jak święte prawo każe – i nikt na cię palca nie zakrzywi. Jeszcze jedna chwila oporu, i rozniewa się w sercu swym pan Chłuka, da cię na wieczny czas w kamasze, jak amen w pacierzu. Ja ci to mówię, mandatariusz ci to mówi!

Nastało znowu milczenie.

Żelazne oczy żołnierzy zawisły nad Michcikiem. Każdy z nich trzymał w ręku laskowy kij ogołocony z liści. Gwar chłopski ucichł. Na dany znak pierwszy żołnierz z brzegu chwycił Michcika za rękę. Ale skazaniec odepchnął go od siebie jednym podźwignięciem ramienia i, jakby do niego tylko kierując mowę, w niego wlepiając bielma zabitych oczu swoich, zaczął jąkać się z przeraźliwym krzykiem:

– Pod Na... pod Na... służyłem... psiekrwie... Miemce!... Szanuj mię, psie! Żołnierza! W bitwach, w bitwachem-em beł, psiekrwie! W ośmi! Pod Kozubowem...

Na dany znak chwycono go za bary, z tyłu poderwano mu nogi, rzucono na ziemię. Wzniosły się kije i zaczęły świstać a rypać. Co chwila Michcik zrywał się z ziemi z krzykiem coraz straszniejszym. Nie słysząc już było słów, które z krwawych jego ust leciały, tylko sylaby jakieś porozdzierane. Rafał rozumiał je dobrze. Słyszał, że Michcik wzywa nadaremnie brata, i to zdanie w strzępach wciąż powracające:

– Szanuj mię, psie, człowieka wolnego!

Żył Rafała uległy zaciśnieniu, a krew ich zamieniła się w dziki płomień. Oczy oślepy i widzieć nie chciały. Ucho było

z drewna. Wzgarda względem wszystkich rzeczy świata, do tego chłopca, do siebie, owionęła go od stóp do głowy jak fetor nie do zniesienia. Wspomnienie ciosu szpicrutą werznęło się weń nagle z całą potęgą towarzyszących mu myśli i niewysłowiona rozpacz wwalila się do serca. To co miał przed oczyma, to co włamywało się w uszy, pomnażało tylko od chwili do chwili bezdenne i głuche obszary nędznej bolesti. Ów dawny chichot, wyłamujący się z płonących bebeczków wściekłości, zatrzęsł nim całym. Koń, szarpnięty z całej siły, cofnął się i aż przysiadł na zadzie. Rafał nawrócił go, wydobył się z tłumu i jechał z powrotem tą samą drogą, ku Grudnu. Słyszał, mijając wieś, że ktoś za nim biegnie, jęczy i skamle o pomoc dla Michcika, ujrzał nawet szarą twarz Żyda Uriasza, ale słabo rozumiał, co bełkocze szlochając ten mizerny twór. W oku, w kącie ust, w policzku, w czole wzmagał się narywający ból od cięcia szpicrutą. Głowę miał pełną dymu, w kościach pałające zarzewie, a przed całą duszą jakby dół wykopany.

Słońce zachodziło za lasy. Koń szedł noga za nogą. Rafał go nie popędzał. Był spragniony nocnej ciemności, jak człowiek spalony od gorączki pragnie wody. W bezludnych polach, między opustoszałymi ścierniami siedział na koniu z obwisłymi rękoma, patrząc w tarczę ognistą. Czuł, jak tego dnia uderzyło nań słońce całym swoim pożarem. Udawał się jeszcze sercem to tam, to sam...

Brat Piotr... Michcik... Role przez nich wykarczowane... Dźwigał rękę ciężką jak kamień. Czuł, że nic sobie pomóc

nie może... Z obszarów zasłanych jałowcem, ze ściernisk pachnących macierzanką i cierpkimi woniami chwastów jesiennych dźwigało się ku niemu owo bolesne, straszliwe szemranie chłopstwa, dygotał w uszach niepochwytny gwar wściekłego motłochu, rozjuszone skamlanie, jęk nie do zniesienia. Fizyczny ból w policzku przypiekł go do żywego niby rozpalonym żelazem. Rafał wzniósł szpicrutę, zaczął ciąć konia i zdzierać go uzdą, siekł jego lśniącą zgiętą szyję, smagał mu kłęby i brzuch. Koń stęknął głucho, wspiął się, zwinął w sobie i rwał z miejsca, gdy ciosy coraz wścieklejsze, obłąkane, spadały nań jak błyskawice, a munsztuk nie popuszczał...

Chiesa aurea

Na jesieni roku 1797 książę Gintuł jako tako załatwił obowiązki głowy rodziny i wyjechał z kraju. Siostry zaopatrzył w opiekę dalekich ciotek tudzież w legion nauczycielek, dwu braci odwiózł do szkół publicznych w Krakowie, udzielił pełnomocnictwa do działania folwarcznego komisarzowi, a władzę kierowniczą nad interesami zlał na krakowskiego mecenasa Dorszta. W tym samym czasie pozbył się z domu wielu rezydentów, a między innymi Rafała. Przydał ostatniego za pewien rodzaj towarzysza braciom. Przy protekcji pańskiej udało się, z ciężką wprawdzie biedą, tyle dokazać, że Olbromski zdał wymagany egzamin do klasy piątej i umieszczony został na poetyce w liceum świętej Anny. Dużo trudu kosztowało księcia uzyskanie w Wiedniu paszportu do Włoch, a mianowicie do krajów Rzplitej Weneckiej, na dwór papieża, do krajów króla Piemontu, wielkiego księcia Toskanii, księcia Parmy i Burbonów Neapolu. Przerwana już była na pozór w Leoben wojna, ale tłała jeszcze zarzewiem. Wszelako rozległe stosunki umożliwiły otrzymanie drogocennego papieru z mnóstwem podpisów, winiet i pieczęci. Książę wyjechał.

Chyżo mijał góry Styrii, Karyntii, przedłużone odnogi Alp tyrolskich. Jechał wielkim, starodawnym traktem górskim, który przecina rzeki Sawę, Drawę i Mur. Dostał się nareszcie w pustynię Krasu, między wapienne wyniosłości i zawałiska,

gdzie woda w głąb ziemi ucieka tworząc w jej łonie pieczary, podziemia, jeziora i rzeki. Ten bezludny, zapadający się świat kamieni pełen był jeszcze wojsk republikańskich, które pod dowództwem Masseny, Guieux, Chabota, Serruiera i Bernadotte'a z wolna cofały się ku Palma Nuova opuszczając Gorycję i Karyntię. W miejscu tym wielki trakt stykał się z drogami idącymi ze wschodu. Z wyżyn widać było białe ich taśmy, łamiące się po bezdrzewnych i bezwodnych łańcuchach gór. Jak oko sięgło, słały się po nich ruchome kurzawy, a w nich brnęły ku południowi i na zachód kolumny za kolumnami. Górskie wioseczki były popalone i zrównane częstokroć z ziemią. Ludność witała podróżnika nieufnym, podejrzliwym okiem, wyciągając wychudłą rękę po datek. Słowo ze szerniałyich warg padające było słowiańskie...

Książę nie pożądał bynajmniej widoku dzieł Marsa, toteż ile się dało zbaczał z traktu wojennego i co tchu dążył w stronę Triestu. Sądził, że już wszystkie szlaki strategiczne wyminął. Tymczasem na jednej z najwyższych przełęczy, w miejscu spotkania się rozstajnych dróg, woźnica obrócił się na koźle, potrząsnął głową i wskazał biczyskiem zbliżające się tuż-tuż obłoki kurzawy. Nie było sposobu ruszyć dalej, gdyż wojska wwalily się z bocznej na główną drogę i zajęły całą szerokość. Zatrzymano się pod wysoką skałą wapiennego szczytu na zakręcie drogi.

Książę wysiadał właśnie z powozu dla uniknięcia kurzu, kiedy zza tej skały wynurzyły się pierwsze rzędy infanterii. Szli ludzie

przywaleni kurzem od głów do stóp, jak ruchome jego słupy. Ledwie w dymach pyłu wapiennego widać było zgorzałe na węgiel ich twarze, zamknięte oczy, zacięte usta. Szli wielkim, twardym, młodym, niestrudzonym krokiem. Przesuwały się w małych odstępach jedna za drugą kompanie grenadierskie. Gdy książe wzwyczał oczy do kurzu, ujrzał, że ci ludzie byli oberwani, prawie bez butów. Znienacka dokuczliwy ból zarznął go do żywego... Widok kroju mundurów tych grenadierów do złudzenia przypominał dawne czasy.

– Toż to mundur kawalerii narodowej – mamrotał książe.

Szedł batalion strzelców odziany w łachmany łudząco podobne do regimentu marszałkowskiego strzelców węgierskich, w mundurach niby błękitnych z pąsowymi wyłogami, w poźlocistych giwerach z pąsową kitą. Ciągnęli wciąż, wywalając się zza góry jakoby ze straszliwego jej łona. Wizja bolesna, sen długi i duszący... Widok każdego oddziału nożem padał w piersi i utykał w sercu. Oto idą znowu, idą znowu! Łoskot ich kroków grzmi na tej ziemi wewnątrz próżnej. Regiment fizylierów, coś jak regiment Działyńskich, a wreszcie regiment pierwszy imienia królowej Jadwigi. Pąsowe mundury, białe kolety, białe pasy i czarne kapelusze. Wszystko to obdarte, w łatach różnokolorowych, w szwach, w gałganach. Nogi półbose dzielnie i twardo wytrzymały takt na tej nieskończonej drodze między morzem a lądem, wlokąc strzępy „czarnych butów niemieckich”. Broń szczekała. Obok ludzi, idących miarowo, brnęły do taktu chude konie oficerów wyższych. Oni sami jak

czarne znaki, równo kołyszając się znikali w kurzawie. Na prawo i na lewo zygzakiem schodzili w głębie pustej doliny. Czarne ich widma znikły z oczu, i sama chmura pyłu z wolna osiadała na drodze. Jeszcze długo kołysała się rytmicznie w głębi, a później poszła w górę, na dalekie, błękitnawe pasma, we światy...

Książę ocknął się jak ze snu. Popędził w swoją drogę. W Trieście, trafił szczęśliwie na odchodzący tegoż dnia do Wenecji dwumasztowy okręt z pomalowanymi żaglami – *trabaccolo* i puścił się na morze.

Już kiedy przepływano obok fortu św. Andrzeja, na grobli Lido i u wejścia do portu Malamocco okręt poddany był nadzwyczajnie ścisłej rewizji. Podróżnych badano jak zbirów, a ich paszporty oglądano na wszystkie sposoby. Osobliwie książę, jako przybywający z Austrii, był przez celników francuskich obserwowany bardzo podejrzliwie. Gdy się te wszystkie ceremonie skończyły, wylądował wprost na mały rynek. Był tu za lat wczesnej młodości swej, z rodzicami, kiedy jeszcze nosił błękitny mundur kadecki. Dziś był zupełnie sam. Ojciec i matka spoczęli pod ziemią. Te miejsca ukazały się teraz oczom jak widok tamtych minut, jak widok samych umarłych. Młode szczęście godzin, straconych na zawsze, tało się w tych murach. Nie widząc wcale ludzi przechodzących książę brnął przez *piazettę* ku kościołowi świętego Marka z oczyma pełnymi łez, z ustami pełnymi słów miłości, z piersią pełną westchnień i żalu.

– *Pax tibi, Marce...* – szeptał do świątyni z najgłębszą czcią.

„Złota świątynia” stanęła przed nim znowu. Śnił patrząc na nią, że go niby urząd duchowy, niby trybunał sądzący zapytuje o lata ubiegłe, o życie przebyte, o szczęście odepchnięte, o pogrzebane w ziemi zwłoki i o całuny uczuć, co je do snu wiecznego otuliły. Przywarł plecami do muru Kampanil obok białej loggiety Sansovina, skulił się i z wlepionymi w kościół oczyma na długo tam został. Miał więc znowu to, za czym tęsknił. Balustradę z kilkuset kolumn o ozdobach gotyckich, połączoną z kapryśnymi słupami saraceńskimi, nad którą strzelają minarety arabskie i pięć jasnych kopuł greckiej cerkwi. Nasyczał znowu oczy widokiem przedsionka okrytego mozaikami na złotym dnie... Tam św. Marek w ubiorze biskupim, tam Zmartwychwstanie, tam Wskrzeszenie Łazarza... Oto chimeryczne korynckie konie nad głównym portalem środkowym wspinają się i rwą w świat. Dokąd? Były już przy pogromie Grecji i jako symbol tryumfu rwały się w świat na tryumfalnych bramach Rzymu. Były przy upadku Rzymu i stanęły na tryumfalnych murach Carogrodu. Były świadkami zwycięstwa Wenecji nad Bizancjum i stanęły tu, u drzwi św. Marka, na pięćset lat...

Nim wszedł do bazyliki, książę miał pod powiekami jasnovidzenie jej złotego wnętrza, wizję całkowicie złotą, pełne oczy złotego mroku. Słyszał w głębi swej duszy szelest sukni dawno zmarłych rodziców, echo, brzmiące pod ciemnym sklepieniem, rozmowy prowadzonej między wonnymi dymami czci i pokory. Podniósł oczy ze drżeniem. Obcy ludzie snują się

naokół... Wszedł tedy co prędzej na mozaikowe posadzki, na owe dywany z kamienia, gdzie tylekroć hulały bałwany morza, że same mozaiki powyginały się na obraz fal i pian. Ale stuoka pamięć i tam z każdego kąta, zza każdego filara wysuwała obraz albo dźwięk dawno umarły. Jakże straszliwie patrzyły teraz w przybysza wielkie, jak gdyby senne oczy samotnych świętych, oczy pełne smutku-niesmutku, żalu-nieżalu, oczy pełne mądrości, oczy, które widzą przez wieki, oczy wieszczce! Książę czuł, że to od nich zstępuje ku niemu ów szept niezrozumiały. Jakże rozdzierająca była mowa ich zeschłych ust, prawda, której wyznać nie mogą, zamknięta w skurczach czoł i lic, w okrutnych gestach skostniałych rąk. Mowa ta usiłowała wyjawić wieść z tamtego świata, wyznać straszliwe ostrzeżenie, jedno i to samo dawała znać przez tysiąc lat trwożliwym spojrzeniom rzesz ludzkich, które tu przychodziły ze wszystkich kończyn ziemi. Zdawało się, że głębokie łuki, arkady, sklepienia i kopuły nad filarami odzianymi w polerowany, ciemnoczerwony marmur, żarzą się i świecą własnym zarzewiem złotym, które wybucha ze ścian, gdzie w czworograniastych słupach przepala się czarodziejski ogień grecki.

Książę błąkał się po świątyni z miejsca na miejsce, wodząc po twardych liniach bizantyjskich przymrużonymi oczyma. Jakże się to dokonało, że wszystko naokół jest takie samo jak za poranku jego młodości, a on sam... Gdzież się podział młodzieniec, który to widział pierwszy raz? Nie ma go już. Ten co ogląda to samo, to inny zgoła człowiek.

Radosne uczucia tamtego przeistoczyły się w strupieszwały żal, podobnie jak w trupa przeistacza się żywy człowiek. I oto rozszerzył się żal, zabrzmiał niesłychanym, zaświatowym echem, na podobieństwo głosu rozlegającego się pod sklepieniem chrzcielnicy w Pizie. Gdzie się podziały ludy z ich wołą, czynem i sprawą? Gdzie państwa ich i królowie? Świątynia ta stała już taka sama, kiedy Mieszko I na tron wstępował. Została taka sama... Przeszli tędy rycerze idący odbierać grób Chrystusowy. Tu, na kamieniach przedsiönka, Fryderyk Barbarossa klęczał u stóp papieża. Niezliczone tryumfy weneckiego ludu nad Genuą, Konstantynopolem, Vicenżą, Weroną, Belluno, Padwą, Bergamo, Istrią, Dalmacją, Moreą, Kandią, Cyprem i wyspą Lemnos, nad całym carogrodzkim morzem...

– Przeżyłeś i swą Wenecję, święty Marku... – zaśmiał się wędrowiec patrząc z niecną radością w mroczne głębie kościoła. – Żołdak francuski zerwał z masztów twoje szkarłatne chorągwie, wiszące w chwale od czasów Henryka Dandolo, roztracił skrzydlatego lwa...

Poruszony do samej głębi ducha wyszedł z kościoła. Uderzyła go, jak nieznośny ciężar, myśl o zwycięstwie francuskim. Widział w marzeniu pustą lagunę, zalewisko zgniłych wysp, gdzie królował przyptyw morza. Lud uciekający przed dziczą Attyli stworzył tu ludzkie siedlisko. W ciągu trzynastu wieków potomkowie tych, co tu przybyli, wbijają w muł miliony dębowych palów, na nich wznoszą blisko trzydzieści tysięcy domów, czterdzieści rynków; przywożą z dalekich gór ciosany

granit, czerwony, biały i żółty marmur, wyściełają kamieniem czterysta kanałów, dźwigają blisko pięćset mostów z marmuru. W mieście tym wyrasta niezmierna liczba świątyń i pałaców, wykwita biblioteka Sansovina, Prokuracje, Kampanila, pałac dożów i sama owa bazylika. Niestrudzeni żeglarze, waleczni żołnierze, najprzemysłniejsi kupcy zwożą w darze dla świętego Marka wszystko, co gdziekolwiek było cennego. Z Egiptu, Grecji, Bizancjum – kolumny z porfiru i serpentyny, alabastry, wazy, płaskorzeźby egipskie, snycerskie dzieła Persów, słupy z mistycznym pismem ze świątyni Saba w Akrze. Wydali ze swego łona niezliczony poczet artystów aż do wielkiego Tycjana, byli szerzycielami umiejętności i kunsztów... I oto jednego dnia przybywa z ziemi twardej samotrzeć w gondoli adiutant francuskiego generała, sam jeden z nakrytą głową wstępuje na „olbrzymie” i na „złote” schody i wchodzi na posiedzenie Wielkiej Rady, do sali, skąd słuchały wyroków dalekie ludy morza, podniesionym głosem odczytują w obliczu doży i wszytkiej Wenecji list zwiastujący wojnę, a właściwie deklarację zniszczenia ich ojczyzny, którą tyle pokoleń własnymi rękoma zdziałało...

W parę tygodni później złota księga płonie u podnóża drzewa wolności, doża chroni się do swego domu, a patriarcha Giovanelli asystuje przy ceremonii zniszczenia ustaw Wenecji i zanosi do Boga modły...

Wyszedłszy na plac księżę otoczony został przez tłum natrętnych przewodników. Ci wskazywali mu jeden przed

drugim wieżę zegarową. Rzucił okiem i spostrzegł to, z czym tak uporczywie chcieli go zaznajomić. Na karcie księgi, którą trzymał przez wieki złoty w błękitnym polu lew Wenecji, zmazane były słowa: *Pax tibi, Marce, Evangelista meus!* – i wyryte inne: *Droit de l'homme et du citoyen*. Inni, podkreślając stokrotnie dowcip gondolierski, że nareszcie po tylu latach złoty lew odwrócił jedną kartę swej księgi, wskazywali rozpoczęte z rozkazu „wielkiego generała” budowanie *Fabrica nuova*, które miało zamknąć plac św. Marka i w jedną całość złączyć Prokurację. Bito tam w kanał pale, wznosiły się rusztowania. Książę odpędził zgraję i z wybrzeża Piazzetty popłynął w gondoli do hoteliku, dokąd już był rzeczy odesłał.

Tego jeszcze dnia zaczął składać wizyty w celu poznania stanu rzeczy. Łączyło go dalekie po przodkach kuzynostwo z jedną rodziną magnacką Wenecji. Skorzystał z tego i odnowił znajomość zawartą czasu pierwszej z rodzicami bytności. Był przyjęty bardziej życzliwie, bardziej gorąco, niż przewidywał.

Duże jeszcze kołatało się w pływającym mieście zgromadzenie emigrantów francuskich, którzy szukali tutaj nie tylko schronienia przed motłochem swej ojczyzny, ale również rozniecali namiętności patrycjatu weneckiego przeciwko Francji, jej rządowi, generałowi i niezwyciężonej armii. W chwili gdy książę Gintuł stanął w tym mieście, emigracja francuska zabierała się do odwrotu... Sceny paryskie powtórzyły się na placu św. Marka i na moście Rialto. Lud przez pięć wieków, od czasów doży Piotra Gradenigo, praw pozbawiony,

pozbawił praw szlachtę i sam, w osobach sześćdziesięciu przedstawicieli, zasiadał w sali di Pregadi, i w Cedrowej, i w izbie Rady Dziesięciu, a nawet w izbie, gdzie zasiadali *Inquisitori di stato*. Ludwik Manini skrył się w zaciszu domowym po wzruszeniach pierwszego i szesnastego maja. Eksprokurator Franciszek Pesaro, ogłoszony za wroga ojczyzny, wygnany został z kraju. Lud, rządzący pod osłoną bagnetów francuskich, zadekretował przede wszystkim otwarcie więzień – zarówno Pod Ołowianym Dachem jak Pod Wodą – oraz zniszczenie Inkwizycji Stanu. Trzęsło się po placach, tawernach, kawiarniach i gondolach od powieści o więźniu, który miał w lochach przebyć czterdzieści trzy lata. Toteż na gmachu Prigioni widniał teraz napis: „Więzienia barbarzyństwa tryumwiratu arystokratycznego, zniszczone przez municypalność tymczasową Wenecji w roku pierwszym wolności włoskiej, 25 maja 1797 roku”. Wszystkie te szczegóły jak grad sypały się na przybysza podczas jednego z zebrań towarzyskich w pałacu Morosini. Zdawało się, że pozbawieni władzy chlubią się tym wszystkim, co rozpowiadali. Dawało to sposobność do niezrównanych dowcipów, świetnych drwin z motłochu rozsiadającego się w pałacu, a nawet do rzewnych legend. Jakże doskonale natrzęsano się z sekretnych artykułów „podyktowanych” w Mediolanie 15 maja, a szczególnie z piątego punktu, który żądał wydania dwudziestu najprzedniejszych obrazów i pięciuset manuskryptów! Z dumą i wzgardą istotnych patrycjuszów lżono dowcipami ową żarłoczność republikańską,

która za nic zdzierła z miasta sześć milionów kontrybucji, trzy statki wojenne i dwie fregaty z załogą. Jedni rozpowiadali z najdrobniejszymi szczegółami o zajęciu fortu świętego Andrzeja, Chiozzy, arsenału i ważniejszych punktów przez cztery tysiące „załogi”, o zagarnięciu władzy nad flotą, o odwołaniu ministrów i wysyłaniu do dworów monarszych... demokratów... Ci ośmieszali „traktat” za zniesienie kary śmierci, tamci za otwarcie więzień, skasowanie „lwiej paszczy”, dziesięciu i trzech, za wywrócenie starej konstytucji, ogłoszenie swobody sumienia, wolności prasy i zupełnej amnestii...

Książę Gintuł doświadczał złudzenia, że już raz widział takich ludzi za swego niedługiego żywota. Uśmiech wystąpił na jego usta. Z uwagą przysłuchiwał się wszystkiemu. Patrzył badawczo, jak mężowie trzeźwi, politycy przebiegli, natury po włosku gibkie, znawcy rzeczy tego świata, czciciele faktu dokonanego teraz dobrowolnie łudzili się, na pół świadomie przeceniali rzeczy błahe. Jeden w ciągu godziny mówił o sile partii ludowej, przywiązanej do świętego Marka, drugi szeptał o możliwości sprowadzenia raz jeszcze najemnych komuników słoweńskich, trzeci o konieczności spróbowania raz jeszcze walki, jak na moście Rialto. Inni rozprawiali z zapalem o takich sprawach i zabiegach, z których przed rokiem śmialiby się szyderczo. Oni, którzy pochwalili zamordowanie kapitana Laurier pod Lido na statku *le Libérateur de l'Italie*, co było ostatnim, najbardziej bezpośrednim powodem, a nadto zrozumiałym pretekstem zemsty Buonapartego, szukali teraz

oparcia... w ludzie! Wzdychali do jego wierzeń. Budowali nową Wenecję na lagunach uczuć ludu. Uśmiechali się z wyrazem niezachwianej wiary w jego przywiązanie do skrzydlatego lwa. Jedna z dziewic, piękna jak marzenie, uproszona przez wszystkich, miała wypowiedzieć w gwarze utwór nieznanego poety z ludu o wykradzeniu relikwii świętego Marka przez „francuskiego złodzieja”. Książę słuchał ciekawie. Recytatorka mówiła:

– „Złodziej wszedł do dzwonnicy świętego Marka i wstąpił na wysokość lwa złotanego. Usunął duży kamień, który się sam obrócił, i zobaczył małe wydrążenie w murze. Tam leżał lew brązowy, któremu przednią odśrubował łapę. We wnętrzościach tego zwierzęcia znalazł pięć kluczy złotych, zaśrubował na powrót łapę, kamień na swe miejsce zasunął, a klucze zabrał. Udał się prosto do bazyliki i porachowawszy słupy zaszedł do kaplicy sobie wiadomej. Był tam ciężki konfesjonał drewniany roboty snycerskiej, który się na czopie obracał. Gdy go złodziej obrócił, znalazł kamienną niszę, w której głębi znajdowała się płyta. Zdjął ją, wszedł i znalazł się w korytarzu wydrążonym w grubym murze. Miał fosfor sycylijski i jeden kamień przezroczysty, wydający z siebie jasność słońca. Użył go do oświetlenia i ciasnymi zeszedł schodami.

Tu, będąc już pod powierzchnią morza, zbliżył się do wielkiej sali, dokąd wiodły wielkie drzwi dębowe, sztabą żelazną okute. Otworzył je kluczem i przeszedł. Był w sali, w której sklepienie

wspierało się pośrodku na grubej kolumnie... Wyciosana tam była historia świętego Marka od Aleksandrii aż do tajemniczego grobowca. Widać tam było kupców weneckich nabywających ciało święte: dalej widać było, jak je okrywali słoniną, jak mużłmanie przestraszeni uciekli. Widać tam było dalej, jak szli na okręt, jak ich napadła straszliwa burza. Widać było, jak wylądowali w Wenecji, wchodzili do kościoła, do podziemnego grobowca. Widać było, jak doża sam jeden skrycie kryptę odwiedza...

Złodziej odśrubował kolumnę i znalazł w podstawie okrągłe schody. Zszedł po nich i ujrzał ogromną przestrzeń, strachem przejmującą. Ale był tam guzik w murze okolicznym. Przyciska go, i oto spada most żelazny. Bez tego mostu zleciałby był w przepaść, gdzie koła obracały się ciągle, gdzie ostre noże i kolce żelazne posiekłyby świętokradcę. Przebywszy most znalazł trzy kraty żelazne, które umiał otworzyć sekretem symbolicznym. Wówczas stanął u ostatnich drzwi z brązu, które złotym kluczem otworzył.

Tu olśnił go widok kaplicy. Ujrzał tam wazy, urny, lichtarze, kadzielnice złote, srebrne i z drogich kamieni. Sto świec woskowych płonęło, wonią napełniając powietrze. W środku był ołtarz zrobiony z tego metalu, z którego jest pierścień dla doży zaślubiającego morze. Na nim był posąg świętego Marka ze lwem przy nogach. Lew miał paszczę otwartą, a zamiast oczu – diamenty. Klucz grobowca był w paszczy lwa. Gdybyś go wziął ty albo ja, wystrzeliłby ze strasznym hukiem, a przez tajemnicę

magiczną poruszyłyby dzwony świętego Marka. Doża nadbiegłby z patriarchą. Ale złodziej wiedział dobrze, co czynić. Obrócił cztery razy ucho lwa, i klucz sam wyszedł z grożącej paszczy. Wtedy wkłada klucz w zamek grobowca, otwiera... Święte kości przed nim leżą!

Świątokradztwo! Przekleństwo! Wieczne potępienie!

Bierze święte kości, obwija je w płaszcz swój. Korzysta z przejścia, które na dnie grobowca znajduje. Wstąpił na korytarz. Korytarz obraca się, podnosi. Dalej znajduje schody. Długo otwiera drzwi ostatnim złotym kluczem i oto wchodzi do bazyliki na balustradę nawy, gdzie zwykle nikt nie patrzy, czeka nocy, ażeby uciec. Ucieka. Noc upływa...”

Całe towarzystwo słuchało tych słów w bolesnym wzruszeniu. Twarze były jak skrzepłe, oczy zdrętwiałe. Ten i ów ukrył twarz w dłoniach. Jeden książe Gintuł słuchał obojętnie.

Ogarniało go nie współczucie, lecz właśnie pogarda względem tych, którzy zdolni byli wzruszać się tak tym, co ich najbardziej hańbiło. Wydali mu się jak szalbierze, którzy usiłują zrobić interes na ostatniej resztkę własności ludu. Nie zdążyli wydrzeć korzyści z błędnych jego wierzeń i głupich plotek, błędnych i głupich z ich winy, więc czynią to teraz w chwili stosownej, kiedy nie pora już osiągać korzyści wyższego rzędu. Ci sami, którzy przedsięwzięli wszystko przez sześćset lat dla zdławienia i zniszczenia praw motłochu, odwoływali się do motłochu, gdy przyszło karę ponieść za winy. Czyliż – myślał – nie są jak żebracy wyciągający rękę? Udają ludzi wierzących

w doskonałość praw swej Rzeczypospolitej... Gdybym też teraz wstał i zapytał ich: jak się zapatrują na maksymy Fra-Paola Sarpi, na owe wytyczne zasady udzielane prokuratorom? Pierwsza zasada: trzymać w stanie ciągłego ubóstwa stan szlachty zubożałej. Druga zasada: poprawić artykuły konstytucji w taki sposób, żeby można było posługiwać się nimi w miarę potrzeby. Trzecia zasada: schlebiać głupocie, namiętnościom, a nawet występkom motłochu.

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.